

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYZ

Nr 10/36

1950

---



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

ANKIETA: SKARB NAR. A KULTURA NARODOWA  
Z. JORDAN — O rządzie światowym \* M. SAMBOR — Coś  
dobrego o Sowietach ♦ J. CZAPSKI — Malowane życie, malowa-  
na śmierć ♦ OFICyna POETÓW I MALARZY ♦ SPRAWY  
I TROSKI — W. ZALESKI — Społeczność wartownicza ♦  
ARCHIWUM POLITYCZNE ♦ KRONIKA EMIGRACYJ-  
NA ♦ NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI ♦ KRONIKA  
KULTURALNA ♦ STRATY KULTURY POLSKIEJ ♦  
KSIĄŻKI ♦ BIBLIOGRAFIA ♦ LISTY DO REDAKCJI.



## SPIS RZECZY

Zbigniew Jordan:	<i>O rządzie światowym</i> .....	3
—	<i>Na jakie cele kulturalne obrócić fundusze Skarbu Nar.</i> .....	21
Michał Sambor:	<i>Coś dobrego o Sowietach</i> ....	33



Józef Czapski:	<i>Malowane życie, malowana śmierć</i> .....	58
----------------	--	----

### OFICYNA POETÓW I MALARZY

Marian Czuchnowski:	<i>Pejzaż</i> .....	71
Marian Czuchnowski:	<i>Za każdą łzę</i> .....	71
Józef Żywina:	<i>Akt</i> .....	72
Józef Żywina:	<i>Śpiew na przednówku</i> .....	73
M. Łysakowski:	<i>Pożegnanie z Francją</i> .....	74
Janusz Kucharski:	<i>Nic więcej</i> .....	75
Czesław Bednarczyk:	<i>Metafory z Hyde Parku</i> .....	76

### STRATY KULTURY POLSKIEJ

Jan Zadeykański:	<i>Adolf Nowaczyński</i> .....	78
------------------	--------------------------------	----

### SPRAWY I TROSKI

Wojciech Zaleski:	<i>Spoleczność Wartownicza</i> ....	85
-------------------	-------------------------------------	----

### ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>List z Wyspy</i> .....	101
-----------------------	---------------------------	-----

### KRONIKA EMIGRACYJNA

J. B.:	<i>Niemcy</i> .....	109
--------	---------------------	-----

### NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Jakub Hoffman:	<i>Początki konspiracji na Wołyniu</i>	112
S. Żochowski,	} <i>Dyskusja w sprawie N.S.Z.</i> ..	125
W. Żbik-Kaniewski,		
Jan Lednicki:		

### KRONIKA KULTURALNA

Janusz Kowalewski:	<i>Precz z monopolem</i> .....	133
--------------------	--------------------------------	-----

### KSIĄŻKI

Józef Ursyn:	<i>Problematyka ruchów oporu</i> ..	137
M. K. Dziewanowski:	<i>Filozofia historii Europy</i> .....	145
Maria Czapska:	<i>Ojciec Kolbe</i> .....	149
Zygmunt Markiewicz:	<i>«Mickiewicz» Mieczysława Jastruna</i> .....	152

### BIBLIOGRAFIA

Jan Kowalik:	<i>Polonica niemieckie (c. d.)</i> ....	156
—	<i>LISTY DO REDAKCJI</i> ....	160

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ Październik — Octobre 1950

INSTYTUT



LITERACKI



## O rządzie światowym

Koncepcja rządu światowego przeżyła w ostatnich latach szybką i radykalną ewolucję. Nie bez podstaw określić ją można jako drogę od utopii do rzeczywistości. Przyczyn tego przeobrażenia szukać należy w pierwszym rzędzie w rozwoju nauki i techniki, które umożliwiły odtworzenie w laboratoriach i fabrykach procesów zachodzących tylko wyjątkowo w warunkach naturalnych — uwolnienie energii atomowej. Konsekwencje tego odkrycia postawiły nas przed splotem zagadnień, które rozwiązane być mogą jedynie środkami politycznymi i na płaszczyźnie międzynarodowej. Lecz chociaż droga od utopii do rzeczywistości, jaką przeżyła koncepcja rządu światowego, łączy się bardzo ściśle z uwolnieniem energii atomowej, odkrycia techniczne nie są jedynym czynnikiem wspomnianej ewolucji. Posiada ona odległą historię, która wymaga krótkiego omówienia.

### I.

Dwa procesy zapoczątkowane i rozwijające się w XIX w. — industrializacja wytwórczości i demokratyzacja stosunków społecznych — zrewolucjonizowały świat współczesny i wytworzyły splot warunków, które wymagają nowych i radykalnych rozwiązań w dziedzinie stosunków międzynarodowych, tak w ich aspekcie politycznym jak i gospodarczym. Pozornie wydawać się może, że obydwa wspomniane procesy — industrializacja i demokratyzacja — uzupełniają się wzajemnie. Dzięki uprzemysłowieniu wzrasta produkcja, podnosi się standard życia, wysiłek ludzki zastąpiony jest pracą mechaniczną, co z kolei pozostawia czas i energię na zaspokojenie innych potrzeb i aspiracji człowieka. Z drugiej strony demokratyzacja stosunków społecznych, której trwałość jest związana z dobrobytem, wzrastającym w miarę rozwoju industrializacji, stwarza warunki, w których postęp techniczny obrócony jest na dobro powszechne. Taka współzależność między industrializacją i demokratyzacją jest faktem niewątpliwym. Jest ona tak widoczna, iż wiek XIX uwiaryczył w nieunikniony postęp człowieka i społeczeństw wznoszących się przez swą odkrywczość i wynalazczość, automatycznie i bez wysiłku, ku coraz wyższym i doskonalszym formom indywidualnego i społecznego istnienia.



Sprzeczności i konflikty wyrastające z równowagi rozwijającej się industrializacji i demokratyzacji dotyczą mniej widocznych zjawisk, względnie dalszych ich skutków w miarę rozwoju uprzemysłowienia w czasie i w przestrzeni. Industrializacja, której kolebką była W. Brytania i później Zachodnia Europa, rozszerzała się w świecie, w którym rynki zbytu, możliwości inwestycji i handlu, nie napotykały żadnych ograniczeń. Ludność świata wzrastała, granice polityczne nie stanowiły niemal przeszkody w wymianie rąk roboczych, towarów i surowców. Uprzemysłowane kraje Europy posiadały nieograniczone możliwości zbytu wszelkiego rodzaju wytworów i lokaty kapitałów w koloniach i krajach zamorskich. W XIX w. wytwórczość i handel stałe wzrastały w objętości, różnorodności i przestrzeni. Stwarzało to iluzję, iż proces ekspansji jest nieograniczony. Lecz brak przeszkód w pierwszej fazie ekspansji nie wykluczał ich pojawienia się w fazie następnej. Kraje zamorskie, które początkowo były odbiorcami towarów z Europy dając w zamian środki spożywcze i surowce, zaczęły rozwijać własny przemysł. Dotyczyło to tak krajów zamieszkałych przez ludność pochodzenia europejskiego, jak i krajów innych cywilizacji, jak Japonii, która w kilku dziesiątkach lat przyswoiła sobie wszelkie zdobycze techniczne Zachodu. Nasylenie produkcyjne, we względym tego słowa znaczeniu, które pojawiło się w miarę rozwoju industrializacji w przestrzeni, obrazuje fakt, iż między 1913 i 1937 r. światowa produkcja dóbr przemysłowych wzrosła o 100%, lecz ich wymiana nie uległa w tym samym okresie żadnej zmianie. Stosunkowo prosta struktura gospodarcza świata w XIX w., która z jednej strony opierała się na podziale na kraje produkujące towary i kraje dostarczające surowców, oraz z drugiej na fakcie istnienia rynku zbytu zdolnego pochłonąć produkcję wszystkich wówczas uprzemysłowionych krajów, załamała się na progu naszego wieku. Wybuch pierwszej wojny światowej, która była wojną o rynki zbytu i przestrzeń dla przemysłowej ekspansji, stanowił gwałtowne ujawnienie się tego stanu rzeczy.

Spłot idei, który określamy pojęciem demokracji, stanowi nie tylko idee-force kształtującą strukturę polityczną poszczególnych społeczeństw, lecz sięga także swym wpływem w sferę stosunków międzynarodowych. Hasła wolności i równości, które armia Napoleona rozniosła po całej Europie, zostały zastosowane nie tylko do jednostek, lecz i do narodów. Demokratyzacji Europy towarzyszyło budzenie się i rozwój świadomości narodowej, walce o prawa człowieka i obywatela — walka o suwerenne prawa narodów. Była to w strukturze politycznej Europy siła równie rewolucyjna, jak industrializacja w jej strukturze gospodarczej. Lecz podczas gdy rozwój uprzemysłowienia był siłą jednoczącą i wzmacniał węzły wzajemnej zależności najbardziej od siebie odległych części świata, idea suwerennych praw narodów działała w przeciwnym kierunku i dzieliła go na coraz większą liczbę państw. Ich granice nie miały tylko zna-

czenia geograficznego. W miarę rozszerzania się industrializacji w przestrzeni, nasycania produkcyjnego świata, kurczenia się rynków zbytu, granice geograficzne stawały się granicami w sensie gospodarczym. Jeżeli nie w teorii, to w praktyce ekonomicznej nacjonalizm stał się na początku naszego wieku doktryną panującą. Dobitnie ujawnia to m. i. fakt, iż między 1919 i 1939 r. opłaty celne na dobra przemysłowe wzrosły w Europie Zachodniej dwukrotnie. Okres między dwiema wojnami jest wyścigiem o maksimum samowystarczalności gospodarczej, która stała się miernikiem państwowej suwerenności.

Dążenie to nie było żadną miarą ograniczone do państw totalitarnych. W. Brytania hołdując w teorii zasadzie, iż powszechny dobrobyt jest funkcją wolnej międzynarodowej wymiany handlowej, podpisała w 1932 r. Ottawa Agreement. Stany Zjednoczone, także oddane zasadzie wolności handlu, jednocześnie ochraniały własny przemysł wysokimi cłami na produkty zagraniczne. W starożytnej Grecji państwo samowystarczalne, obywatel się bez importu, nazywano polis autarkes, skąd wywodzi się nasze słowo autarkia na oznaczenie polityki gospodarczej dążącej do samowystarczalności. Czasem politykę tę określa się także nazwą autarchia, która po grecku znaczy tyle, co despotyzm lub samorząd. Jest to pomieszanie pojęć bliskie freudowskiej pomylce, ujawniające rozpowszechnione przekonanie, iż samowystarczalność gospodarcza może zapewnić państwu kontrolę własnego przeznaczenia.

Ekonomiczny nacjonalizm praktykowany był w świecie, w którym gospodarcza współzależność najbardziej odległych państw była procesem postępującym stale naprzód siłą własnej bezwładności, nie dającej się powstrzymać decyzjami natury politycznej lub odwołaniem się do praw suwerennych narodów. Rozwój techniki sprawia, że ani co do surowców, ani półsurowców lub gotowych produktów żadne państwo nie jest samowystarczalne. Praktycznie oznacza to wzrastającą zależność od handlu międzynarodowego, dzięki któremu poszczególne państwa mogą uzupełnić braki w surowcach lub produktach gotowych. Lecz w ten sposób jakiegokolwiek zmiany ekonomiczne zachodzące w jednym kraju wywierają wpływ, za pośrednictwem handlu zagranicznego, na wydarzenia w innych krajach. Odkrycie ropy naftowej w Iranie spowodowało bezrobocie w angielskich kopalniach węgla. Wyjście z mody mebli mahoniowych zniszczyło ekonomicznie brytyjski Honduras. Amerykański Immigration Act z 1924 r. zamknął odpływ około miliona Włochów rocznie, ograniczył tym samym import towarów amerykańskich do Włoch i ostatecznie spowodował głęboki wewnętrzny kryzys, faszystowską rewolucję i imperialistyczną ekspansję Włoch Mussoliniego na Bałkanach i w Afryce. Porzucenie standardu złota przez W. Brytanię w 1931 r. ujawniło się w Indiach, Australii i Szwecji w milionowych cyfrach bezrobotnych.

Wyciągnąć stąd należy wniosek, że struktura polityczna i go-



spodarcza świata kształtowały się w oparciu o zasady wzajemnie wykluczające się. Ekonomicznie świat stawał się jednym wielkim obszarem, w którym wydarzenia zachodzące w jednej części posiadały skutki, dotykające konkretnie i praktycznie codziennego życia ludzi, żyjących w innej odległej jego części. Politycznie świat rozpadał się na wzrastającą liczbę państw, których suwerenne prawa były zaprzeczeniem ich wzajemnej współzależności. Nowe metody produkcji, w szczególności metody produkcji masowej, wymagały integracji świata w wielkie obszary gospodarcze, stanowiące same dla siebie rynki zbytu, oraz umożliwiające racjonalny podział produkcji. Zasada samostanowienia i suwerennej równości narodów przeciwstawiała się zwycięsko wszelkim próbom politycznej i ekonomicznej integracji świata w wielkie obszary i w ich miejsce stawiała złudny cel gospodarczej samowystarczalności. Jest rzeczą naturalną, iż starcie się tych dwóch wielkich prądów, biegnących w przeciwnych kierunkach, spowodowało narastanie konfliktów i sprzecznych interesów, dla których wojna stała się ostatecznym remedium. Lecz obrona własnych interesów kosztem innego lub innych narodów nie była w rzeczywistości żadnym rozwiązaniem i nie dotykała rzeczywistego źródła konfliktu. W 12 lat po zakończeniu I Wojny Światowej — wojny, która miała położyć kres wojnom, — Japonia dokonała inwazji Chin; 4 lata później Włochy są w wojnie z Abisynią. W 1939 r. przerwane na 21 lat działania wojenne obejmują cały świat. Nie ma powodu przypuszczać, by II Wojna Światowa była ostatnią naszego stulecia. Podobnie bowiem jak w 1918 r. tak i dzisiaj nie dokonano niczego, by usunąć zasadniczy konflikt między polityczną i ekonomiczną strukturą świata. Istnieją podstawy by przypuszczać, iż okres obecny, podobnie jak 20-lecie między dwiema wojnami, nie jest okresem pokoju, lecz zawieszenia broni.

## II.

Chociaż powyższe fakty posiadają wielkie znaczenie, jest rzeczą wysoce wątpliwą, czy stanowiłyby podstawę dla praktycznego działania, gdyby nie uwolnienie energii atomowej i zużycie jej jako broni wojennej. Zniszczenie Hiroszimy i Nagasaki wstrząsnęło wyobraźnią człowieka i zamieniło teoretyczny problem politycznej i ekonomicznej przebudowy świata w oparciu o zasady uniwersalistyczne w zagadnienie aktualne i naglące, od którego zależeć może los wszystkich narodów i całej cywilizowanej ludzkości.

Przez uwolnienie energii atomowej człowiek posiadał broń o fantastycznej mocy zniszczenia. Pozwala ona napastnikowi zniszczyć przeciwnika zanim zdał on sobie sprawę, iż toczy się przeciw niemu wojna. Fakt istnienia nowej broni i umiejętność jej produkcji nie mogą być wymazane z umysłu i pamięci człowieka. Może być ona wytwarzana zasadniczo przez każde pań-

stwo dysponujące odpowiednimi środkami i wiedzą techniczną, co z kolei wskazuje, że niebezpieczeństwo atomowe nie jest związane wyłącznie z obecną sytuacją międzynarodową. Przeciwni broni atomowej nie ma i nie może być technicznych środków ochronnych. Istnieć one mogą jedynie na płaszczyźnie politycznej przez stworzenie światowej władzy kontrolującej energię atomową. Kontrola ta jest tylko wówczas całkowicie skuteczna, jeżeli ma zasięg światowy i nie potrzebuje się liczyć w pewnej, ściśle określonej dziedzinie, z suwerennymi prawami państw. Jak wiadomo, skuteczność jakiegokolwiek systemu kontroli energii atomowej wymaga nadzoru paliwa atomowego, oraz wszelkich urządzeń służących do wytwarzania energii atomowej na całej kuli ziemskiej. W rzeczywistości oznaczałoby to powstanie pierwszego w historii ludzkości ośrodka obdarzonego władzą wykonawczą o zasięgu światowym.

Šluszne jest przypuszczalnie przekonanie, iż jeżeli międzynarodowa kontrola energii atomowej nie będzie ustanowiona, użycie broni atomowej jest nieuniknione. Nie byłaby to zapewne jeszcze jedna wojna w historii, lecz wojna ostatnia. Lęk panujący w świecie uczestniczącym w wyścigu zbrojeń atomowych zniszczyć może wolność i swobody człowieka. Z drugiej jednak strony lęk przed wojną atomową jest potężnym motywem dokonania szybkiej i radykalnej przebudowy stosunków międzynarodowych, obejmującej częściowe ograniczenie suwerenności narodowej na rzecz władzy o zasięgu światowym. Brak takiego motywu unicestwiał w przeszłości próby utrwalenia pokoju za pośrednictwem instytucji międzynarodowych o zasięgu światowym.

Stworzenie ośrodka władzy o zasięgu światowym staje się po raz pierwszy technicznie możliwe. Oddanie bowiem rządowi światowemu kontroli nad energią atomową zapewnia mu faktyczną władzę wykonawczą, oraz środki zmuszenia państw opornych do wykonywania przyjętych zobowiązań i przestrzegania pewnych norm postępowania dzięki czemu obyczaje międzynarodowe stać się dopiero mogą prawem międzynarodowym.

Stan zbrojnego pogotowia jaki cechował lata poprzedzające wybuch II Wojny Światowej oraz niebezpieczeństwo powszechnej wojny atomowej, pobudziły do badań nad przyczynami wojen. Według klasycznej już dzisiaj analizy Lorda Lothiana, przyczyna wojny jest zawsze ta sama — anarchia stosunków międzynarodowych, której źródłem jest absolutna suwerenność państw i narodów. Przez absolutną suwerenność rozumieć należy fakt, iż poszczególne państwa mogą i zazwyczaj nie uznają innego nadrzędnego prawa, prócz własnych egoistycznych dążeń i interesów niezależnie od skutków wynikających stąd dla innych (*salus publica suprema lex*); dysponują nieograniczenie wszystkimi swoimi zasobami; w swych decyzjach wolne są od wszelkich zobowiązań prawnych i moralnych. Społeczeństwo składające się z tak pojętych, absolutnie suwerennych jednostek



nie mogłoby istnieć. Podobnie istnieć nie może bez ciągłych wstrząsów, aktów przemocy i gwałtu, starć zbrojnych i wojen społeczeństwo suwerennych państw. Współistnienie okoliczności, w których rządy państw suwerennych łatwo mogą być uchwycone przez dyktatorów podejmujących spełnienie "misji dziejowej" lub "historycznego przeznaczenia" swego narodu oraz istnienie broni o nieograniczonych możliwościach destrukcyjnych, ustokrotnieją niebezpieczeństwo związane z anarchią stosunków międzynarodowych. W świecie, w którym przestrzeń i odległość skurczyły się lub zniknęły, granice narodowe, strategiczne i naturalne straciły swe znaczenie; wzajemna współzależność ekonomiczna zniosła różnicę między własnym zyskiem i cudzą stratą; technika unicestwiła inne drogi zapewnienia bezpieczeństwa od wojen oprócz środków międzynarodowej kontroli o zasięgu światowym — w tym świecie państwa suwerenne, zabiegające o własne tylko interesy polityczne, ekonomiczne i strategiczne, stały się przeżytkiem politycznym i ekonomicznym i nieuchronnym zagrożeniem bezpieczeństwa międzynarodowego.

Powyższe komentarze o politycznych i międzynarodowych konsekwencjach wyzwolenia energii atomowej nasuwają wniosek, iż wszelkie formy organizacji stosunków międzynarodowych, które nie ograniczają suwerenności na rzecz władzy ponadpaństwowej, nie zmieniają w sposób istotny stosunków międzynarodowych i nie stanowią żadnej gwarancji bezpieczeństwa od wojen. Wiek XIX stworzył pojęcie społeczności narodów wzorowanej na społeczności jednostek. Jesteśmy tak oswojeni z tym pojęciem, iż zazwyczaj przyjmujemy je bezkrytycznie i zapominamy o tym, iż opiera się ono na bardzo ograniczonej analogii. Społeczność jednostek nie zawdzięcza swego istnienia i trwałości dobrowolnemu przestrzeganiu prawa przez wszystkich, lecz przeważającej sile stojącej za prawem i do jego użytku w stosunku do jednostek niepodporządkowujących się prawu dobrowolnie. Społeczność narodów pozbawiona środków przymusu jest wyrażeniem słownym, któremu żadna rzeczywistość nie odpowiada. Pozostaje ona nadal sceną ścierania się sił, walki o byt i potęgę. Tak pojmowali politykę międzynarodową Machiavelli, Richelieu, Bismarck, Disraeli i tak ją pojmować musi każdy, niezależnie od swych moralnych i politycznych przekonań, z chwilą gdy los odda mu w ręce odpowiedzialność za politykę zagraniczną swego kraju. Moralne potępienie polityki, ponieważ jej istotą jest gra sił i "woła mocy", nie zmienia w niczym biegu wydarzeń. "Społeczność narodów", która opiera się na dobrowolnym przestrzeganiu podjętych zobowiązań i pozbawiona jest środków przymusu w stosunku do partnerów łamiących te zobowiązania, jest przeto tylko niebezpieczną fikcją.

Taką fikcją była Liga Narodów i są nią także Narody Zjednoczone. Wykonalność decyzji podejmowanych przez Ligę Narodów zależała całkowicie od dobrej woli jej członków. Liga Na-

rodów była dzieckiem angielskiego liberalizmu — Wilsona nazywano Gladstonem z amerykańskim akcentem — z jego wiarą, iż dyskusja, perswazja, nacisk opinii są w stanie rozwiązać wszelkie spory i konflikty. "Jesteśmy na progu epoki", stwierdził Wilson w swym oświadczeniu do Kongresu, "w której od narodów i ich rządów wymagać się będzie tego samego standardu postępowania i tej samej odpowiedzialności za wyrządzone zło jakie obowiązują obywateli państw cywilizowanych". Ten wzniosły cel miał być osiągnięty nie przez rzeczywiste upodobnienie społeczności narodów do społeczności jednostek, lecz przez zastosowanie zasad i metod liberalizmu w polityce międzynarodowej, w oderwaniu od porządku prawnego, stanowiącego warunek konieczny ich skuteczności. "Najsilniejszą naszą bronią", oświadczył w 1919 r. Lord Cecil, jeden z ojców Ligi Narodów, "jest opinia publiczna". W kilka lat później dodał: "Liczymy na opinię publiczną... i jeżeli co do tego się mylimy, jesteśmy w błędzie we wszystkim". Dalsze wydarzenia potwierdziły tę ocenę w sposób, jakiego Lord Cecil nie oczekiwał. Liga Narodów patrzyła bezsilnie na agresję w Chinach i Abisynii. Opinia publiczna okazała się bronią całkowicie bezużyteczną w rozwiązywaniu konfliktów międzynarodowych. Doświadczenie nie pozostawiło wątpliwości, iż w stosunkach międzynarodowych, mówiąc słowami Churchilla, "the scales of Justice are in vain without her sword".

O Lidze Narodów powiedzieć można, iż mimo najlepszej woli nie była w stanie dać miecza sprawiedliwości. Chybiła ona swych zamierzeń, lecz była jednocześnie użyteczną chociaż bolesną nauką, iż porządku międzynarodowego nie można opierać na związkach państw suwerennych oraz iż bezpieczeństwo oparte na międzynarodowej opinii publicznej jest złudą, a sprawiedliwość pozbawiona władzy wykonawczej — bezsilna. Organizacja Narodów Zjednoczonych nie uwzględniła żadnego z tych doświadczeń. Jak Liga Narodów, tak i N.Z. są związkiem państw, które nie wyrzekły się żadnej części swej suwerenności. Ich jedynym środkiem zachowania pokoju jest metoda nazywana zbiorowym bezpieczeństwem. Ponieważ polega ona na przeciwstawianiu jednego państwa suwerennego innemu lub innym państwom suwerennym, bez możliwości wykonania powziętych decyzji, metoda ta, jak wykazała przeszłość, nie była zdolna zapobiec nawet wojnom lokalnym. W N.Z. zasada zbiorowego bezpieczeństwa została ponadto osłabiona przez przywilej weta, który stawia jawnie niektóre państwa ponad prawem i zasadami przyzwoitości, obowiązującymi państwa pozostałe. Przywilej ten daje gwarancję, iż N.Z. mogą zapewnić bezpieczeństwo od wojen, które zapewne nigdy nie wybuchną, natomiast są one bezsilne w zapobieganiu zbiorowo wojnom możliwym i prawdopodobnym. W następstwie tego stanu rzeczy państwa małe i słabe nie znajdując bezpieczeństwa w zasadzie bezpieczeństwa zbiorowego szukają ochrony przez podporządkowa-



nie się jednemu z mocarstw, dysponujących prawem weta. Prowadzi to ostatecznie do tworzenia się przymierzy militarnych i bloków państw, które we własnych zbrojeniach widzą najlepsze zabezpieczenie pokoju.

Usunięcie anarchii ze stosunków międzynarodowych nie może nastąpić na drodze zobowiązań i umów między państwami suwerennymi. Podobne umowy zachowywane są tak długo, jak długo istnieje realny układ sił w chwili ich zawierania. Lecz takim układom nie przysługuje trwałość. Natomiast gdy ulegają one zmianie, moc obowiązująca traktatów opiera się już tylko na wierności danemu słowu. Nie trzeba być cynikiem by uznać to za kruchą, zawodną i niebezpieczną podstawę ładu i prawa. W jakkolwiek retorykę ubierać będziemy twierdzenie, iż porządek międzynarodowy opiera się na poszanowaniu dobrowolnie zawartych umów, pozostanie faktem, iż porządek ten będzie burzony podstępem lub przemocą, dopóki jego jedynym gwarantem jest dobra wola i wierność danemu słowu.

### III.

Istotnie nowy porządek międzynarodowy, dający nadzieję trwałości, pokojowych przemian i przeobrażeń stosownie do zmiennych okoliczności, bezpieczeństwa od wojen i aktów przemocy, opierać się musi na tych samych zasadach, na jakich opiera się ład praworządny społeczeństwa. Do urzeczywistnienia tego dwie rzeczy są niezbędnie potrzebne: ograniczenie suwerenności na rzecz władzy ponadpaństwowej, rządu światowego, oraz wyposażenie rządu światowego we władzę wykonawczą. Tylko łączne urzeczywistnienie obu tych postulatów stworzyć może podwaliny nowego porządku międzynarodowego. Bez siły stojącej za prawem ograniczenie suwerenności pozostałoby pustym gestem. Sama siła, pozbawiona prawa równego dla wszystkich państw, byłaby jedynie tyranją i przemocą. Ograniczenie suwerenności, o którym mowa, polegałoby w pierwszym rzędzie na wyrzeczeniu się wojny jako środka rozstrzygnięcia konfliktów międzynarodowych, lub ogólniej, na podporządkowaniu się zasadzie, iż we wszelkich sprawach spornych między państwami branie prawa we własne ręce jest przestępstwem. To jest istotnym sensem i funkcją wszelkiego prawa i fundamentem porządku międzynarodowego, opartego na prawie. Rząd światowy ustanawiając panowanie prawa między narodami ograniczałby ich suwerenność w tej samej mierze, w jakiej prawo rządzące społeczeństwem ogranicza wolność jednostki: ograniczając ją, czyni ją jednocześnie realną i powszechną.

Panowanie prawa w stosunkach międzynarodowych wymaga trzech rzeczy: izby ustawodawczej ustanawiającej prawo; trybunałów rozstrzygających spory; organu wykonawczego dopilnowującego przestrzegania prawa i wykonania decyzji trybu-

nałów. Punktem ciężkości tych trzech funkcji rządu światowego jest władza wykonawcza. Niewielkie znaczenie posiadałaby bowiem izba ustawodawcza i trybunały, dopóki państwa mają swobodę decyzji podporządkowania się im lub odrzucenia ich postanowień. Nie miałyby także znaczenia posiadanie trybunałów rozstrzygających spory między narodami, dopóki ich wyroki nie mogą być wykonane, w razie konieczności, przy użyciu siły.

Zachowanie pokoju i przestrzeganie poszanowania prawa nie jest jedyną funkcją rządu światowego. Proces norymberski ustanowił zasadę indywidualnej odpowiedzialności za czyny uznane za zbrodnie międzynarodowe lub zbrodnie przeciw ludzkości, dokonane zaś w wyniku lojalności lub poczucia bezsilny w stosunku do własnego państwa. Trudno jest nie solidaryzować się z tą zasadą, lecz jednocześnie nie można pominąć faktu, że dopóki nie istnieje możliwość obrony jednostki przed państwem, którego jest ona obywatelem, wspomniana zasada dopuszcza jedynie męczeństwo jako jedyną alternatywę w stosunku do zbrodni. Podobnie całe nasze przeszłe doświadczenie uzasadnia przekonanie, iż skuteczna ochrona podstawowych praw człowieka wymaga międzynarodowego autorytetu, występującego w charakterze trybuna i sędziego w zatargach między jednostką a państwem. Pomimo uroczystych zapewnień i deklaracji gwarantujących prawa człowieka i obywatela, w wypadkach konfliktu z państwem jednostka jest bezbronna i bezsilna wobec suwerennego państwa. Nie leży to w naturze państw suwerennych, by tolerowały one u swych obywateli lojalności sprzeczne z ich interesami lub dążeniem do potęgi. Autorytetem międzynarodowym chroniącym jednostkę nie może być światowa opinia publiczna, która wywierając pewien wpływ wychowawczy nie jest zdolna do działania. Autorytet ten musi posiadać nie tylko możliwość podejmowania decyzji, lecz i ich przeprowadzenia i wykonania, co staje się dopiero możliwe z chwilą powstania rządu światowego.

Trzecim wreszcie zadaniem, które wykonać może jedynie rząd światowy, jest przebudowa gospodarczej struktury świata i dostosowanie jej do nowych warunków technicznych łącznie z planowaniem ekonomicznym w skali światowej. Zadanie to łączy się z faktem, iż ekonomicznie świat staje się coraz bardziej zwartą całością, w której każda część jest współzależna od innej, ponosząc skutki lub stając się przyczyną zmian, rozprzestrzeniających się pośrednimi lub bezpośrednimi swymi następstwami na cały glob ziemski. Jednoczesne zastosowanie metod produkcji masowej, zdolnej zaspokoić najniezbędniejsze potrzeby i zapewnić powszechne i stałe podnoszenie się poziomu życia w całym świecie, wymaga stworzenia wielkich obszarów gospodarczych, które dopiero stwarzają warunki pełnego wykorzystania możliwości wytwórczych oraz racjonalnego rozdziału zadań produkcyjnych. Wreszcie trudno jest pomyśleć, by bez



pomocy państw bardziej rozwiniętych, pokrywających mniej więcej  $\frac{1}{4}$  powierzchni świata, trzykrotnie od nich większy obszar zacofany lub nierozwinięty był zdolny uchronić się od okresowo powtarzającego się głodu i podnieść nieprawdopodobnie niski standard życia. Pomocy tej nie można jednak oczekiwać w warunkach, w których nie istnieje trwałe, międzynarodowe bezpieczeństwo od wojny i niespodziewanej agresji. Rozwój obszarów ekonomicznie nierozwiniętych lub zacofanych wydaje się zadaniem nierozwiązalnym i niewykonalnym bez ośrodka dyspozycyjnego, planującego w skali światowej i jednocześnie zdolnego zachować pokój i bezpieczeństwo.

#### IV.

Dotychczasowe rozważania wyjaśniły nieco bliżej znaczenie wyrażenia "rząd światowy" przez określenie jego zadań, które mają polegać na: zapewnieniu bezpieczeństwa od wojen i utrwaleniu poszanowania prawa w stosunkach między narodami; przebudowie gospodarczej struktury świata, planowaniu w skali światowej łącznie z rozwojem obszarów gospodarczo nierozwiniętych i zacofanych; ochronie praw człowieka. Władzę międzynarodową spełniającą te funkcje nazywamy rządem, ponieważ w tych trzech dziedzinach rząd światowy, a nie poszczególne państwa, posiadać ma prawa suwerenne, oraz techniczne środki korzystania z nich i wykonania podjętych decyzji. Wszystko to jednak nie daje jeszcze odpowiedzi na pytanie, czy rząd światowy daje się dzisiaj praktycznie urzeczywistnić.

Zasadniczo wyobrazić sobie można powstanie rządu światowego na dwóch drogach: dobrowolnego zrzeszenia się państw, które zgadzają się na ograniczenie swej suwerenności na rzecz władzy nadrzędnej o zasięgu światowym, lub też na drodze podboju i przy użyciu siły. Rozpatrzmy najpierw pierwszą z tych możliwości.

Najlepiej stwierdzić od razu, iż powstanie rządu światowego przez dobrowolne zrzeszenie się państw, które dla wspólnego dobra zrzekają się pewnych praw suwerennych, jest tak wysoce nieprawdopodobne, iż trzeba je wykluczyć z zakresu realnych możliwości. Istnieją wprawdzie w wielu krajach organizacje, nieraz liczne i wpływowe, które dążą do stworzenia rządu światowego przez zorganizowaną presję opinii publicznej. Akcja ta niewątpliwie posiada wielkie znaczenie jako czynnik uświadamiający opinię publiczną o naglącej potrzebie stworzenia rządu światowego. Lecz wątpić trzeba, czy może ona osiągnąć cel swych zamierzeń. Ograniczenie suwerenności państwowej na rzecz światowego rządu i parlamentu stwarza silną opozycję tej części opinii publicznej, która przyzwyczajona jest do myślenia pojęciami tradycyjnymi. Będzie ona obojętna, dopóki mowa jest o ograniczeniu suwerenności w terminach abstrakcyj-

nych i w oderwaniu. Wystarczy jednak powiedzieć, że ograniczenie suwerenności oznaczać może oddanie rządowi światowemu dowództwa nad Royal Navy, internacjonalizację przemysłu Alzacji i Lotaryngii, lub nadanie samorządu Indonezji w ramach malajskiej federacji, aby rząd światowy stał się koncepcją niepopularną wśród bardzo znacznej części opinii brytyjskiej, francuskiej, holenderskiej. Uwalnia to z kolei rządy od konieczności działania, a tylko działanie rządów, rządów wszystkich krajów, może zgodnie z omawianym założeniem położyć podwaliny pod rząd światowy.

Znacznie większe szanse powodzenia posiada ruch federalny. Ruch federalny zmierza do stworzenia rządu światowego oddolnie, przez tworzenie regionalnych federacji, które z natury rzeczy ograniczają suwerenność państw wchodzących w ich skład. Rząd światowy w tej koncepcji jest federacją federacji lub związków federalnych, które zrzekają się na jego rzecz szczególnych praw, tych mianowicie, jakie wykonywane mogą być najskuteczniej w skali światowej. O ruchu federalnym należy powiedzieć dwie rzeczy. Po pierwsze, federacje są znaną formą organizacji międzypaństwowej. Ofiarowują one federującym państwom określone, łatwo zrozumiałe i uchwytnie korzyści i tworzą naturalne ogniwo pośrednie między państwami suwerennymi i rządem światowym. Z tej przyczyny powstanie rządu światowego jako federacji związków federalnych jest znacznie bardziej prawdopodobne, aniżeli powstanie rządu światowego na drodze działania bezpośredniego. Po wtóre powstanie rządu światowego na drodze federalnej posiada charakter organicznego procesu, gwarantującego zwartość i trwałość dokonywanego się w ten sposób scalenia świata.

Powstanie rządu światowego na drodze federalnej posiada jednak i słabe strony, jaką w pierwszym rzędzie jest czynnik czasu. Ruch federalny jest działaniem długo-falowym, którego szanse powodzenia zależą od szczególnych sprzyjających okoliczności. Czy obecna sytuacja międzynarodowa dopuszcza powolną integrację świata poprzez federacje i ich związki? Czy bieg wydarzeń nie wskazuje raczej, iż zbliżamy się do rządu światowego, lecz na drodze podboju i przy użyciu przemocy?

Gdy II Wojna światowa dobiegała kresu, rozpowszechnione było przekonanie, że organizacja świata powojennego oprze się na wielonarodowych ugrupowaniach regionalnych. Brak sprzecznych interesów między nimi miał stanowić podstawę pokoju, nieinterwencja jednego ugrupowania regionalnego w sprawy ugrupowania sąsiedniego miała go zachować i utrwalić. W obrębie każdego ugrupowania polityka dobrych stosunków sąsiedzkich uznana była za gwarancję wystarczającą, by zapewnić prawa słabszych i mniejszych państw w stosunku do państw wielkich i potężnych.

Już pierwsze dni pokoju wykazały, jak bardzo nieuzasadnione były te oczekiwania. Grupy regionalne wcale nie wykazały



dażności do zamknięcia się w wyznaczonej sobie przestrzeni, lecz przeciwnie — przejawily pęd do ekspansji. W związku z tym na granicach ugrupowań regionalnych narastać zaczęły napięcia o sile proporcjonalnej do sił zaangażowanych i nawet pozory decorum z trudem tylko mogą być zachowane.

Brak sprzecznych interesów okazał się fikcją. Zamiast nieinterwencji, ugrupowania regionalne rozwijać zaczęły intensywne zainteresowania sprawami i wydarzeniami w sąsiednich ugrupowaniach. Był to rozwój oczywisty i nieunikniony, tak ze względów politycznych, jak i gospodarczych; Europa przecięta na pół lub podzielona Chiny musiały dążyć do zrośnięcia się w naturalne całości jakie one stanowią.

Wreszcie fikcyjną okazała się także postulowana polityka dobrych stosunków sąsiedzkich w obrębie poszczególnych ugrupowań, która wcale nie zapewniła niepodległości i uszanowania praw małych narodów przez silnego partnera ugrupowania. Wielonarodowe zespoły regionalne przekształciły się szybko w strefy wpływów, w których dominuje jedno państwo, zyskując tę przewagę swą potęgą militarną lub gospodarczą, utrzymując zaś ją bądź perswazją i oczywistością faktów, bądź narzuceniem własnych rządów, własnego systemu politycznego i gospodarczego, nie troszcząc się o życzenia i pragnienia zainteresowanych. Nie bez podstaw układ ten nazwano państwowym feudalizmem. Nosi on pod wieloma względami — tak co do swej genezy jak i form współzycia — wiele cech uzasadniających zastosowanie tej analogii.

Sytuacja obecna jest daleka od tego, czego oczekiwano. Suwerenność państw przyjęła różne stopnie gradacji — od suwerenności wyłącznie formalnej poprzez suwerenność ograniczoną w różnorodnym stopniu i pod różnymi względami do suwerenności absolutnej trzech lub dwóch uprzywilejowanych narodów. W chwili dzisiejszej wszystkie państwa należą do jednej z trzech kategorii: nadpaństw — zdolnych prowadzić samodzielną i suwerenną politykę; państw — niezdolnych do samodzielnej polityki, lecz będących w stanie dokonać wyboru i podjąć decyzję połączenia swych losów z jednym z nadpaństw; podpaństw — pozbawionych wolności wyboru przysługującej państwom i zmuszonych bądź przez swą słabość, bądź położenie geograficzne, bądź przez oba te czynniki łącznie, do istnienia w sferze wpływów jednego z nadpaństw. Tak wygląda rzeczywista mapa świata powojennego.

W końcowym okresie wojny obowiązywała formułka, mówiąca o pięciu wielkich mocarstwach. Wkrótce jednak okazało się, że jest to tylko wyrażenie kurtuazyjne. Ani Francja, ani Chiny nie mogły sprostać pozostałym partnerom, będąc wielkimi mocarstwami jedynie w sensie tradycyjnym lub potencjonalnym. Redukcja Big Five do Big Three była wynikiem naglącego poczucia realizmu. Nie jest to jednak jeszcze redukcja ostateczna.

Podziały władzy nad światem były zawsze dotąd w historii początkiem walki o władzę całkowitą, triumwiraty lub duumwiraty kończyły się cesarstwem lub dyktaturą. Sytuacja obecna nie zdaje się stanowić wyjątku. Ledwie poczucie realizmu zmniejszyło liczbę nadpaństw z pięciu do trzech, rozpoczęła się eliminacja trzeciego partnera, jako dalszy etap wyścigu o niepodzielną władzę nad światem. Dwa potężne mocarstwa istnieć mogły jednocześnie w odległej przeszłości, gdy dzieliły je przestrzenie nie do przebycia. Chiny nie wykluczały Babilonu, Kartagina — Persji. Lecz Rzym i Kartagina nie mogły istnieć nawet w świecie starożytnym, chociaż dzielące je morze było buforem skuteczniejszym, niż są dziś całe kontynenty i oceany. W wieku, w którym pociski raketowe uzbrojone w bomby atomowe wygubić mogą szybko i skutecznie antypodów, przestrzeń przestała odgrywać jakąkolwiek rolę. Gdy istnieją trzy nadpaństwa ujawnia się tendencja do eliminacji jednego z nich i pozostawienia tylko dwóch. Ta sama tendencja działać musi z konieczności, gdy pozostaną tylko dwa. Prawo eliminacji nadpaństw prowadzi ostatecznie do "jednego państwa dla wszystkich", najpierwotniejszej formy państwa światowego.

Teza, iż zjednoczenie świata nastąpi raczej w wyniku podboju aniżeli poprzez ewolucję w poszukiwaniu politycznej struktury świata odpowiadającej warunkom technicznemu i ekonomicznemu, nie pociąga za sobą z konieczności twierdzenia, iż wojna o panowanie nad światem jest nieunikniona. Zasadniczo istnieją inne drogi rozwiązania obecnego napięcia prócz konfliktu zbrojnego. W pewnych okolicznościach plan międzynarodowej kontroli energii atomowej, znany pod nazwą planu Barucha, może być przyjęty przez wszystkie państwa. Oznaczałoby to faktycznie powstanie państwa światowego, w tym wypadku państwa światowego noszącego nazwę Pax Americana. Z drugiej strony daje się pomyśleć taki bieg wydarzeń, iż poprzez głębokie wstrząsy i przewroty w państwach na Zachodzie świat zjednoczy się pod egidą drugiego wielkiego mocarstwa i nastąpi okres Pax Sovietica.

Niezależnie która z tych dwóch możliwości urzeczywistni się oraz niezależnie od okoliczności, w jakich nad światem zapana Pax Sovietica lub Pax Americana, żadna z nich nie będzie stanowić rządu światowego. Tak Pax Sovietica jak Pax Americana będą mocarstwami o zasięgu światowym, a nie rządem światowym. Nie mniej, o ile można pomyśleć, iż Pax Americana po zjednoczeniu świata odgórnie ulec może powolnemu przekształceniu od wewnątrz na rząd światowy w znaczeniu, w jakim była poprzednio mowa, o tyle podobna przemiana Pax Sovietica nie wydaje się prawdopodobna.

## V.

Jakie są zasadnicze linie przewodnie dla tych wszystkich



przemian, których należy dokonać, by przekształcić Pax Americana na rząd światowy? Gdy mówimy o mocarstwie o zasięgu światowym, amerykańskim lub sowieckim, mamy na myśli pewną replikę Stanów Zjednoczonych lub Unii Republik Sowieckich w olbrzymim powiększeniu. W przeciwieństwie do tego rządu światowego nie należy sobie wyobrażać jako odpowiednika rządu współczesnego państwa, o tych samych licznych i różnorodnych funkcjach, różniącego się zaś jedynie obszarem, na którym sprawuje władzę. Według rozwijanej tutaj koncepcji rząd światowy wyrasta z tych przemian politycznych, ekonomicznych i technicznych w strukturze świata, które wskazują, iż pewne funkcje nie mogą być pozostawione poszczególnym państwom, ich blokom lub regionalnym ugrupowaniom, ponieważ wówczas nie mogą one być wykonywane wcale, lub tylko w sposób niedoskonały, lub wreszcie ze szkodą innych państw. W tych i tylko w tych dziedzinach rząd światowy winien posiadać prawa suwerenne nad całym światem. Innymi słowy: według rozwijanej tutaj koncepcji rząd światowy opiera się na zasadach federalnych.

Analiza poprzednio przeprowadzona ujawniła konieczność wyposażenia rządu światowego w trzy funkcje. Po pierwsze — zapewnienie pokoju i poszanowanie prawa w stosunkach międzynarodowych. Po wtóre — w rękach rządu światowego spocząć winna ochrona praw jednostki we wszelkich konfliktach między państwem i obywatelem. Po trzecie — rząd światowy winien dysponować ośrodkiem planowania gospodarczego z zasadniczym celem zapewnienia wszystkim minimalnego standardu wyżywienia i życia. Podczas gdy dla skutecznego wykonywania trzech wymienionych funkcji istnieć musi ośrodek władzy o zasięgu światowym, wszystkie inne zadania, które mogą być rozwiązane lokalnie lub regionalnie, winny być pozostawione związkowi federacji, federacjom i poszczególnym państwom. Szczególne problemy właściwe różnym częściom świata, ich różna tradycja i kultura, różne stopnie rozwoju technicznego i ekonomicznego, wreszcie naturalne i pożądanе dążenie do zachowania różnorodności narodowej lub regionalnej, wykluczają zlanie wszystkich państw i narodów w ramach jednego państwa. Ograniczenie suwerenności nie oznacza bowiem wcale, jak twierdzą przeciwnicy uniwersalizmu, zniesienia odrębności narodowych i prawa narodów do życia według własnego wyboru. Ograniczenie suwerenności oznacza tylko, iż pole tego wyboru jest zamknięte pewnymi ramami, systemem praw równych dla wszystkich, które sprawiają, iż wolność lub dobrobyt jednego narodu nie są oparte na niewoli i wyzysku innego. Z tej przyczyny federalizm stanowi rozwiązanie problemu ograniczenia suwerenności przy jednoczesnym zachowaniu narodowych lub regionalnych odrębności. Istotą federacji jest bowiem zrzeczenie się przez państwa wchodzące w jej skład pewnych praw suwerennych na rzecz rządu federalnego pozostawiając sobie

uprawnienia, których wolne wykonywanie nie narusza interesów innych państw wchodzących w skład federacji. Rozdział władzy ustawodawczej i wykonawczej między rządem federalnym i rządami sfederowanych państw jest najistotniejszą cechą systemu federalnego. Tak np. szkolnictwo, opieka zdrowotna, kodeks karny itp. mają znaczenie lokalne, tzn. decyduje, jakie poszczególne państwa podejmują w tej dziedzinie dotykają tylko ich własnych obywateli. Lecz w sprawach zbrojeń, polityki zagranicznej, handlu, waluty, swobody poruszania się, planowania produkcji itp. decyzje każdego państwa posiadają pośrednie lub bezpośrednie następstwa dla państw innych. System federalny bierze tę różnicę pod uwagę i dokonuje stosownego rozdziału władzy między rządem federalnym i państwowym.

Według rozwijanej koncepcji rząd światowy nie jest niczym innym jak rządem federalnym federacji lub związków federalnych. Stanowi on jednocześnie niezbędne uzupełnienie systemu federalnego. Po pierwsze dlatego, iż nawet takie przekształcenie polityczne świata, iż składałby się on z pewnej liczby federacji nie wykluczałoby odrodzenia się obecnych konfliktów, różniących się od nich tylko gwałtownością (stosownie do zwiększonego potencjału ekonomicznego i militarnego) i faktem, iż partnerami nie byłyby państwa, lecz federacje państw. Po wtóre, wynalazczość ludzka i umiejętność użycia sił materialnych tak dalece wyprzedziła umiejętność kontroli namiętności i energii człowieka, iż bez federalnego rządu światowego, nakrywającego wszystkie federacje lub związki federalne, nie jesteśmy w stanie usunąć niebezpieczeństwa wojny atomowej. Z drugiej strony rozbudowa systemu federalnego stwarza dopiero strukturę świata, umożliwiającą decentralizację władzy niezastrażonej specyficznie dla rządu światowego. Bez ustopniowania i wzajemnego podporządkowania sobie funkcji pozostawionych państwom, federacjom, związkowi federalnym, rządowi światowemu, ośrodek władzy o zasięgu światowym byłby przyjęty jako przemoc i tyrania, od której narody posiadające wizję własnej przyszłości starałyby się uwolnić. Państwo światowe, w którym cała ludzkość żyłaby jako wolni i równi obywatele, jest pięknym, lecz bardzo odległym, niemal zagubionym w przyszłych wiekach, lub tysiącletniach marzeniem.

Koncepcja rządu światowego, która zarysowuje się przed nami, jest więc drogą pośrednią między mocarstwem o zasięgu światowym, a taką formą organizacji życia międzynarodowego, w której wszelka władza jest uzależniona i podporządkowana jej częściom składowym — rządowi poszczególnych państw. Przykładami takiej organizacji międzynarodowej są Liga Narodów i N.Z. i znane są one pod ogólną nazwą konfederacji. Przeszłość i terażniejszość dostarczają przekonujących dowodów, iż konfederacja jest złudną i niebezpieczną formą ładu międzynarodowego. Z drugiej strony historia Stanów Zjednoczonych wykazała, iż konfederacja nie jest także skuteczną formą regio-



nalnej organizacji. W 1777 r. 13 kolonii amerykańskich zawiązało konfederację, powołując do życia Kongres Stanów Zjednoczonych z wyłączną władzą we wszelkich sprawach dotyczących pokoju i wojny, umów i traktatów, sił zbrojnych i polityki finansowej. W Kongresie, który sprawować miał tę władzę, zasiadali jednak przedstawiciele poszczególnych stanów. Jego decyzje obowiązywały tylko wówczas, gdy uzyskiwały zgodę co najmniej 9 z nich. Wreszcie Kongres nie miał prawa nakładania podatków. W ten sposób mniejszość stanów mogła przeciwstawić się skutecznie każdej decyzji i każdy stan mógł unicestwić jakąkolwiek decyzję większości, nie nakładając podatków potrzebnych do jej wykonania. W kilka lat później Konfederacja St. Zjedn., witana w chwili jej zawiązania z entuzjazmem, przestała faktycznie istnieć. Historia Stanów Zjednoczonych potoczyłaby się zapewne inną koleją, gdyby Confederation z 1777 r. nie została zastąpiona w 1787 r. przez Federal Convention, stanowiącą pierwowzór dla innych państw federalnych w XIX w. oraz dla współczesnego ruchu federalnego w Europie.

Różnica między federacją i konfederacją nie jest sprawą formalną i nie polega na subtelnościach językowych i prawnych. Jest to różnica istotna i praktyczna. O ile konfederacje, bądź jako struktury regionalne, bądź światowe, nie zdały egzaminu życia, o tyle federacje w ścisłym tego słowa znaczeniu okazały się trwałą i skuteczną, tzn. spełniającą swój cel, formą między państwową organizacją. Z doświadczenia historycznego wyrastają przeto nadzieje, jakie łączą się z powstaniem federalnego rządu światowego, opartego na regionalnych federacjach lub związkach federacyj.

## VI.

W niedokończonym jeszcze, monumentalnym dziele "A Study of History", prof. A. Toynbee zebrał olbrzymią ilość faktów dotyczących powstania, rozwoju, upadku i śmierci 26 znanych w historii cywilizacji. Z tych 26 cywilizacji 21 zniknęło całkowicie, 4 nadal istnieją ulegając głębokim przeobrażeniom równowaznym upadkowi i rozkładowi ich specyficznych właściwości, i tylko jedna — Cywilizacja Zachodnia jest nadal w rozwoju i ekspansji. W przestrzeni rozszerzyła się ona na cały świat, w kontroli sił natury osiągnęła więcej, niż którakolwiek z jej poprzedniczek i wszystko zdaje się wskazywać, iż pod tym względem jej możliwości są nadal niewyczerpane. Lecz obok znaków żywotności, Cywilizacja Zachodnia wykazuje liczne ślady głębokich wewnętrznych konfliktów, załamania i niepowodzeń w rozwiązywaniu nowych problemów, od których dalsze jej istnienie może zależeć. Nie powstały one ani dzisiaj ani wczoraj. Narastają one od 150 lat od chwili gdy Wielka Rewolucja wyzwoliła potężne prądy społeczne, Deklaracja Praw Człowieka i Amerykańska Deklaracja Niepodległości postawiła przed oczyma czło-

wieka i narodów dynamiczne idee wolności i równości, technika przekształciła powierzchnię ziemi, powiązała ze sobą losy kontynentów i najbardziej odległych od siebie państw. Twierdzenie, iż rozwój wydarzeń zapoczątkowany w XIX w. urzeczywistnia cele wzajemnie wykluczające się i że w związku z tym zakończyć się on musi powszechną katastrofą, byłoby bardzo pesymistyczną i nieuzasadnioną spekulacją. Lecz trudno określać jako przesadę przekonanie, iż rozwiązanie problemów międzynarodowego bezpieczeństwa, nowej politycznej i ekonomicznej struktury świata, od której zależy już nie tylko dobrobyt, lecz bezpieczeństwo od głodu szybko rosnącej liczbowo ludności, wymaga radykalnych zmian, odbiegających daleko od przyzwyczajonej i kategorii myślenia przekazywanej nam przez wiek XIX. Wydaje się także, iż jeżeli te radykalne zmiany nie będą szybko przeprowadzone, staniemy się świadkami wstrząsów społecznych, wojen lokalnych i światowych, które zepchną nas w stan kompletnego chaosu, wzajemnego niszczenia się, i ostatecznie w stan barbarzyństwa. Upadek cywilizacji przeszłości, mówi jeden z wniosków prof. Toynbee, był zawsze aktem samobójczym. Cywilizacje ginęły na skutek układu okoliczności, które człowiek był w stanie zmienić i obrócić na własną korzyść, lecz czego nie uczynił, ponieważ nie rozpoznał groźby, zaniedbał lub nie zdołał się na właściwe działanie.

Trudność problemu naszych czasów sprowadza się do jego wymiarów. Nie polega on bowiem na stworzeniu nowego porządku w pewnej części Europy, Afryki lub Azji, lub nawet na oparciu na nowych podstawach organizacji całych kontynentów. Cóż osiągnęłaby np. Federacja Europy Zachodniej w świecie, w którym zamiast międzynarodowej kontroli energii atomowej istniałby wyścig zbrojeń atomowych dwóch pozaeuropejskich mocarstw światowych? Jaki byłby zysk, poza manifestacją samobronną, w stworzeniu europejskich sił zbrojnych, jeżeli — jak na to wskazuje obecny układ potencjałów militarnych — byłyby one tylko środkiem w rozgrywce o panowanie nad światem przez jedno mocarstwo? Do czego służyć może ekonomiczna współpraca Europy Zachodniej, jeżeli — jak wiemy o tym dzisiaj — nie jest ona w stanie osiągnąć zrównoważonego budżetu handlowego, czyli innymi słowy uchronić 230 milionów od kłęski bezrobocia, dezorganizacji wewnętrznej, upadku standardu życia? Nie jesteśmy w stanie osiągnąć bezpieczeństwa od wojny, stworzyć sprawiedliwego systemu społecznego, utrwalić panowania prawa między narodami, uchronić się od klęsk gospodarczych i niedostatku, przez zmiany ograniczone do jednego państwa lub ich grup. Pomyślnie i trwałe rozwiązanie tych problemów w skali lokalnej i regionalnej jest bezpośrednio uzależnione od uprzedniego rozwiązania ich w skali światowej. Budowa nowej struktury świata na zasadach federalnych przez tworzenie federacji w poszczególnych jego częściach bez światowego rządu federalnego nie posiada szans



przetrwania nadchodzących burz lub usunięcia trudności które je powołują do życia.

Problem nasz charakteryzują nie tylko jego wymiary, lecz także czynnik czasu. Zagadnienia poszczególnych państw są tak ściśle związane z zagadnieniami regionalnymi, kontynentalnymi, światowymi, iż nie jesteśmy w stanie pozwolić sobie na kolejne, stopniowe, hierarchiczne budowanie coraz szerszej nowej organizacji politycznej i ekonomicznej świata. Belgia dzieli losy Beneluxu, Benelux — Europy Zachodniej, Europa Zachodnia — całego świata. Rozpatrując problem ekonomiczny lub bezpieczeństwa na którymkolwiek stopniu pośrednim między indywidualnym państwem a rządem światowym, widzimy iż możemy go rozwiązać w zależności od jego rozwiązalności w skali światowej. Rząd światowy nie jest więc czymś do czego dążyć powinniśmy przez powolne zmiany, nie jest on osiągalny przez ewolucję i gradualizm. Rząd światowy, od którego nasza przyszłość zależy, jest nie tylko koncepcyjnie, lecz także w sensie technicznym i praktycznym, celem wyprzedzającym inne instytucje pełnego federalnego porządku międzynarodowego.

Z. JORDAN.

## Na jakie cele kulturalne obrócić fundusze Skarbu Narodowego

(Wynik ankiety)

Wynik ankiety przeszedł wszelkie oczekiwania. Wpłynęło kilkadziesiąt odpowiedzi — w tym wiele wyczerpujących opracowań, liczących po kilkanaście stron pisma maszynowego. Odpowiedzi nadeszły z całego świata.

Liczni nasi korespondenci bardzo wydatnie poszerzyli temat ankiety. Reprezentują oni pogląd, że polityka kulturalna jest tylko fragmentem ogólnej polskiej polityki emigracyjnej i wskutek tego spraw kultury nie można rozpatrywać w oderwaniu od reszty zagadnień emigracyjnych. Autorzy ci sądzą nie bez racji — że zlikwidowanie obecnego "kryzysu" politycznego jest zasadniczym warunkiem upowszechnienia idei Skarbu Narodowego a tym samym wydatnego zwiększenia wpływów.

Bardzo interesującą wypowiedź na ten temat nadesłał p. Wojciech ZALESKI. Sądzi on:

"że budżet, uwzględniający wydatki władz centralnych w proporcji umożliwiającej ich działanie na poziomie działalności władz małego państwa przedwojennego i wydatki na opiekę społeczną, administrację, tudzież oświatę i kulturę w wysokości wydatków przedwojennego państwa polskiego na głowę ludności nie jest wcale takim nieosiągalnym marzeniem, jak to się na pierwszy rzut oka wydaje. Wystarczyłoby w tym celu powiększyć wpływy Skarbu Narodowego **czternastokrotnie**, by uzyskać kwoty, o które chodzi, w walucie zwanej "złotym Polski przedwojennej" w języku dekretu Prezydenta R.P. Ta waluta jest, jeśli idzie o siłę nabywczą, mniej warta niż rzeczywisty złoty Polski przedwojennej, ale rozpiętość wynosi de facto niewiele. Sądzę, że czternastokrotne zwiększenie wpływów Skarbu Narodowego leży w granicach możliwości, a warunkiem jego jest swego rodzaju **zjednoczenie narodowe na uchodźstwie**. Przy powszechnym poparciu akcji Skarbu Narodowego byłoby możliwe a) trzykrotne powiększenie liczby płatników, b) czterokrotne zwiększenie stawki podatku, to znaczy podniesienie jej do 2% dochodu. W sumie daje to czternastokrotne powiększenie obecnych wpływów Skarbu Narodowego. Nie wiem, jak są obecnie te wpływy obliczane, ale wydaje mi się, że nie powinny być mniejsze niż 4.000 funtów we wszystkich krajach. Realnie pod wyżej wymienionymi warunkami jest uzyskanie 48.000 funtów miesięcznie, czyli 960 tysięcy złotych Polski przedwojennej.

Trzeźwi politycy emigracyjni będą takie nadzieje uważać za czystą fikcję. Przypisać to należy brakowi wyobraźni. Możemy sobie łatwo wyobrazić, że kilkadziesiąt tysięcy ludzi pójdlie dobrowolnie przelewać



swoją krew, ale nie możemy sobie wyobrazić, by tyleż samo ludzi zgodziło się oddawać państwu na wygnaniu 2% swoich dochodów. Jeżeli weźmiemy pod uwagę że np. ochotniczy zaciąg do wojska oznacza ofiarowanie powiedzmy 10% swego życia wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, to dojdziemy do wniosku, że coś się w tym rachunku nie zgadza i dość dokładnie wiemy co. Istnieje mianowicie kryzys zaufania, a rozbiście polityczne, nie mające głębszego uzasadnienia, przyczynia się do jego pogłębienia."

Kryzys zaufania i rozbiście polityczne są powodem, że kwoty które dziś można poświęcić na cele kulturalne są znikome. By uniknąć rozproszkowania tych niewielkich sum autor streszcza program do dwóch pozycji:

"Wydaje mi się, że najbardziej celowe byłoby zużycie istniejących funduszy na podniesienie czytelnictwa prasy i książek. Podkreślam: na podniesienie czytelnictwa, a nie na subwencje dla pism i wydawnictw. Rozdziła takich subwencji między poszczególne wydawnictwa byłby niecelowy, gdyż pogłębiliby i utrwalił system wydawania książek i pism **nieczytanych**. Praktycznie wyobrażam sobie to tak: w każdym ośrodku, w którym jest to możliwe ze względu na ilość Polaków, istnieje lub może być założona czytelnia pism, połączona z wypożyczalnią książek i salą zebrań. Otóż kierownik czy kierowniczka takiej czytelnicy powinna jeszcze dodatkowo zajmować się dwiema czynnościami: przyjmowaniem prenumerat pism i sprowadzaniem książek dla swojej klienteli, zaś lokal czytelnicy czy wypożyczalni powinien być zarazem lokalem dla zebrań czy nawet spotkań towarzyskich."

Bardzo różnie zapatrują się korespondenci na sprawę szkolnictwa, Paweł HOSTOWIEC pisze:

Nie wiem sam co napisać w odpowiedzi na Pańską ankietę w sprawie Skarbu Narodowego. Najrozumniejszym jego celem byłoby wychowanie pewnej ilości młodzieży w sposób odpowiadający zadaniom emigracji politycznej. Dotąd stypendia rozdawano niemal wyłącznie studentom przygotowującym się do tzw. zawodów praktycznych, w których najłatwiej znaleźć zarobek na obczyźnie. Już i w kraju młodzież szła tą drogą najmniejszego oporu. Emigracji politycznej nie chodzi jednak o samo utrzymanie się przy życiu. Aby spełnić swoje zadanie, emigracja musi znaleźć i wychować pewną ilość młodych ludzi znających historię swego kraju i krajów sąsiednich, ich język i kulturę. Osób posiadających takie wykształcenie jest i wśród dorosłych emigrantów bardzo niewiele. Po ich śmierci nie będzie nikogo, bo nikt nie zachęcał młodzieży do studiów humanistycznych. Nie będzie nawet komu uczyć młodszych, gdyby wytworzyły się pomyślniejsze do tego warunki. Obcy się tym nie zajmą, bo co warta jest dla nich kultura, którą sami nie chcą się zająć? Emigracja musi więc sama znaleźć środki i drogi do utrzymania istniejących jeszcze zagranicą wydawnictw polskich, do utrzymania przy życiu niewielkiej garstki osób, upierających się przy pisaniu po polsku i na wychowanie niewielkiej chociażby grupy polonistów, mogących zastąpić starszych, kiedy ci ostatni umrą z głodu i obrzydzenia."

P. Wojciech ZALESKI swój pogląd na tę sprawę formułuje jak następuje:

"Utrzymanie szkół powszechnych polskich na koszt Skarbu Narodowego jest obecnie niemożliwe, a przy tym mam poważne wątpliwości co do postulatu czysto polskiej szkoły powszechnej na emigracji. Nie można po prostu wymagać od rodziców, by posyłali dziecko do takiej szkoły, jeżeli po pierwsze skazuje to dziecko na upośledzenie

w kraju, w którym przebywa, a po drugie jeżeli polskiej szkoły powszechnej nie da się utrzymać na odpowiednim poziomie. Myślę, że rozwiązaniem lepszym i bardziej wykonalnym będą szkoły dwujęzyczne wzgl. uzupełnienie szkoły w języku obcym przez naukę języka polskiego."

Mjr dypl. Mieczysław JURKIEWICZ w obszernym referacie rozważa zagadnienie kultury na emigracji na tle szeroko zakreślonego planu ogólnej polityki polskiej. Dotychczasowe osiągnięcia na "niwie kulturalnej" poddaje autor surowej krytyce:

"Doświadczenia ostatnich lat pięciu na emigracji są bardzo pouczające w sensie oczywiście negatywnym. Wojsko w szlachetnym geście rzuciło na cele kulturalne wprost wspaniałe sumy, głównie z bezpośredniej ofiarności żołnierza. I właśnie po pięciu latach doczekaliśmy się sytuacji, że polskie placówki kulturalne — jedna po drugiej się przewracają, a teren aż kipi od kłótni co ważniejsze: przedszkole, czy liceum, szkoła powszechna, czy zawodowa, uniwersytet czy instytuty naukowe. Dlaczego tak? Odpowiedź prosta: nie było ustalone o co chodzi, nie było żadnego jednolitego planu działania na szczeblu najwyższym, odpowiedzialnym za zorganizowanie walki o byt kulturalny emigracji i narodu."

Zadania kulturalne emigracji formułuje autor następująco:

"Widzę trzy istotne grupy zadań dla emigracji na odcinku walki o samodzielność i niepodległość kulturalną narodu:

1. Obrona czystości rodzimej kultury polskiej w obliczu groźby jej zagłady w kraju przez wrogię prąd, i stworzenie warunków dalszego naturalnego jej rozwoju na emigracji.
2. Produkowanie własnych kadr kulturalnych tymczasowo na potrzeby emigracji, w istocie jako bazę przyszłego odrodzenia kraju.
3. Uratowanie dla polskości maksimum sił żywych, przede wszystkim dzieci i młodzieży, aby z możliwie dużej masy żywej zapewnić kulturze stały dopływ nowych świeżych sił."

Konsekwencją tych zadań są wysunięte przez autora postulaty:

- a) "Konieczność istnienia jednolitego kierownictwa, świadomego istoty podjętej walki kulturalnej i przyjmującego odpowiedzialność za swe poczynania przed historią (nie obawiamy się aż takiego słowa).
- b) Konieczność utrzymywania własnych instytutów naukowych najwyższego rzędu, jako warsztatu pracy naszych uczonych na emigracji.
- c) Konieczność stwarzania warunków pracy twórczej dla naszych uczonych i artystów na emigracji."

Jak widzimy mjr JURKIEWICZ jest zwolennikiem centralizacji i jednolitego planowania i kierownictwa. Większość naszych korespondentów wyraża pogląd wprost przeciwny, proponując stworzenie odrębnej, niezależnej instytucji dla spraw kultury na emigracji.

Jeżeli chodzi o problem szkół autor jest zdania, że musimy posiadać szkolnictwo całkowite tj. "wszelkich szczebli od przedszkola po uniwersytet jeżeli nie dla wszystkich to przynajmniej dla takiego minimalnego procentu na jaki nas stać, a jaki jest konieczny by masa emigracyjna nie stała się proletariatem w kraju osiedlenia".

Bardzo ciekawe są wyniki "badania opinii publicznej", prze-



prowadzone w ramach ankiety "Kultury" przez ZARZĄD KOŁA SPK, Nr. 320 w Penn Wood, Bucks, Anglia.

23 osobom przedstawiono następujący kwestionariusz:

1. Czy zdaniem Pana-Pani nie należałoby utworzyć niezależnego od Rządu ciała komisji, grupującej w sobie fachowców kulturalnych, jak pisarze, dziennikarze, profesorowie, aktorzy i działacze społeczni, którzy by opracowali plan założeń polskiej polityki kulturalnej na emigracji?

2. Czy należałoby ufundować stypendia dla wybitnych polskich naukowców, by umożliwić im specjalizację i dalszy rozwój naukowy?

3. Czy nie należałoby ustalić stałych nagród państwowych za: twórczość literacką, publicystyczną, aktorską i plastyczną, chóry i muzyczną, jeśli tak, to w jakiej kolejności należałoby te nagrody "poważać" do życia?

4. Czy zdaniem Pana-i takie pisma, jak "Wiadomości" i inne, borykające się z ogromnymi trudnościami finansowymi, powinny otrzymywać stałą pomoc finansową z "Funduszu Kultury", co w żadnej mierze nie może krępować ich niezależności?

5. Czy, gdyby pozwoliły na to fundusze, nie należałoby praktycznie dopomóc steranym życiem, starszym, wybitnym przedstawicielom kultury polskiej?

6. Czy zdaniem Pana-i projekty zasad polityki kulturalnej i wydatki na te cele powinny być podawane opinii publicznej do wiadomości i dyskusji?

7. Czy jest Pan-Pani zdania, że na emigracji Rząd wygnańczy powinien utworzyć Ministerstwo Kultury?

Wynik ankiety był następujący:

Pyt. 1	Tak	— 22 osoby,	Nie	..... 1 osoby
Pyt. 2	Tak	— 22 „	Nie	..... 1 „
Pyt. 3	Tak	— 19 „	Nie	..... 4 „
Pyt. 4	Tak	— 14 „	Nie	..... 9 „
Pyt. 5	Tak	— 2 „	Nie	..... 21 „
Pyt. 6	Tak	— 23 „	Nie	..... 0 „
Pyt. 7	Tak	— 1 „	Nie	..... 22 „

Jeżeli chodzi o kolejność nagród (punkt 3.) ustalono je następująco:

1) literacka, 2) aktorska, 3) publicystyczna, 4) muzyczna (głównie śpiew chórny). Dopiero na 5-tym miejscu wymieniono plastykę i grafikę.

Na podkreślenie zasługuje jednolita opinia w sensie negatywnym w odniesieniu do projektu "ministerstwa kultury". Wszyscy zapytywani wypowiedzieli się za komitetem (czy komisją) niezależną od rządu.

Biorący udział w ankiecie wyrazili pogląd, że w pierwszym rzędzie winny się znaleźć pieniądze na polskie szkoły powszechne z językiem angielskim jako jednym z przedmiotów — w wypadku przeciwnym nie będzie rzeczą możliwą obronić polską młodzież przed wynarodowieniem.

Stanowisko pośrednie między opiniami mjr JURKIEWICZA a

KOLEM SPK Nr 320 — zajmuje dr Aleksander MELEŃ-KORCZYŃSKI:

"Sowietyzacja i rusyfikacja kultury w Polsce pod okupacją wysuwa sprawę zachowania polskiej kultury na emigracji na czoło naszych zadań. Stąd nie tylko przeznaczenie rzeczowe funduszy na cele kulturalne jest ważne, ale również i sam sposób w jaki będzie się nimi gospodarować. Wydaje się mianowicie wskazane nadanie gospodarowaniu funduszami na cele kulturalne specjalnej formy organizacyjnej. Realizację tego można by osiągnąć przez powołanie **Funduszu Kultury Narodowej**. Dotacja ze Skarbu Narodowego na cele kulturalne byłaby każdorazowo przekazywana do tego Funduszu. Fundusz ten powinien mieć własną, odrębną osobowość prawną tak, aby prócz tej dotacji mógł również przyjmować dary osób prywatnych i instytucyj. Odpowiedni statut Funduszu winien zapewnić z jednej strony udział w jego zarządzie przedstawicieli zreszcie kulturalnych, z drugiej przedstawicieli Rządu, Rady Narodowej i komisji Skarbu Narodowego."

Z uwagi na szereg możliwości dr MELEŃ-KORCZYŃSKI proponuje ograniczyć się do trzech punktów: "1) Podtrzymanie "Kultury" i "Wiadomości", 2) Stypendia na wyższym szczeblu naukowym (nie dla studentów), 3) Subwencje na druk prac literackich i naukowych".

P. Aleksander GROBICKI z Toronto jest nie mniejszym zwolennikiem decentralizacji jak członkowie SPK w Penn Wood:

"Stoimy w obliczu ostatniej już może próby zabezpieczenia kulturalnych potrzeb emigracji polskiej. Próby wtargnięcia z powrotem — sercem, rozumem, pieniędzmi i siłą nawet — na opustoszałe polskie podwórka, coraz bardziej zarzucane już nie tyle obcą kulturą co obcym śmieciem. Do próby tej wezwałbym ludzi losem kultury polskiej najbardziej zainteresowanych, którzy by nie pętał jej zagadnieniami politycznymi lecz dołożyli wszelkich sił, by ta "część wpływów przeznaczona na cele kulturalne" stała się największą i najważniejszą pozycją Skarbu Narodowego, stworzyła z niego prawdziwy Sezam, z którego kultura polska, wyrosła na polskiej ziemi, z polskiego ducha i ulepiona polskimi rękoma mogłaby czerpać swoje żywotne soki — choćby już nas samych nie stało. Jeżeli bowiem do tego nie doprowadzimy, będziemy mieli w przyszłości "kulturę" sowiecką w Polsce i "kulturę" second-hand anglo-saską na emigracji...

By uniknąć smutnej pamięci sybysydów rządowych, proponuję utworzenie **Centralnego Instytutu Kultury Polskiej na Emigracji**. Wybranie — a nie delegowanie — członków do tego Instytutu poleciłbym włącznie organizacjom cele kulturalne stawiającym sobie na pierwszym miejscu, przy czym nie mogłoby zabraknąć w ich szeregach przedstawicieli kultury polskiej z Kontynentu, Ameryki czy innych części świata. Kategorycznie za to wyłączyłbym od jakiegokolwiek wpływu na stworzenie Instytutu czy też wybór jego członków wszystkie partie polityczne, stowarzyszenia i organizacje pseudo-polityczne, zawodowe czy nawet społeczne. Niech losem kultury polskiej na emigracji zajmują się wyłącznie ludzie w krzewieniu tej kultury i dalszym jej kształtowaniu najbardziej zainteresowani."

Melchior WAŃKOWICZ nadesłał odpowiedź na ankietę oraz Na marginesie Ankiety". Margines zwłaszcza zawiera wiele dy-



skusyjnego dynamitu i sporo poglądów, których nie podziela ani redakcja "Kultury" ani większość naszych korespondentów. Ponieważ porusza on problemy, które trzeba sobie wyjaśnić, będziemy drukowali margines w następnym numerze.

"Nie znam ani sum, ani potrzeb, nie mogę więc brać udziału w ankiecie.

Ale przypuszczam, że w tym samym położeniu znajduje się większość czytelników "Kultury". Dorzucam więc tylko cegiełkę, jak zapewne i oni dorzucą.

Sądzę, że przy dysponowaniu środków, przeznaczonych przez Skarb Narodowy na cele kulturalne, poza jawnością, która została już nam obiecana, należy trzymać się dwóch wskazań:

1. Niech rząd przyznaje pieniądze do dysponowania czynnikom pośrednim, przez co nie będzie bezpośrednio odpowiedzialny za nieuniknione i konieczne potknięcia. W wypadku przeciwnym nie będzie gaff, ale i nie będzie korzyści, tylko pieniądze rozproszkowane przez urzędasów między pieski stojące na dwóch łapkach na makulaturze pracomal-zleconych.

2. Projekty p. Mieroszewskiego wydają mi się b. celowe, a inne mogą być jeszcze bardziej świetne. Ale nie wolno wydawać pieniędzy na najświetniejsze pomysły, nie zapewniwszy wprzód bytu tym, które zdały egzamin. Uchodźstwo ma doskonale redagowany tygodnik i miesięcznik, obydwa wydzwignięte najszlachetniejszą pasją i osobistą ofiarą absolutnie bezinteresownych ludzi, którzy je stworzyli. Im, przede wszystkim, należy zapewnić roczny budżet, a nie skazywać na comiesięczne zabiegi i z góry opancerzyć i te pisma i odpowiedzialność rządową za nie immunitetem niezależności równym temu jakim cieszy się sądownictwo w krajach konstytucyjnych. I, na Boga, nie pouczać. Opinia będzie to robić. Opinia, która część budżetu zapłaci prenumeratami, a część, właśnie, daniną na Skarb Narodowy."

Amb. Michał SOKOLNICKI jest jedynym wśród korespondentów ankiety, który zwraca uwagę na potrzebę pomocy dla pamiętnikarzy i badaczy historii ojczystej. Wypowiada się również za powołaniem odrębnej komisji naukowo-wydawniczo-edukacyjnej:

"Zwążając zagadnienie, uważam za rzecz główną prace nad historią polityczną Polski za okres od przywrócenia niepodległości do ponownego jej utracenia, czyli za lata 1918-1945.

W pierwszym rzędzie, należałoby spowodować i wydać pamiętniki żyjących świadków, poprzez opracowania monograficzne, przystąpić do zbiorowych publikacji dokumentalnych i krytycznych.

W drugiej kolej, popierać kształcenie się młodzieży emigracyjnej w tym zakresie, utrzymując przy tym istotny poziom studiów uniwersyteckich.

W trzecim rzędzie, należałoby poprzeć tę prasę, która, nie zbacząc nigdy z drogi integralnej niepodległości, poświęca swe łamy zagadnieniom historyczno-politycznym.

Wykonanie powyższego zadania winno być powierzone nielicznemu gronu kompetentnych ludzi. Konieczne więc jest wyznaczenie komisji, zarazem naukowej, wydawniczej i edukacyjnej. Obowiązkiem jej byłoby opracowanie w najkrótszym czasie planu, sprawdzenie jakie są możliwości działania i przystąpienie do najbliższych realizowań praktycznych. Im wcześniej to się stanie, tym lepiej. Tym bardziej cenna będzie pomoc dla pamiętnikarzy — dopóki oni jeszcze żyją; dla bada-

czy rzeczy ojczystrych i dla pisarzy oświecających przeszłość — dziś rozsypanych po świecie i pracujących w warunkach, niegodnych ich poziomu i dążenia; dla poważnych czasopism, wydawanych pod ciągłą grozą przedwczesnego zamarcia."

Jest rzeczą charakterystyczną, że tylko dwóch korespondentów wiąże temat ankiety z projektem wysuniętym przez Józefa Czapskiego i Jerzego Giedroycia na Kongresie Kultury w Berlinie.

P. Tadeusz ROMER pisze:

"Niedawne, głośne i tak szczęśliwe wystąpienie Józefa Czapskiego w Berlinie jest doskonałym punktem wyjścia do rozważań w sprawie hierarchii potrzeb kultury polskiej, zasługujących na pokrycie z wpływów Skarbu Narodowego. Niezależnie od tego czy rozwój wypadków przyspieszy lub nie zaprzestanie procesu sowietyzacji Polski, wychowanie młodzieży w duchu polskim jest na obczyźnie zadaniem równie oczywistym, jak siew dla rolnika bez względu na ryzyko pogody czy wydarzeń.

Na własne szkoły wszelkich stopni nie będzie nas na ogół stać dzisiaj. Ale można i trzeba nam będzie znaleźć sposoby, a w ich braku środki, by kształcenie młodzieży polskiej w szkołach obcych uzupełniane było nauką języka, dziejów i obyczajów ojczystych. Na tym jednak nie koniec.

Zdolniejsze jednostki wśród naszej młodzieży na obczyźnie znajdują możliwość ukończenia studiów zawodowych i zatrudnienia w charakterze lekarzy, prawników, inżynierów, naukowców itd., którzy z czasem przydadzą się bardzo i u nas w kraju. Trzeba natomiast z własnych, polskich środków otworzyć przed częścią tej młodzieży widoki zarobkowe w dziedzinach teraz nieopłatnych, a które mają podstawowe dla kultury polskiej znaczenie. Myślę o pisarzu, publicyście, historyku, humaniście, pedagogu, poloniście itp. W tym celu należy poprzeć piśmiennictwo i poczytność wśród naszego uchodźstwa, pracę i ruch wydawniczy. Ponieważ jednak środki nasze są skąpe i przeżywamy na emigracji kryzys zaufania, przeto przestrzegalbym tym bardziej przed stosowaniem w tych sprawach metody subwencji biurokratycznej, która w dziedzinach kultury budzi nawet w normalnych warunkach duże zastrzeżenia.

Pomoc rozdzielana być winna społecznym kanałom organizacji i związków zawodowych, bez kosztów administracyjnych i pod kontrolą publiczną. Służyć przy tym winna w zasadzie nie tworzeniu nowych placówek, organów czy poczynań, lub utrzymywaniu przy życiu zamierających, ale wspieraniu proporcjonalnie do już osiągniętych wyników tych, które wykazały się działalnością zdrową i owocną."

Prof. dr Jerzy Stefan LANGROD kładzie główny nacisk na szkolnictwo podstawowe z polskim gronem nauczycielskim.

"O ile chodzi o nauczanie akademickie, to wydaje mi się, że inicjatywa Pańska, Panie Redaktorze, na kongresie kulturalnym w Berlinie, której dał Pan wyraz w ostatnim zeszycie "Kultury" stanowi najlepsze, chociaż skromne, rozwiązanie. W planie akcji szerszej, obejmującej cały region Europy środkowo-wschodniej, pozwoli się polskiej młodzieży akademickiej uzupełnić studia akademickie odbywane na obczyźnie.

Wreszcie trzeba uwzględnić na jednym z pierwszych miejsc w hierarchii potrzeb sprawę organizacji nauki polskiej, dotychczas całkowicie bodaj zaniedbanej i pozostawionej wyłącznie inicjatywie pry-



watnej. O ile więc mamy na Zachodzie polskich pracowników naukowych, o tyle trudno mówić o istnieniu tutaj nauki polskiej. Zarządzenie temu złu, utrzymanie ciągłości polskiego, niezależnego wysiłku naukowego, opartego na obiektywnie badawczym a przez to broniącym tak pojętego wkładu Polski w dorobek naukowy świata kultury zachodniej, jest nie tylko konieczne, ale także naglące."

Na rolę jaką winny odegrać przekłady dzieł polskiej literatury zwraca uwagę dwóch korespondentów — wybitny pisarz i wybitny tłumacz, Wacław GRUBIŃSKI sformował swą odpowiedź w trzech punktach:

"1) Emigracja polska odczuwa brak taniej książki polskiej.

2) Na angielskim i francuskim obszarze czytelnictwa, (nie mówiąc o obszarach włoskich i hiszpańskich), nie ma przekładów z literatury polskiej.

3) Dziennikarze angielscy i francuscy nie posiadają encyklopedycznego podręcznika, który by był obiektywnym informatorem w sprawach naszej historii, literatury, sztuki, nauki, życia socjalnego.

Nie małą częścią pieniędzy, wpływających na konto Skarbu Narodowego, powinno się zaradzić tym niebezpiecznym brakom."

Józef ŁOBODOWSKI podkreśliwszy konieczność utrzymania polskich pism i umożliwienie pracy pisarzom i naukowcom proponuje utworzenie ośrodków propagandy kultury polskiej:

"Propaganda racji politycznych i historycznych musi być akcją długofalową. Pokazanie zdobyczy kulturalnych na większe znaczenie niż deklamacje o poświęceniach, ofiarach i niedotrzymanych układach. Pozycja Niemiec w Europie i świecie opierała się zawsze bardziej na germańskiej muzyce, literaturze i sztuce, niż na osiągnięciach militarno-politycznych. Jeden mazurek Szopena, zagrany przez polskiego pianistę, waży tysiącokrotnie więcej od stu broszur propagandowych, których i tak prawie nikt nie przeczyta. Mamy wielką literaturę, o której nikt na szerokim świecie nic nie wie. Na Paulów Cazinów nie ma co czekać, bo się ich nie doczekamy. Stworzenie kilku ośrodków tłumaczeniowych pod kierownictwem odpowiednich ludzi mogłoby odrobić zaniedbania poprzednich lat.

Konkretny przykład: język hiszpański jest drugim na świecie co do rozpowszechnienia; ośrodek tłumaczeniowy w Madrycie z wyłotami na kraje Ameryki Południowej i Środkowej (nie chodzi wyłącznie o literaturę piękną, ale również o książki historyczne, naukowe, itd.), po koniecznym wkładzie początkowym, mógłby już po roku zacząć przynosić poważne dochody, niezależnie od znaczenia kulturalno-propagandowego tej akcji."

Wszyscy korespondenci wypowiadają się jednogłośnie za koniecznością utrzymania przy życiu "Kultury" i londyńskich "Wiadomości". P. Michał PAWLIKOWSKI dodaje do tych dwóch pism trzecie: "Wilno i Lwów" St. Mackiewicza. Pani Ewa GIERATOWA apeluje w swej odpowiedzi o pomoc dla miesięczników młodzieżowych już istniejących "Ogniwa" i "Bądź Gotów", które walcą z ogromnymi trudnościami.

Dr Józef PAWLIKOWSKI, prezes Stow. Techników Pol. w Kanadzie oraz dr Jerzy KORAB-BRZOZOWSKI, v. prezes Pol. Instytu-

tutu Naukowego w Belgii podkreślają konieczność otoczenia opieką prac badawczo-naukowych z dziedziny nauk humanistycznych. Ważę studiów humanistycznych ze specjalnym uwzględnieniem prac z zakresu najnowszej historii polskiej podkreśla również w swej odpowiedzi p. Zbigniew MAŁECKI.

P. Stefan ZAMOYSKI stawiając na pierwszym miejscu pomoc studentom wypowiada się za subwencjonowaniem Instytutu Generała Sikorskiego i "Kultury".

P. Józefa RADZYMIŃSKA też uważając że szkolnictwo jest najważniejsze, uważa że należy wzmocnić ruch wydawniczy i zajmując się dziedzinami takimi jak teatr, muzyka i plastyka.

P. Marek ŚWIĘCICKI stawia na pierwszym miejscu pomoc dla teatrów dramatycznych jako, że służą one najszerzszemu masom uchodzącym. P. B. ZNOWSKI również stawia na pierwszym miejscu w hierarchii potrzeb kulturalnych ufundowanie nagród literackich oraz wydatną pomoc dla teatrów dramatycznych.

PP. Witold NOWOSAD i Józef BIAŁASIEWICZ wypuklają wagę przenikania kulturalnego do obcych środowisk podkreślając, że wystąpienie polskiego pisarza czy uczonego na kongresie międzynarodowym może być politycznie skuteczniejsze od dzieł pamiętników.

Na zakończenie zamieszczamy odpowiedzi bardzo indywidualistyczne, które nie podpadają pod żadną klasyfikację.

Do takich należy odpowiedź p. Michała SAMBORA:

Nie podejmuję się odpowiedzieć szczegółowo i wyczerpująco na pytanie ankiety, bo za mało wiem o tym, jakie potrzeby i w jakim stopniu są już zaspokajane z innych funduszy. Mogę tylko rzucić dwie ogólne i luźne uwagi:

1. Kulturze naszej na emigracji, jak każdej innej, trzeba przede wszystkim tego, czego się nie dostanie za żadne pieniądze: — wielkich twórców i wielkich organizatorów życia umysłowego. Mając ich, daliśmy sobie radę z najcięższymi zagadnieniami: i z groźbą wynarodowienia, i z kryzysem czytelnictwa, i z trudnościami przenikania do kraju czy zdobywania światowego rynku... Jest dziś nieurodzaj na wielkość, ale kto wie, czy jedną z głównych jego przyczyn nie jest brak uprawy, pielęgnacji, chuchania... Mamy tu garstkę wybitnych jednostek (które, aby żyć, mogą zaledwie nikły procent energii poświęcić twórczej pracy), gdyby im tak trochę ułatwić życie, dać możliwość spokojnego dojrzewania i niespiesznego owocowania — może byśmy się doczekali paru znakomitości? Włożone w to pieniądze mogłyby oczywiście pójść na marne, to trudno, hodowla pieczarek też się nie zawsze opłaca, ale gra warta będzie świeczki, jeśli choć jeden "obietujący młodzieniec" zamiast wpaść w suchoty wyrośnie nam na wielkiego twórcę.

2. Dysponenci groszem publicznym, z reguły ludzie formacji urzędniczej, mają czasem niezdrowy pociąg do tzw. "inicjatyw", do budowania od podstaw, tworzenia dalekosieżnych planów, "zapoczątkowywania" nowych akcji. Przed tym trzeba by ostrzec. Prawo inicjatywy należy zastrzec dla klerków, urzędnicy niech się zadowolą popieraniem. W naszej emigracyjnej biedzie i popierać trzeba będzie jak najostrożniej; — przede wszystkim te poczynania ratować od upadku, które już zdały egzamin."



P. Wacław IWANIUK proponuje m. in.:

"Jeżeli już pragniemy ratować sytuację, to wydaje mi się, że organizacje polonijne, doświadczone w pracy społecznej i znane ze swej ofiarności powinny tu mieć najwięcej do powiedzenia. "Siedzibą" Skarbu Narodowego nie powinien być nawet Londyn, a jego dystrybutorami muszą być ludzie wyłonieni przez całą emigrację, nie przez wpływowe jednostki lub organizacje.

Na jakie potrzeby winny być obrócone pieniądze Skarbu? Przede wszystkim na co nie powinny być obrócone. Na żadne pensje i honoraria czy koszty manipulacyjne związane ze zbiórką. Są kraje, których ambasadorowie z własnych dochodów pokrywają koszty związane z ich stanowiskiem. My powinniśmy znaleźć takich ambasadorów do gospodarki Skarbem Narodowym. A wtedy każdy cent będzie wydany sprawiedliwie, na potrzeby najkonieczniejsze."

(Członkowie Komisji Skarbu Narodowego nie pobierają żadnego wynagrodzenia — przyp. Red.).

P. Janusz KOWALEWSKI pisze w swej odpowiedzi:

"Pieniążki powinny być łożone bez mrugnienia okiem na hodowlę talentów, aby talenty tworzyły rzeczy piękne bez względu na to, czy będzie na nie aktualny popyt czy nie, czy będą się opłacały czy nie. Nie wolno natomiast pchać forsy w żadną lichotę ludzką i jej partackie szmoncesy. Plunąć trzeba na wszelką tuzinkową tzw. "propagandę", na produkcję mniej lub więcej kretyńskich broszurek i ulotek o tzw. "sprawie polskiej i sioniu", których setki tysięcy rabano w czasie wojny — ku radości piszących je grafomanów, — a które przeminęły z szumem wody w klozecie, nie zostawiając po sobie nic, kompletnie nic, w sercach i mózgach ludzkich.

Talenty trzeba pracowicie wyszukiwać, potem podtrzymywać i krzepić. Nie wolno dopuszczać do takich zbrodni, aby pisarz, mający zadatki na Reymonta lub Sienkiewicza albo nawet większe, zniżał się do drukowania bzdur odcinkowych, aby błaznował jak małpa na linie za funta od felietonu. Nie wolno dopuszczać do tego, aby pewne wydawnictwa na najniższym poziomie, jak owa czarodziejka Kirke, zamieniały prawdziwych pisarzy w Migowe. Taki proces się mści. Obniżanie kultury jest obniżaniem moralności. Większość morderców i innych zbrojców zawdzięcza swe natchnienie kryminalnej literaturze i pornograficznemu szmirom. Oglupianie czytelników konkursami piękności i konkursami na sensacyjne zakończenia sensacyjnych bzdur prowadzi do zborowszczyzny i stefanowiczowszczyzny. W wolnej Polsce należało by tych zawodowych obniżaczy kultury pociągnąć do odpowiedzialności za zbrodnie przeciw kulturze polskiej.

Konkretnie: fundusze przeznaczone w budżecie Skarbu Narodowego powinny być pchane w wyż i w głąb a nie wszcz. Jeśli będzie mało pieniędzy — subsydiować jeden choćby talent, ale prawdziwy, jedno pismo, ale stanowiące prawdziwą pozycję w naszym dorobku kulturalnym. A grafomanów i partaczy należało by popędzić do rzemiosł i handlu, albo przekazać tamtej stronie żelaznej kurtyny wzamian za prawdziwe talenty, które tam są tępione."

Odosobnionym w swych poglądach od reszty korespondentów ankiety jest p. dr A. GAMM:

"Na jakie potrzeby kulturalne winny być obrócone pieniądze Skarbu Narodowego?

Bardzo proste: trzeba przy każdym stronnictwie, popierającym rząd, utworzyć wydział kulturalny i kwoty przewidziane na potrzeby kulturalne rozdzielić równo między te wydziały. — One będą już wiedziały co z nimi zrobić, więc po co my się mamy nad tym głowić, skoro i tak na nikim to nie zrobi wrażenia. Mam niepłonną nadzieję, że mój projekt zostanie zatwierdzony przez Radę Narodową, tudzież że przyczyni się on do zjednoczenia narodowego, jako opierający się na stronnictwach.

P. Zygmunt TURKIEWICZ rzuca myśl stworzenia na emigracji zbiorów dzieł sztuki polskich artystów w oparciu o fundusze Skarbu Narodowego.

P. Janusz JASIEŃCZYK nadesłał następującą odpowiedź:

"Ankiety uważam za przedwczesną. Na Skarb Narodowy nie piąć, bo wydaje mi się, że wyciąganie ręki do obywateli po pieniądze bez jednoczesnego rozpisania wyborów, które by wyłoniły rodzaj sejmu emigracyjnego i zapewniły powołanie poważnego, reprezentatywnego rządu i organów kontrolnych — jest zwykłą nieprzyzwoitością.

Od lat dwunastu nie zajmuję się polityką i uważam, że pisarz, choć może i powinien mieć wyrobione poglądy polityczne, nie powinien należeć do żadnej partii. Moje rozeznanie jest jednak dostateczne, aby twierdzić, że kłócenie się o nieistotne, przeważnie personalne sprawy powinno się odbywać na koszt kłótników.

Rzekome trudności techniczne rozpisania wyborów są absolutnie nieistotne. Historia ruchu syjonistycznego dowodzi, że można przeprowadzać jakie takie wybory w trudniejszych jeszcze warunkach. Należało by nauczyć się tego od Żydów."

Zamyka dyskusję ankietową p. W. A. ZBYSZEWSKI, którego wypowiedź jest przysłowiową szklanką zimnej wody:

"Ułożenie budżetu wydatków jest zawsze uzależnione od preliminarza wpływów. Jak dotąd do Skarbu Narodowego miało wpłynąć około 7 tysięcy funtów. O ile mogę się zorientować, trudno przypuszczać by wpływy te mogły przekraczać około 20 tysięcy funtów rocznie. Suma ta jest tak szczupła, że ledwo może starczyć na utrzymanie władz naczelnych w minimalnym zakresie oraz na opłacenie wiszących zobowiązań, które zawsze i wszędzie muszą mieć bezwzględne pierwszeństwo; można twierdzić, że nieopłacenie długów przez rząd (nawet za ległych pensji jego pracowników) stało się bodźcem dla powierników do traktowania powierzonych im funduszy jako swych prywatnych kapitałów.

Jeśli uwzględnić te dwie nieodzowne kategorie wydatków, to na cele kulturalne nie zostanie nic, albo prawie nic.

Gdyby jednak parę groszy można było na nie przeznaczyć, propowałbym następującą kolejność: 1) Zasiłki dla starych i schorowanych literatów i pisarzy (np. Władysław Studnicki — lat 85 — przymiera głodem); 2) Subwencje na teatry objazdowe, które jedyne w terenie podtrzymują jakieś związki z kulturą; 3) Subwencja na "Kulturę" i "Wiadomości" — jedyne dwa pisma, które ratują honor naszej emigracji a język polski przed ostatecznym skażeniem i zapomnieniem."



Sumując wypowiedzi ankietowe trzeba powiedzieć, że wszyscy korespondenci zgodni są w przekonaniu, iż sprawa kultury polskiej na emigracji, stanowić winna zagadnienie naczelne w hierarchii naszych zadań.

Dwa głosy kobiece p. E. Gieratowej i p. Z. Malinowskiej poświęcone są trosce o młode pokolenie, które tylko wzmoczoną akcją kulturalną zachować będzie można dla polskości.

Nutą zasadniczą dyskusji jest jednak sprawa "kryzysu zaufania". Wydaje się, że to jest "A" od którego wszystko należało by zacząć. Niektórzy korespondenci wytknęli nawet redaktorowi "Kultury", że w pytaniach ankietowych sprawa polityczna zagadnienia została pominięta. Mimo to wielu autorów sprawę tę porusza. Może najcharakterystyczniejszą w tym względzie jest opinia p. Janusza Jasińczyka, a najbardziej konkretną odpowiedź p. Wojciecha Zaleskiego.

Ankieta jest zamknięta — dyskusja otwarta nadal.

Na zakończenie pragniemy podkreślić jeszcze jeden moment. Żaden z naszych korespondentów nie mówi jakie należało by przedsięwziąć kroki, by zrealizować choćby tylko zasadnicze punkty programu kulturalnego popieranego przez większość? Co należało by zrobić, by przekonać panów dysponujących Skarbem Narodowym, że warto finansować inne jeszcze imprezy kulturalne poza... Diariuszem Rady Narodowej.

Mamy na emigracji wolną, niezależną prasę. Prasa ta jest wyrazieliwą wolnej — w sensie demokratycznym opinii. Przykładem choćby omawiana ankieta. Lecz cóż stąd? Opinia społeczna nie ma żadnego wpływu na nasz aparat "państwa na emigracji".

Jakaż jest różnica między państwem z prewencyjną polityczną cenzurą a państwem gdzie istnieje wprawdzie wolność słowa, lecz nie istnieje demokratyczna droga przekształcania opinii większości w aktywną politykę?

Jak długo taki stan rzeczy będzie trwał — rola wolnej polskiej prasy będzie tylko połowiczna, wolność słowa przywilejem bez politycznego znaczenia, demokratyczność "państwa na emigracji" frazesem.

Opracował **Juliusz MIEROSZEWSKI.**

## Coś dobrego o Sowietach

— Mój organizm nie znosi takich bredni. Posłuchaj: "Miliony nieszczęśliwych poddanych czerwonego cara, od Berlina po Nankin, żyją w wiecznym strachu przed tajną policją". — Henryk zmiażdżył gazetę. — Nie ma wiecznego strachu. Nikt nie może być nieszczęśliwy bez przerwy. Ciemżony Dmytro w zagrabionej Horodence, gdy gniecie uciskaną Maruszę, odczuwa w chwili orgazmu to samo ogromne głupie szczęście co wolny Dick odstawiający tęże sztukę z cieszącą się wszystkimi demokratycznymi swobodami Margaret w nieznanym najazdu Miami...

— Oho — pomyślałem — mówi już okresami, to znaczy, że jest "naładowany".

— "Połowa świata pogrążona została w mroku" — gryzmolą panowie dziennikarze. Zapominają, że i nad Rosją słońce świeci. Że śpiewają tam słowiki. Pachną fiołki. Ludzie się kochają, śmieją, grają na bałajkach. Nawet czasem szepczą sobie niecenzuralne kawały polityczne. Wiesz, że byłem w łagrze, ale dostaję młodości, kiedy moi towarzysze stamtąd opowiadają swe mroźne krew w żyłach przeżycia. Myślałby kto, że nic innego tam nie robili, tylko od porannego do wieczornego siusiu zasługiwali na palmę męczeństwa. Tymczasem każdy z nich, tak jak ja, musi mieć stamtąd niejedno też miłe wspomnienie. Przypominam sobie na przykład...

Zdrowy, bez mała dwumetrowy, niezmordowany (także w gadaniu) organizm Henryka miał odrazę do nieporadnych przenośni wypaczanych przez neurastenicznych gryziopiórków (... by utrzymać styl mego rozmówcy) Henryk przyznał zresztą, że jego "przygoda sowiecka" miała stosunkowo lekki przebieg. Choć w 1939 był już słuchaczem trzeciego roku prawa, które — w przeciwieństwie do większości swych kolegów obierających ten wydział dlatego, że nie mieli żadnych zainteresowań i że ukończenie go dawało widoki drogiej Polakom kariery urzędniczej — studiował z wcześniej określonego zamiłowania do zawodu obrońcy sądowego (w 1938 był najmłodszym na U. J. laureatem dorocznego konkursu krasomówczego na temat: "Obrona Katyliny") — w chwili aresztowania był jeszcze dzieckiem, rozrosłym i pewnym siebie, ale zaledwie dwudziestoletnim. Z uwagi na młody wiek został skazany "tylko" na trzy lata przymuso-



wych robót i jedynie za usiłowanie nielegalnego opuszczenia granic "Zachodniej Ukrainy", uważano go tedy za coś pośredniego pomiędzy przestępcą pospolitym a politycznym i odpowiednio łagodnie traktowano, zwłaszcza że złapany na gorącym uczynku przekraczania owych "granic", przyznał się od razu do "winy". W łagrze wziął się do... malarstwa (od dziecka umiał się bawić pędzlem; była to "hobby" jego ojca i — powołanie starszego brata, obiecującego artysty malarza) i zażywał tam względnie dobrobytu, malując kopami kliwie landszafty z gołymi krasawicami, gołąbkami, jeleniem u wodopoju i księżycem w pełni — na zamówienie przemożnych mecenasów z administracji obozowej, należących niemal bez wyjątku do światła przestępczego bez cudzysłowu. Bajeczne zdrowie i potężny wzrost, wywołujący szacunek w każdym środowisku ("wysokiemu trudniej dać po mordzie" — uzasadniał to Henryk), odegrały też swą rolę. Nadto w przestronnym ciele młodego artysty-prawnika wygodnie mieszkała dusza, o której za czasów mody na freudyzm powiedziało by się, że jest wolna od wszelkich kompleksów, jeśli by się pominęło prawie chorobliwy pociąg do obiektywizmu, do oglądania drugiej strony medalu, mieszany często a niesłusznie z przekorą, do której ma się on tak jak odwaga do zuchwalstwa. Na obiektywizm w stosunku do Sowietów wpłynęło u Henryka jeszcze i to, że znalazł się on w Rosji bez bagażu uprzedzeń lub złudzeń, prawdę mówiąc wiedział o niej nie wiele więcej niż mówił szkolny podręcznik geografii ("od wschodu Rzeczpospolita Polska graniczy ze Związkiem Sowieckich Republik Socjalistycznych"). Gdy się w wolnym Krakowie miało "prawie że skończone" dwadzieścia lat, nie brakło człowiekowi bliższych i silniej pociągających zagadnień!

— Przypominam sobie na przykład z przyjemnością — ciągnął Henryk — pięć dni swej "choroby" w więzieniu żytomierskim. Postanowiłem zachorować w ślad za kilku spryciarzami z mojej celi, którzy wywachali, że w turmie znajduje się wcale przyzwoita izba chorych. Można się było z łatwością tam dostać zgłaszając biegunkę. Ryzyko było minimalne. Lekarka, poczciwa babina, która za cara była akuszerką, nigdy nie uciekała się od razu do kłopotliwego sprawdzania dobrej wiary pacjenta. Pierwszego dnia na izbie chorych dostawało się wprawdzie tylko dwa sucharki i parę łyżek grysiku. Ale za to...! Można się było wykapać w wannie. Kurki z ciepłą wodą były zepsute, dawano ci jednak sagan wrzątku. Na każde zawołanie wprowadzała cię do wychodka młoda i miła kobieta, pełniąca obowiązki dozorczy. Cierpliwie i dyskretnie czekała, aż stamtąd wyjdiesz nacieszywszy się zapomnianą rozkoszą samotności. Spałeś w łóżku, rozumiesz: w łóżku, w czystej nocnej koszuli, na niepokalanym prześcieradłach. Mogłeś się do woli nasiedzieć na jednym jedynym krześle zdobiacym tę oazę humanitarnego więziennictwa. Jeśli chcesz wiedzieć, co to jest krze-

s ło, musisz wpieryw przesiedzieć pół roku na chuderlawym sieniaku rozścielonym na betonie. — Nazajutrz przyznawałeś się do normalnego stolca. W nagrodę dostawałeś tak zwaną ogólną dietę. Do dziś dnia pamiętam wspaniałe "tiffle". Rodzaj zrazów. Potem mogłeś albo wracać do swej celi albo trzeciego dnia oświadczyć, że jedzenie ci zaszkodziło. Wtedy czekał cię znów post, dwudniowy już tym razem, i pożegnalna wyzerka piątego dnia. Nie można było przeciągać struny, by nie zostać straconym z tego rajy do karceru. Za sabotaż sowieckiej medycyny. Przecierpiałem swoje suche dni o tyle łatwiej, że leżałem obok rzeczywiście chorego N., asystenta historii sztuki na U.J.K. Oddawał mi swoje racje i częstował mnie papierosami, słoniną i kiszonymi pomidorami. Każdy chory, posiadający kwit na skonfiskowane mu przy aresztowaniu ruble, mógł raz na tydzień zakupić to w więziennym sklepiku. Niemniej zadowolenia dawała mi duchowa strona obcowania z N., z jego przyjacielem, młodym nauczycielem gimnazjalnym "Wiktorem", z niesamowicie chudym studentem medycyny, którego ze względu na wspaniałą zarost i pałające ślepie nazwaliśmy "Łukaszińskim"... Wszyscy pacjenci, poza zawodowym złodziejem "Wackiem", przechodzili z cel "politycznych". Przyszedszy na izbę chorych z celi, w której siedziała szwargocząca żargonem żydowska biedota plus paru przemytników i paru kolejarzy czy policjantów wywakuowanych we wrześniu ze Śląska i z Poznańskiego — pływałem się w atmosferze wstydliwego patriotyzmu i dobrze robionego cynizmu — charakterystycznych dla lepszej części pokolenia inteligentów wychowanych w niepodległej Polsce. "Wacek" doskonale do nas pasował, trochę jak rodzynek w cieście, siłą kontrastu, więcej — swą samorodną a niebywałą — powiadam ci — inteligencją. Choć z początku, widząc, w jakim się znalazł towarzystwie, nie bez żalu stwierdził: "Co za czasy, cholera. Kto to teraz nie kibluje! Doktory, profesory, akademi-ki... Nawet nie ma komu powiedzieć: pocałuj mnie w d...!"

W dzień czytałem "Annę Kareninę" (nie znam lepszej powieści) z biblioteki więziennej, o której istnieniu dopiero tu się dowiedziałem, wieczorami brałem bierny i czynny udział w "samokształceniowym" programie. Każdy z nas musiał wygłosić pogadankę z zakresu swej specjalności. Jeden "Wacek" nie chciał niestety mówić o swojej. Uparł się, że będzie nam opowiadał "Quo Vadis". Robił to ze zdumiewającą pamięcią do szczegółów i — autentyczną gwarą złodziejską ("ten w d... j.... Stalin, chciałem powiedzieć: Neron, szpanuje przez szmaragd na arenę i co raz swoim mentom cynk daje, jaki teraz kawałek odstawiać. Winnicki widzi, że krewa, bo tę jego biksę rozebraną do rososu, z zablindowanymi grabami, pakują na byka...").

— Twoje przyjemności więzienne — zauważyłem — należą do jednego typu. Tego, jaki maluje stara żydowska anegdota o biedaku, któremu, gdy się skarżył na zaduch i ciasnotę, rabin



poradził wprowadzić do izby kozę i po tygodniu ją zabrać. Aj, jak było potem świeżo i wygodnie!

— Oczywiście. Potwierdza to tylko, że zadowolenie, dobrobyt a nawet wolność są to wartości względne. Klucz do zrozumienia Rosji sowieckiej zawiera się w jednym powiedzeniu: *przywykniesz*. My cierpielśmy dotkliwiej, bo żyły w nas jeszcze wspomnienia o innym świecie. Ale nie tylko o to mi chodzi. Stopa życiowa w Sowietach jest niewiarygodnie niska. Lecz nasze niej pojęcia znajdują się na jeszcze niższym poziomie. Po pierwsze, my inteligenci, ten kożuszek na społeczeństwie polskim, urabiający opinię, nie mieliśmy i nie mamy na ogół pojęcia o naszej rodzimej biedzie z nędzą. Była to zresztą nieświadomość dobrowolna. Bo żeby zapoznać się ze stopą życiową polskiego proletariatu miejskiego i wiejskiego, nie trzeba było być socjalistą ani studiować uważnie cyfr "Małego Rocznika Statystycznego". Nie trzeba się było nawet fatygować na studia w terenie. Wystarczyło przeczytać niektóre felietony Nowakowskiego w "Ikacu". Po przyjeździe z Rosji do Persji kto z nas nie dał się nabrać na bijący z każdego straganu "dobrobyt", na brak ogonków przed sklepami? Ogonków naturalnie nie było dlatego, że większość towarów znajdowała się poza zasięgiem możliwości nabywczych wielu, wielu Persów. Po drugie, zapominamy często, że jako więźniowie i zesańcy znaleźliśmy się pod każdym względem na samym dnie Sowietów. Nie tylko — społecznie, ekonomicznie, ale nawet... geograficznie. Te wszystkie Kołymy i Kazachstany to są przecież peryferia imperium bolszewickiego... To tak jakby ktoś znając tylko — powiedzmy — Alaskę i cudzoziemskie dzielnice Chicago uważał się za eksperta od spraw amerykańskich... Rosja oglądana przez kratki nie jest prawdziwą Rosją. Podobnie jak nie jest nią — ta widziana z okien hotelu "Inturista"...

— Nie zapominaj o stopniu zbliżenia do prawdy — wtrąciłem, ale Henryk nie raczył tego zauważyć.

— Siedząc w łagrach, znajdowaliśmy się w położeniu myszy, które spod podłogi chciałyby sobie wyrobić zdanie o pokoju. To prawda, że pod podłogą dusi się w Sowietach dwadzieścia milionów, to cyfra przerażająca, ale dwadzieścia milionów stanowi zaledwie jedną dziesiątą całej ludności. To prawda, że "pokój" jest w gruncie rzeczy ciemną, duszną izbą z zabitymi oknami i drzwiami, niemniej jednak nadaje się na ładkie mieszkanie bardziej od dziur pod podłogą. Otóż zmierzam do tego, że jako tako inteligentna mysz może, choćby przez szpary w podłodze, zauważyć to i owo z rzeczywistego wyglądu całego pokoju... Jeśli uważano za rzecz zupełnie naturalną, by chorego więźnia przed położeniem do czystego łóżka wykapać w wannie i na izbie chorych dawać mu przyzwyczajenie jeść — nasuwa się wniosek, że w Winnicy musiało być sporo ludzi dla których te cuda były chlebem powszednim. Raz, dosłownie przez szpary, miałem sposobność oglądać to drugie oblicze Ro-

sji, może nie uśmiechnięte, ale też niewykrzywione żadnym grymasem. W Moskwie, a raczej na jakimś jej przedmieściu, staliśmy cały dzień, czekając, aż się tor uwolni. Pociąg nasz zatrzymał się tuż przed mostem dla pieszych przerzuconym nad torami. Cały dzień było na nim rojno. Wczesnym rankiem przechodzili tamtędy robotnicy do pracy. Nic a nic nie różniło się to od podobnych pochodów, jakie widziałem u nas w Bielsku czy w Łodzi. Nieco później przez most przebiegały wesoło gromady uczniów z książkami pod pachą lub w tornistrach. Malcy zatrzymywali się przed budką z wodą sodową i lodami, starsi z nieśmiałą bezczelnością krążyli dokoła zalotnie ubranych dziewcząt. Jakaś młoda kobieta pchała przed sobą nowiutki wózek z niemowlęciem, starszy jegomość w słomkowym kapeluszu, z sienkiewiczowską bródką i z "cwikiem" na nosie, dreptał bez pośpiechu, czytając gazetę, dwoje młodych ludzi stało długo przy balustradzie, flirtując dyskretnie. Mogłem zauważyć, że on miał na rękę zegarek, a ona — świeżą ondulację...

— Na której ręce? — zapytałem niewinnie. Mam nieznośny zwyczaj "dowcipkowania". To jest niezależne od woli i inteligencji. Naprawdę. Jak obgryzanie paznokci.

— *Shut up*. Cała ta publika była schludnie, choć na ogół biednie, ubrana, może odrobinę szarzej niż mieszkańcy europejskich przedmieść. Wielu mężczyzn miało krawaty, kapelusze widziało się prawie tak często jak cyklistówki. Nie dziwiło mnie to wtedy szczególnie, ale później, gdy się napatrzyłem sowieckiemu życiu pod podłogą, i jeszcze później, gdy się nazytałem jednostronnych reportaży o Rosji, byłem — jak by to powiedzieć? — retrospektywnie zdziwiony tym widokiem przez szpary bydlęcego wagonu, w jakim odbywałem swą podróż Charków — Archangielsk... Opowiem ci jeszcze jedną historię — nie patrz na zegarek, to niegrzecznie! — która mnie nie tylko zdumiała, ale i zgorszyła. Po amnestii i po krótkim okresie dość ciężkich tarapatów, już kilka miesięcy rozkoszowałem się dobrobytem w wojsku, gdy do naszego pułku, w Jakobag, wcielono kilku facetów, dopiero wiosną 42 roku zwolnionych z łagrów. Pracowali gdzieś w kopalniach złota na Uralu. Opowiadali, że im tam było znośnie, w co nikt nie wierzył, dopóki nie przypatrzyliśmy się im przy jedzeniu. Nie miała porcja dobrze wypieczonego chleba, kopiate menażki ryżu "na gęsto", ba, nawet od czasu do czasu fasowane kawałeczki sera australijskiego i łyżeczki marmelady — wszystko to nie tylko nie zrobiło na nich wrażenia, ale jedli to półgębkiem, jakby z musu. A chłopaki byli morowe i poza tym czuli się w polskim wojsku, do którego się rwali, jak ryby w wodzie. Oczywiście, musieli być w jakimś wyjątkowym łagrze, fakt jednak — że takie wyjątki były.

Tego dnia nie rozmawiałem już więcej o Rosji, obiecując sobie wrócić jeszcze do tego tematu.

Nazajutrz natknąłem się znów na Henryka, który od razu chwycił mnie za guzik. W przenośni zresztą.



— Wyobraź sobie — powiedział — że "Pułkownikowa Dyplomowana" zrobiła mi wczoraj piekielną patriotyczną awanturę. Za to, że się odważyłem w czasie jej "tea-party", na wyraźne zresztą życzenie Ramseya, odpowiedzieć mu coś ze swoich przeżyć po "amnestii". Pułkownikowa powiada, że zepsułem jej całoroczną robotę nad pozyskaniem "przyjaciela sprawy polskiej". Powtórzę ci to, co mu mówiłem, i powiedz sam, czy baba miała rację... Byliśmy tak odcięci od świata, opowiadałem Ramseyowi, że wieść o "amnestii" spadła na nas nagle i dopiero we wrześniu. Zaraz po apelu zgoniono wszystkich Polaków do jednego baraku. Przyjechały jakieś grube ryby z NKWD i najbardziej otyła z nich, w randze majora, wygłosiła podniosłe przemówienie, z którego największe wrażenie zrobiła na nas zapowiedź, że jako sojusznicy mający teraz pracować dla wspólnej sprawy z zapalem i bez konwoju, będziemy od dzisiaj otrzymywać wyżywienie z "kotła technicznego" plus 20-procentowy dodatek. Ze strony polskiej przemówił samorzutnie kapitan Rawicz. Był to zabawny gość, który na prawo i lewo opowiadał, że się dał bolszewikom umyślnie złapać, bo mu nasza "dwójka" w porozumieniu z "Intelligence Service" dała polecenie zbadania warunków w sowieckich łagrach. Mówkę swą o odwiecznym wrogu Słowiańszczyzny zakończył okrzykiem: "Niech żyje Naczelnny Wódz Polskich Sił Zbrojnych generał Władysław Sikorski! Niech żyje Ekscelencja Stalin!". Nie mogliśmy się doczekać obiadu, spotkał nas jednak zawód, bo dostaliśmy tę samą lurę co zawsze, a delegację naszą wyproszonego z kantoru oświadczała jej, że "wiedro wody zamieniają kilogram chleba"... Niebawem przeniesiono nas jednak na punkt zborny, gdzie mieliśmy już pewną autonomię i, choć okradano nas przy dostawach, jedliśmy do syta. Tam odbyło się właściwe zwalnianie. Była to loteria, w której prawie wszystkie losy wygrywały. Stawką była wolność. Garstce pechowców powiedziano jednak, że muszą poczekać, bo akta ich spraw gdzieś się zapodziały. O jednym z nich wiem, że dopiero w 47 roku przyjechał z Rosji do Warszawy, gdzie został pomniejszym dygnitarzem. Innego rodzaju loterią było wydawanie kosztowności zabranych przy aresztowaniu.

Ostentacyjną legalność tych konfiskat uważaliśmy od samego początku za dobry kawał. Od razu położyliśmy krzyżyk na swych zegarkach i obrączkach. Kwity puściliśmy z dymem. Zwijano się w nie machorkę. Mimo wszystko z pół setki amnestiowanych polazło teraz do odpowiedniego okienka i — jeden dostał z powrotem swoją "Omegę". Nawet nie miał kwitu. Rzuciło się potem bractwo hurmem i, jak nas było tysiąc chłopca, jeszcze może dziesięciu odebrało swoją własność. Pomyśl, przez ile rąk musiało to przejść, ile tysięcy kilometrów przejechać z terenów, które na kilka miesięcy przed naszą "amnestią" były już zajęte przez Niemców. Do dziś dnia nie mogę zrozumieć celu tej komedii, jeśli to była komedia. Nie chodziło przecież o efekt propagandowy, ten był żaden, bo ogólne wrażenie, że wszystko zra-

bowali, musiało zostać. I kogo oni chcieli bujać? Nas?! Potrzebne im były na pokaz autentyczne potwierdzenia odbioru? Mogli ich nafabrykować ile chcieli. Sam bym takie fałszywe potwierdzenie podpisał za pół paczki machorki. Naturalnie ta historyjka niczego nie dowodzi, nie podważa nawet ustalonej opinii o bolszewiku jako o ponurym drabie gotowym człowiekowi uciąć rękę z zegarkiem, ale ja się właśnie uwzięłem, by opowiadać Ramseyowi takie prawdziwe bajki bez morału... Opowiedziałem mu potem, jak nam dano do wyboru wstąpić albo do armii polskiej, albo do... czerwonej, albo też zostać na Północy w charakterze wolnych pracowników. Nie zapomniałem dodać, że kilku Ukraińców z Polski, jeden Żyd i jeden Polak wybrali jednak drugą lub trzecią ewentualność. Dalej — jak nas porządnie wyposażono na drogę, jak nas po drodze sprawnie żywno w wojskowych stołówkach. Obiady wydawano na dworcach, zwykle między 12 a 3 w nocy, ale obfite i smaczne. Powiedziałem mu, że w bufecie kolejowym w Kaganie można było za parę rubli dobrze zjeść, opisałem mu tamtejszy przyjemny "kрасnyj ugołok" urządzony w dawnym meczecie, park, gdzie byłem na meczu piłki nożnej i gdzie w kiosku kupowałem codzień za grosze paczkę tytoniu. Bibulek nie można było dostać za żadne skarby. Nie zapomniałem przy tym dodać, że w niedalekim Farabie za śledzia ktoś mi w tramwaju dawał 50 rubli. Wspomniałem o spotkaniu z lotnikami sowieckimi (byli to inteligentni i weseli chłopcy ze szczerym sentymentem do Stalina) oraz — z naszymi prostytutkami wywiezionymi ze Lwowa do Urgenczu jeszcze w 1939. Powychodziły wszystkie doskonałe za mąż za nielicznych tam Rosjan na dobrych stanowiskach, miały schludne mieszkanie, cieszyły się kwitnącym zdrowiem i dużo okazały serca rodakom zwolnionym z łagrów... Na tym musiałem urwać, bo "Pułkownikowa Dyplomowana" z właściwym sobie taktem przeweksłowała nas na ogólną rozmowę na temat niemieckiego pochodzenia angielskiej rodziny królewskiej, czy coś w tym rodzaju...

— A cóż na to Ramsey? Cieszył się z potwierdzeniem, że nie taki diabeł czerwony jak go malują?

— Wprost przeciwnie. Był bardzo poważny, na pożegnanie — jak się to mówi, uściśnął mocno moją dłoń i wybełkotał: *«Thank you for your story, Henry. Thank you very much, indeed. After what you've told me, I'll have to revise some of my too rose-coloured views on Russia, I am afraid»*.

Henryk przyznawał, że sporo tego dobrego, co się da powiedzieć o Sowietach, należy do kategorii: "mogłoby być gorzej". Przy tym zastrzegał się ciągle, że jego wspomnienia dotyczą tylko małego i oglądanego aż dziesięć lat temu wycinka piekielnego kręgu bolszewickiego. Zapewne już dziś jest gorzej i będzie jeszcze gorzej. Sprawił mi przyjemność chwalać to, co na ten temat kiedyś napisałem. "Dobrze", mówił, "choć zbyt pa-



tetycznie jak na mój gust, ująłeś to, że na Sowiety nie wolno nam patrzeć jako na makabrę wykończoną we wszystkich szczegółach, gdy jest to ledwo szkic, miękka jeszcze ręką kreślony..."

Henryk lubił się "dobierać" do utartych zwrotów i cieszył się, gdy mu się udało wykazać ich niewidoczną na pierwszy rzut oka wieloznaczność. Na przykład — "pogarda dla człowieka". To co nazywamy bolszewicką pogardą dla człowieka jest uczuciem prawie bezosobistym; jest to raczej pogarda dla ludzkiego życia, dla ludzkich potrzeb materialnych i duchowych, niż dla konkretnego człowieka. Dziwna to pogarda, w której zacierają się różnica między przedmiotem a podmiotem, ludzie właściwie nie dzielą się na pogardzanych i pogardzających, gardzą nie tylko innymi, ale i sobą. Może jeden Stalin z wysokości Kremla widzi pod sobą same karaluchy. Najwięksi po nim dygnitarze zdają sobie doskonale sprawę z tego, że ich życie, ich dobre bolszewickie imię, ich przekonania i przywiązania, to miazga w rękę historii czy uosabiającego ją dyktatora, to — "gawno". Pod tym względem taki Jagoda niczym się w istocie nie różnił od najnędniejszego więźnia zarządzanych przez siebie łagrów, czyż mógł więc nim gardzić inaczej jak gardząc zarazem sobą? — Hitler też likwidował rywali, ale była to amatorska robota w porównaniu z sowieckimi czystkami. W zasadzie partia narodowo-socjalistyczna była ekskluzywnym klubem szanujących się wzajemnie opryszków, a cały naród niemiecki był "narodem panów". Po zajęciu Lwowa przez Rosjan każdy batiar mógł klepać po ramieniu komandirów, sprzedawać im cebule zamiast zegarków i drwić sobie z nich w żywe oczy, podczas gdy krakowski andrus czy warszawski ulicznik obchodzili z daleka każdą szwabską ofertę w mundurze, by się o nią nie otrzeć, za co można było oberwać szpicrutą. Nie do pomyślenia była w Rosji kara śmierci za stosunek więźnia z wolną kobietą, choćby należąca do partii. Że i stosunek taki był prawie nie do pomyślenia, to sprawa warunków ujętych zwięźle w znanym łagiernym powiedzonku: "żył' budiesz, no j... nie zachoczesz". Zamknięte sklepy i restauracje dla członków partii były koniecznością czysto gospodarczą.

Albo — "sadyzm". Pojęcie to obejmuje rozległą skalę zjawisk. Od smakowitego "sadyzmu" gier miłosnych i od wypieków na zasuszonym liczku zacnej nauczycielki napawającej się swą władzą nad gromadką cacaniei wystraszonych dzieciaków, poprzez znęcanie się szefa kompanii (zwykle jest to poza tym chłop poczciwy z kośćcami) nad rekrutem — aż do pędzenia bosych więźniów po żwirze i polowania na nich przy pomocy specjalnie wytresowanych psów, niemalże ludzkich w swym bestialstwie. Nie ujmując niczego Rosjanom, Henryk twierdził na podstawie znanych sobie świadectw, że Niemcy i prawdopodobnie Japończycy "wykazali znacznie więcej rozmachu i pomysłowości w tej dziedzinie". Zresztą te trzy narody urodzonych totalistów nie miały tu bezwzględnie monopolu. Jeden

z kolegów Henryka opowiadał mu, że był w Birmie świadkiem, jak żołnierze angielscy dosłownie darli pasy z odszczepieńca złapanego w służbie Japończyków... Trzeba też pamiętać, że nie każde bicie, nie każde brutalne obchodzenie się, nawet nie każda tortura — jest sadyzmem. *Nadziratel*, który wtrącił mnie kiedyś w samej bieliźnie do lodowatego karceru na dwadzieścia cztery godziny, robił to bez żalu, ale i bez zapału, z doskonałą obojętnością — podczas gdy pewna nasza miła znajoma oblizuje się lubieżnie, zamykając swoją wychowanicę na pięć minut w ciemnym pokoju za niewłaściwe posługiwanie się nożem i widelcem". Nie ma sadyzmu bez upodobania w dręczeniu. Prawdziwy sadyzm, to gwałt dla gwałtu, sztuka dla sztuki. Większość aktów gwałtu, których ofiarami byliśmy w Sowieciech (streszczam dalej długie wywody Henryka) wynikała z takich czy innych "konieczności" politycznych, gospodarczych, geograficznych. Najwięcej najdotkliwszych cierpień zadawali nam nie ludzie, lecz wielka trójka sowiecka: mróz, głód i brud. Prawda, bywali zwyrodnialcy (częściej sami więźniowie niż funkcjonariusze NKWD), którzy w kubicowaniu i pomaganiu tym trzem żywiołom (głód i brud w Sowieciech są też czymś żywiołowym) znajdowali nadprogramową przyjemność. Ale prawie nikt jej nie szukał, była ona ubocznym produktem cierpienia, nie jego przyczyną. A kierowników polityki sowieckiej, wydających wyroki, ustalających racje żywnościowe, stanowiących o rozmieszczeniu łagrów — trudno posądzać o aż tak szatańsko wspaniałą wyobraźnię, żeby kreśląc swe plany czuli sadyzyczny dreszczyk na myśl o wynikających z nich cierpieniach.

Zastanawialiśmy się z Henrykiem także nad anty-polskością Niemców i Rosjan. Gdy się widzi w tym tylko problem polityczny, to między polakożerstwem jednych i drugich nie ma właściwie różnicy. I tym i tamtym tak samo zawadzamy, obaj nasi sąsiedzi z równą przyjemnością by nas jako naród zlikwidowali, z tego, co się składa na polskość, w najlepszym razie zostawiając nam język. Jeśli jednak popatrzeć na tę sprawę szerzej, od razu rzuca się w oczy, że w rosyjskim czy sowieckim polakożerstwie niemal zupełnie brak składnika, który tak ponurą rolę odegrał w stosunku Niemców do naszego narodu. Brak — pogardy. Rosjanin może nas nie lubić czy nawet nienawidzić za naszą "pańskość", katolickość, zachodniość, "obłudę", ale nigdy by mu do głowy nie przyszło uważać nas za podludzi. W często słyszonym w Rosji określeniu "chitryj Polak" obok niechęci jest odrobina — podziwu. Być może, ten brak pogardy jest jedną z istotnych przyczyn, dla których Polska przestała być "krajem bez quislinga" z chwilą zamiany jednego okupanta na drugiego. Niemcy, naród o wielkich zaletach i straszliwych wadach, mający więc bądź co bądź pewne podstawy do swojej megalomanii narodowej wpadli w obłąd rasizmu. Rosjanie poprzestają na "normalnej" ksenofobii. Na dowód, że ksenofobia jest (czy była?) w Sowieciech względnie łagodnym i zgoła nie nagminnym schorzeniem, Henryk opo-



wiedział mi następującą historię: Naczelnikiem jego "łag-punktu" był niejaki Sjemionow, były więzień, ułaskawiony z zastrzeżeniem, że musi pozostać na Dalekiej Północy. Nazywano go "sprawiedliwą świnią". Był to istotnie fanatyk sprawiedliwości. Za "otkaz" czyli odmowę wyjścia do pracy dawał najwyższej trzy dni karceru, ale kucharza, którego przyłapał na smażeniu sobie blinów z mąki przeznaczanej na kluski dla brygad roboczych, trzymał przez miesiąc na "karnym kotle" (300 gramów chleba i raz dziennie galop-zupka). Jak wszędzie, wszystkie stanowiska w administracji "łag-punktu" obsadzili "żulicy", których Sjemionow długo tolerował, ale gdy przebrała się miara ich nieprawości, z właściwą sobie "pryncypialnością" postanowił przeprowadzić gruntowną sanację stosunków. Cały swój sztab posłał do karczowania lasu, a wakanse zapełnił nowymi ludźmi, przeważnie Polakami i Bałtami. W ten sposób np. "komendantem żony", którego zadaniem było wyganianie do pracy, został Gienek W., bandyta zbiegły z Koronowa, gdzie odsiadywał był dożywocie za kilka mokrych robót, a kierownikiem sklepiu łagiernego — Maciek Steinberg-Kamieniogórski, cwany warszawski giełdziarz. Niestety, jak większość "zasadniczych" reform, i ta nie wytrzymała próby życia: Gienek wprawdzie nie forytował swych przyjaciół tak bezczelnie, jak to robił jego poprzednik, ale okazał się za mało brutalny, a Maciek dostał dymisję za to, że dał sobie wpakować worek mokrego cukru, który po wyschnięciu i względnie uczciwym rozdzieleniu na porcje, ważył o kilkanaście kilogramów mniej niż zaksięgowano.

Henryk zadawał sobie również pytanie, czy wywiezienie półtora miliona Polaków z ziem wschodnich można podciągnąć pod pojęcie "ludobójstwa", którego klasycznym przykładem było wymordowanie Żydów europejskich przez Hitlera. Za odpowiedzią twierdzącą przemawiałoby to, że nie ma istotnej różnicy między masakrowaniem ludzi w obozach niemieckich a powolnym zabijaniem w łagrach, i że rzeczywiście ogromny odsetek wywiezionych do Sowietów zmarł tam już w pierwszym czy drugim roku niewoli. Z drugiej strony, przyjmując, że Sowiety usiłowały dokonać ludobójstwa — trudno nie zauważyć w ich działaniu pewnych niekonsekwencji, jakich próżno by szukać w niemieckim wykonaniu planu zupełnego wytepienia ludności żydowskiej. Dwie z tych niekonsekwencji były "wymuszone": "amnestia" i ewakuacja do Persji około 10% wywiezionych. Ale inne? Zwalnianie tu i ówdzie starców i chorych od obowiązku pracy? Nerozbijanie rodzin zsyłanych do Kazachstanu? Brak energicznych prób wynarodowienia nieletnich zesłańców? Niezapędzenie amnestiowanych z powrotem do łagrów po zerwaniu stosunków z naszym rządem w Londynie? Wojsko Berlinga, gdzie bądź co bądź żołnierze nie marli z głodu? Rostoczenie — pożałuj Boże — opieki nad ludnością cywilną przez Związek Patriotów? Repatriacja tysięcy po wojnie?

— Katyń — powiedziałem szeptem.

— Tak. Zgoda. Straciłem tam brata. Nie wspomniałem ci o tym? Może. Ale nie dam sobie wmówić — zaperzył się nie wiadomo dlaczego — że była to "najpotworniejsza zbrodnia ostatniej wojny". Superlatywu tego nie można brać dosłownie. Z którejkolwiek strony patrzysz na mord katyński, musisz przyznać, że blednie on wobec innych. Ilość ofiar? Niemcy wymordowali wielokrotnie więcej. Rodzaj śmierci? Wolę dostać kulą w nasadę czaszki niż konać powoli w zaplombowanym wagonie. Męczarnie przed śmiercią? Nic o nich nie wiemy, a choćby ze "Wspomnień starobielskich" wiadomo, że życie w obozach jeńców było sielanką w porównaniu do tego, co się działo w łagrach....

"Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, a duszy zabić nie mogą". Mord katyński, utrzymywał Henryk, był zbrodnią popełnioną na ciele, nie na duszy. Haniebnie wymordowani oficerowie nie ponieśli szkody na swych duszach, nie ugięli się, nie zaparli się niczego, co im było drogie, zginęli śmiercią — można by powiedzieć — żołnierską. Henryk długo się porał nad definicją zabójstwa duszy. Określał je jako pozostawienie człowiekowi życia przy zabiciu tego, co życiu nadaje sens i smak. Zagarniał owym określeniem wszelkie ponížanie człowieka, spychanie go w stan zezwierzecenia, czy tylko otepienia. Gdy mówimy o kimś, że "to nie ten sam człowiek" lub "cień dawnego człowieka" (nie w fizycznym znaczeniu) — mamy do czynienia z zupełnym lub częściowym zabójstwem duszy. Ktoś, dla kogo dawne "ja" stało się zupełnie obce i niezrozumiałe, jest nieboszczykiem duchowym. Nie całkiem się z tym zgadzałem, powołując się na rewolucje duchowe w stylu Szawła — św. Pawła, św. Augustyna, św. Franciszka z Asyżu, które należało by raczej nazwać nowymi narodzinami niż śmiercią. *Natus est Conradus*, to prawda, ale jednak *obiit Gustavus* — zauważał Henryk dodając, że mamy tu do czynienia nie z zabójstwem, lecz raczej "samobójstwem" i że wobec dobrowolności tego aktu nie jest to właściwie śmierć, gdyż nad przepaścią między dawnym a nowym "ja" przerzucony jest most jednej i tej samej woli. Cytowałem powiedzenie Koestlera: "Od lat szkolnych rok rocznie nie mogę się nadziwić, jakim durniem byłem zeszłego roku", wymądrzałem się, że w samym pojęciu życia jako pasma przemian mieści się stałe umieranie, że podobnie jak fizyczne, tak i, być może, psychiczne komórki naszego "ja" obumierają z czasem wszytkie, tak że "składamy się" dziś z zupełnie innego już materiału niż przed laty, z wyjątkiem — z czym znowu Henryk nie bardzo się godził — rdzenia naszej osobowości, jakiegoś elementu "x", którego za to żadna siła nie może zabić. Gdy serce przestaje bić, stwierdzamy śmierć ciała, choć jego rozkład następuje znacznie później. Które komórki duszy muszą zamrzeć, by można mówić o jej śmierci? Co jest sercem duszy? Czy powiedzenie "częściowe zabójstwo" nie jest "contradictio in adjecto"? Trudno o słowo bardziej wieloznacz-



ne niż "dusza". Czując, że się gubimy w coraz zawilszych do-ciekaniach, postanowiliśmy zejść na twardy grunt przykładów konkretnych.

Rany, jakie duszy zadają więzienie. Głód. Pobudka o piątej, śniadanie o ósmej. Przez trzy godziny wszystkim w tobie zamie-ra. Pustka w żołądku i pustka w duszy. Jesteś cały, bez reszty, oczekiwaniem na tę chwilę, gdy wreszcie zgrzyt klucza zapach-nie świeżym chlebem. Brud. Rozrywasz pajdę paznokciami upstrzonymi krwią zduszonych wszy, podczas gdy Iks, który ma rozwolnienie, bǳdzi donośnie w kubeł. Profesor N. ma jed-ną jedyną chusteczkę. Podciera się nią, potem ją pierze i robi sobie okłady, bo cierpi na migreny, czasem zawija w nią chleb, żeby nie sechł. Przestają cię te rzeczy razić, tracisz zdolność do obrzydzenia, może w ogóle zdolność do przeżyć estetycznych, negatywnych w każdym razie... Po pewnym czasie gasną w tobie jedna po drugiej iskierki zainteresowania otaczającym cię świa-tem, zamkniętym w obmierzłych ścianach celi. Obmierzłych? Gdzież tam! Wkrótce już tylko — obojętnych, p r z y z w y c z a j a s z s i ę. Absolutna niemożność zmiany losu własnym wysiłkiem. Cały, tak rozbudowany w normalnych warunkach, departament twojego mózgu: wydział planowania, przewidy-wania, postanowień — idzie na zieloną trawkę marzeń na ja-wie (przeważnie o jedzeniu)... Wszystkie te i tym podobne ra-ny i okaleczenia nie były jednak śmiertelne. Przy zmianie wa-runków goiły się nie pozostawiając niemal żadnych śladów. Ko-mórki ciągle żywe przeważały nad martwymi: ludzie umieli się modlić, często żarliwiej niż dawniej, śmiać i śpiewać (wystar-czyło niespodziewanej "repety", by cała cęła huczała od pio-senek), przyjaźnić i oburzać, ba, nawet roztkliwić się czasem nad zagładającym przez kraty strzępem zieleni. "Wydaje mi się", mówił Henryk, "że nie tylko ja sam, ale i większość aresz-towanych nie poniosła w więzieniach sowieckich cięższych obra-żeń psychicznych niż te, któreśmy sobie przypominali przed chwilą".

W łagrze, gdzie warunki życia były na ogół cięższe i już bez porównania mniej ustabilizowane niż w więzieniu, w którym jeszcze panowała niemal idealna sprawiedliwość społeczna (każdy dostawał 600 gramów chleba i znikąd nie było nadziei na więcej ani — strachu, że się dostanie mniej) — walka o byt wytworzyła obok typu karierowicza: brygadiera, kuchcika, sa-nitariusza... także rodzaj żyjącego trupa — "dochodiagę" ("muzulmana" — w terminologii ofiar brunatnego totalizmu). Co w takim osobniku, bo trudno już było nazwać go osobą, przejmowało nas grozą? Cierpienia fizyczne? Więcej cierpi by-le chory na raka, ale jeśli to nie jest ktoś nam bliski, znosimy jego cierpienia z niezachwianą równowagą ducha. Cierpienia psychiczne? Nic nie wskazywało, by "dochodiaga" był jeszcze do nich zdolny. Oczywiście nie umiały już wyrazić nawet skargi. Opu-chłej twarzy nie krzywił grymas żadnego uczucia. Jeden z pierwszych — odklejał się od twarzy (i od duszy), uśmiech. A

zdolność do śmiechu jest, według Bergsona, jedną z cech wy-różniających człowieka. W pierwszym stadium powolnego ko-nania dusze "dochodiągów" wypełniał po brzegi jeden instykt: zachowania życia. Słaba siła, która jak ćmom kazała im krą-żyć dokoła okienka kuchni i zebrać o dodatkową chochlę zupy, mimo że nigdy, dosłownie: nigdy, jej nie dostawali — która znanego botanika Z. gnała codziennie na skrzący obchód wszy-stkich śmietników, mimo że wartość kaloryczna najlepszego zbioru w postaci dwóch - trzech dobrze już wyspanych główek śledzi była najoczywiściej niewspółmierna do energii, jaką po-chłaniały te wędrówki.

Potem przychodziła pelagra. Skóra przestaje oddychać, za-miera wszelka wola, nawet wola życia, którą by nazwać moż-na oddechem duszy, chorego ogarnia nieprzewyciężony wstręt do wszelkiego wysiłku ciała i myśli, zaczyna robić pod siebie, rzadkie słowa stają się niezrozumiałe dla otoczenia, głos — płaczący i niczym nie przypominający dawnego. W takim sta-nie można "żyć" tygodniami aż do często występującego przed-śmiertnego ataku szału (obłęd jest klasycznym przykładem śmierci za życia). Chory rzuca się, zrywa z barłogu, wygłasza bezsensowne tyrady głosem pełnym i mocnym, choć tak samo — nie swoim. To krzyczy już inny człowiek, który za chwilę po raz drugi umrze, tym razem już ostatecznie. — Bywały wypadki wyzdrowienia nawet z daleko posuniętej pelagry, nazwać by je raczej należało — zmartwychwstaniem.

Zwróciłem Henrykowi uwagę, że w doborze i omówieniu swoich przykładów zostawia na uboczu zagadnienia etyczne. A przecież zabicie w człowieku jego prawości, zmuszanie go do zbrodni i podłości jest najbardziej przejmującym przykładem morderstwa popełnionego na duszy. Być może, te władze du-szy, których śmierć Henryk widział, stanowią niezbędną pod-stawę przeżyć i czynów podlegających ocenie etycznej: czło-wiek, którego zapędzono w paraliż myśli i woli, stracił samą zdolność wyboru, postępowanie jego, jeśli w ogóle był jeszcze w stanie "postępować", stało się etycznie nijakie, było nie tyle poza dobrem i złem, ile poniżej ich. Można sobie jednak wyo-brazić, i niestety — nie tylko wyobrazić, wypadki duchowego zmiądzenia człowieka, bez uprzedniego wykastrowania go z cech ludzkich, z uczuć i pragnień, z rozeznawania, oceniania i postanawiania. Wysunąłem między innymi przykład literacki: sędzia Kossecki z powieści Jerzego Andrzejewskiego "Popiół i diament". Porządny człowiek, posiadający co najmniej "prze-ciętny zrównoważony zmysł moralny", człowiek powszechnie szanowany i zasługujący na szacunek. "Pan wie przecież, panie sędzio — mówi biały charakter powieści, Podgórski — jaki za-wsze miałem i mam dla pana szacunek". W obozie Gross-Ro-sen, gdzie "cokolwiek się działo, działo się o krok od śmierci" i gdzie "było właściwie wszystko, były wszy-stkie niemal życiowe sytuacje, w wszyst-kiem uczucia, namiętności, tylko w nieprawdopo-



dobnym zagęszczeniu, natężeniu" — Kossecki się załamał i "aby siebie ocalić, — pozwalał się używać Niemcom do haniebnych czynów w stosunku do swoich współtowarzyszy". Doszedł "do utraty moralnej świadomości, (. . .) jednak nie na tyle całkowitej, aby nie pragnął żyć". "Jedyny prawdziwy wysiłek, jaki rzeczywiście pochłaniał i ożywiał, to zwierzęce pragnienie przetrwania... Cała groza obozowego systemu na tym właśnie polegała. Złamać ludzi, podeptać ich, odebrać im wszelką godność, wszelkie człowieczeństwo, wydobyć z nich najgorsze instynkty.... Podobnie jak istnieje kres fizycznej wytrzymałości człowieka, tak samo istnieje kres wytrzymałości moralnej".

Henryk na próżno szukał podobnego wypadku w swych wspomnieniach sowieckich. Widział oczywiście ludzi, w tym i Polaków, którzy kradli chleb umierającym z głodu towarzyszom, spotykał donosicieli, napatrzył się na znęcanie nad słabszymi, słyszał o porządnych kobietach puszczających się z byle kim za byle ochłap... Aby móc tu jednak mówić o zupełnej utracie moralnej świadomości, należało by w pierw nabrać przekonania o przedwojennej nieskazitelności tego czy owego wykolejca. Zazwyczaj jednak okazywało się, że złodziej chleba nie wzdragał się w Polsce przed dyskretną łapówką, że brutal bił za lekka żonę i dzieci, donosiciel pisywał perfidnie dwuznaczne "zażalenia", a puszczająca się dama obniżyła tylko w Sowietach cenę swej cnoty. Zdarzało się, że i tak zwany porządny człowiek popełnił czasem jakieś świństwo, ale były to zwykłe upadki, z których się podnosił, a nawet ludzie o sumieniu wyjątkowo niewrażliwym na pewne występki, zachowywali nader czuły zmysł moralny w stosunku do innych podłości. Brutal np. "wolałby skonać" niż ukraść koledze kostkę cukru, złodziej znów nie wazyłby się uderzyć kobiety, donosiciel był gotów jak lew bronić napastowanej rodaczki, a żyjąca z enkawudziścią Polka nie dała się wciągać w szpiegowanie swych rodaków. Wszyscy przy tym uważali się za dobrych Polaków, nagie zaprzaństwo było czymś zgoła wyjątkowym. Całkowitego zamarcia świadomości etycznej Henryk nie widział. Wypadki takie zapewne się zdarzały, ale nie były t y p o w e, jak w to, omawiając sprawę Kosseckiego, Andrzejewski każe nam wierzyć (str. 108 drugiego wydania) w odniesieniu do obozów niemieckich. Henryk więc skłaniał się do myślenia, że ciśnienie zła w sowieckich łagrach musiało być mniejsze.

Inna rzecz, że każda rana zadana świadomości moralnej jest niehumanitarna. Może nie być śmiertelna, ale zawsze, po ludzku biorąc, jest nieuleczalna, nie goi się nigdy. Przed wojną — powiada Andrzejewski — "ludzie mieli zaufanie do siebie samych, do własnej odwagi, do swej moralności. Pewne czyny wydawały się niemożliwe do popełnienia... Od pewnych hańbiących czynów każdy mógł się łatwo odciąć dlatego po prostu, że samo życie w swoim biegu codziennym nie przewidywało takich ostatecz-

nych konieczności: albo-albo. Człowiek miał nie tylko subiektywne, ale i obiektywne prawo myśleć o sobie, że jest człowiekiem porządnym, niezdolnym do przekroczenia pewnej granicy". Tak jest, moralność równie mocno się wspiera na świadomości: nigdy nie popełniłem tego czy tamtego haniebnego czynu, jak na postanowieniu: nigdy go nie popełnię. Rozumieją to doskonale w swoim zakresie moralności katolicy, którzy np., gdy chodzi o cnotę czystości, uważają utratę dziewiczej niewinności za grzech groźniejszy od innych, chociażby cięższych upadków. — Każdy nieetyczny czyn, nawet taki, jakiego się człowiek dopuszcza pod bezwzględny przyrusem — poniża i znieważa. Zgwałcenie uważane było powszechnie, w pewnych przynajmniej okresach historycznych, za "hańbę" nie tyle gwałciciela, ile zniewolonej kobiety. Postępowanie syna, któremu gestapowcy kazali bić po twarzy ojca, grożąc, że w razie niewykonania rozkazu zamordują ich obu — można i trzeba usprawiedliwić. Któż jednak powie, że ten straszliwy wypadek nie pozostawił w duszy syna niegojącej się, cuchnącej rany?

Godził się ze mną Henryk, że bolszewicy prześcignęli za to hitlerowców w bezczeszczeniu śmierci przeciwników rewolucji. Widziałem, że w swoim egzemplarzu "Kultury" podkreślił te same zdania z artykułu Thierry Maulniera "To czego nawet Koestler nie przewidział" — których i ja zapomniać nie potrafię:

"Opuściliśmy po wielu wiekach świat, w którym pozostawała człowiekowi ostateczna broń: mógł za cenę swego fizycznego zniszczenia głosić to, co było w głębi jego nieugięte i niewzruszalne. Ci, którzy chcą walczyć z nową tyranią, muszą wiedzieć, że u kresu ich drogi, jeżeli zostaną pobici, jest śmierć plugawa, bez chwały, śmierć pogrążona w nicości. Oto zmierzch bohaterów."

"Nie wiemy i nie możemy wiedzieć, w której dokładnie chwili, w ciągu tygodni więzienia, które poprzedzały proces, w czasie policyjnego śledztwa, zmarł kardynał Mindszenty. Skłonmy głowę z należnym skupieniem i czią przed żyjącymi zwłokami, które stanęły przed sądem i w których zgasło światło, które człowiekowi pozwala rozporządzać sobą. Skłonmy głowę przed trupem, trupem o unicestwionej świadomości. Ten starzec, potulny jak dziecko, powtarzający słowa poddania głosem, który nie jest jego głosem, śle nam z głębi swego poniżenia bez chwały i — upadku, przestrożę silniejszą, więcej mówiącą, niż jakiegokolwiek nieugięte słowa. Jest przykładem tego, co może dziś człowiek zrobić z człowiekiem. Świadectwa jego nic zagłuszyć nie zdoła."

Pewnego ranka przylażył do mnie redaktor Purpurowicz (tak się naprawdę nazywa, słowo daję) i od razu zaczął wygadawać na Henryka. Siedziałem jak na szpilkach, czując, że lada chwila



palnie coś, co nie pozwoli mi na żadne "aha" i "hm" i inne niepotakujące potakiwania. Że będę musiał stanąć w obronie przyjaciela. Nie cierpię, nie umiem "reagować".

— Wie pan, co ten ...ski (Henryk) wygaduje?... Jak dawno go pan zna? Czym on był przed wojną? Spokrewniony może ze ...skimi, tymi, wie pan...? Z czego on właściwie teraz żyje? — Nie czekając na odpowiedź, do której się nie kwapiłem, trzepał dalej: — Niech pan sobie wyobrazi, co on mi wczoraj powiedział!... Że w Sowietach, uważa pan, istnieje demokracja. Zastrzeliłem go zaraz pytaniem: "jako forma ustroju?" Musiał przyznać, że nie. A więc gdzie, w czym jest ta demokracja? "W stosunku człowieka do człowieka", powiada. Przykłady dawał dziecinne. W więzieniu, mówi, widział taką scenkę: Na jednym końcu korytarza stał major NKWD, na drugim — zwykły ciubaryga z pękiem kluczy w łapie. Major zawołał: "dawaj mi klucze, migiem!", a ciubaryga, zamiast podbiec i zameldować się z kluczami, szurnął je po podłodze. Major złapał klucze i nawet go nie opieprzył! ...skiemu się to podobało, że to niby był "najprostszy sposób szybkiego wykonania rozkazu". Dla mnie jest to chamstwo, nic więcej. Inny uroczy obrazek: "Ubor-szczyca" ściera kurze w gabinecie jakiegoś "naczalnika". Ten wodzi paluchem po kiepsko odkurzonych meblach, rysuje jakieś sprośności i na wesoło gdera, żeby się lepiej przykładała do roboty. Babcie to gderanie nie w smak, w pewnej chwili ma tego dosyć i — pac! mokrą ścierką naczalnika w gębę! "Sam dziełaj", wrzeszczy. Myśli pan, że ją wylał? Gdzie tam! Trochę obrugał i tyle. "Sam dziełaj"! Per "ty"! Nie, wie pan, ten ...ski jest paradyśny! "Resztek rewolucyjnego demokratyzmu" dopatrywał się całkiem serio w tym, że "żulicy" mówili po imieniu do pilnujących ich enkawudzistów i że tamtych to wcale nie oburzało. W czym on zresztą nie widział tej swojej "demokracji"! W tym, że członek Akademii Nauk potrafił zakurzyć tę samą śmierdzącą machorę co najciemniejszy chłop, że generał czy robociarz tak samo pluja przez zęby i identycznymi słowami rozstawiają sobie rodzinę po kątach... W skasowaniu tytułów, ukłonów, krawatów... W rubaszce Stalina!! Dobrze, co?... Albo podoba mu się, że w Sowietach można się dostać do ciupy za nazwanie Żyda "żydem" zamiast "jewrejem". Mówię mu: "Panie, czyż pan nie rozumie, że to jest tylko pretekst, jeden z wielu, przy pomocy których można uwiezić tylu ludzi, ilu w danej chwili potrzeba do ciężkich robót?" A on na to: "Niech będzie, że pretekst, ale przyzna pan, że ładny pretekst, bo przecież mogliby zamykać ludzi właśnie za życzliwe odnoszenie się do mniejszości, jak to robili hitlerowcy". (Czy on sam jest aby rdzennym Polakiem, nie wie pan? Zdarzają się wśród Żydów tacy blondyni.) Gubił się zresztą w sprzecznościach, bo opowiadał mi równocześnie jakieś banialuki o antysemityzmie sboieckim i natrząsał się z przywrócenia pagonów i w ogóle z dbania o prestiż oficera sowieckiego. To przeczenie samemu sobie na-

zywa "metodą światłocieni", he? Aberracja! Albo — szczyt wszystkiego: Rad nie rad, przyznał, że "stosunek mas do rewolucji bolszewickiej jest negatywny", ale upierał się, aby z tego wyłączyć to zwycięstwo chamstwa, które mu się podoba nazywać... niech pan zgadnie jak? Rewolucją obyczajową! Twierdził, że pod tym względem przynajmniej, słyszy pan: przynajmniej, nikt sobie w Rosji nie życzy powrotu do czasów carskich. Złapałem go za to "przynajmniej", a on powiada, że nie wie, jak sobie to wytłumaczyć, ale faktem jest, że spotykał mnóstwo zaciętych wrogów sowieckiego systemu, którzy jednak z większym sentymentem mówili o "dobrych czasach" za Lenina niż — za cara. Nie byłem w Rosji, ale znam ją sto razy lepiej od niego i daję panu słowo honoru, że to nieprawda. Na czymże ta pańska rewolucja obyczajowa polega? — pytam dalej. Wil się jak piskorz, nie mogąc zaprzeczyć szalonym rozpiętościom dochodów i powstaniu nowej klasy rządzącej, cytował przy tym z nabożeństwem jakiegoś eks-komunistę nazwiskiem Kesler czy coś takiego, tak jakby ten to pierwszy odkrył, wreszcie wymyślił sobie formułkę: "Różnice społeczne są u nich nie mniejsze niż u nas, ale ciekawą rzeczą jest, że się ich nie podkreśla tak jak u nas, przeciwnie, robi się dużo, żeby je zatrzeć". Uff!

Purpurowicz urwał na tym i wysapawszy się przeskoczył na inny temat, Henryk jednak rozwinął później przede mną tę myśl. "Nie sądzę — mówił — żeby to się dało wytłumaczyć tylko względami propagandowymi, czy tym, że śmietanka sowiecka jako arystokracja bardzo świeżej daty, bez tradycji, nie miała jeszcze czasu na wyrobienie sobie odpowiedniego stylu. Chociaż ordynarną bujdą jest gadanie o nieograniczonych możliwościach awansu społecznego w Sowietach, niemniej jednak wydaje mi się, że przepaść — powiedzmy — między młodym kołchoźnikiem a "inteligentem sowieckim" jest odrobinę łatwiejsza do przeskoczenia niż analogiczna przepaść u nas, różnice społeczne nie są tak beznadziejne i — to chyba najważniejsze — nie łączy się z nimi przywilej władzy ani upośledzenie bezpośredniej zależności człowieka od człowieka, bo cała władza jest właściwie w jednym ręku "słoneczka ludów" i wszyscy są od niej w równie potwornym stopniu zależni".

— Nie, doprawdy — zaczął znów mój rozmówca — czego się tknie ten pański ...ski, plecie zawsze nie-praw-do-po-dob-ne horrrenda! Zgadało się coś o humanitaryzmie, o tym, że w naszej epoce to pojęcie stało się pustym dźwiękiem. A on zaraz — wielki historyk! — wyskoczył nam z wykładem. Mam pamięć do różnych bzdur, z obowiązku dziennikarskiego, he-he-he, toteż powtórzę panu słowo w słowo... "Chrześcijaństwo", powiada, "upadło w dobie Oświecenia, jeśli nie wcześniej. Jako żywa siła tworząca kulturę. Miłość bliźniego przeszła pod zarząd cywilny". (Mówić o upadku chrześcijaństwa teraz, w Roku Świętym, toż to bezczelność!) "XIX wiek wyhodował wątłą roślinkę: laicki humanitaryzm. Z Czerwonymi, Białymi, Niebieskimi Krzyżami,



z towarzystwami opieki nad zwierzętami i więźniami, z pacyfizmem i innymi kwiatkami. XIX wiek, jak wiadomo, trwał do lat trzydziestych naszego wieku. Nastąpiły czasy pogardy. Obozów koncentracyjnych, procesów pokazowych, nowego niewolnictwa. Najbardziej przerażająca jest słabość reakcji na to wszystko". (Nie u wszystkich. A nasze protesty?) "Niedowierzanie, obojętność, mdłe współczucie. Gorejący krzew litości dla wszelkiej, choćby dalekiej, niedoli ludzkiej może wyrósć tylko na gruncie prawdziwej religii. Tak jak tylko fałszywa religia może rozpłomić nienawiść do ludzi, którzy nam osobiście żadnej krzywdy nie robią..."

— Co jak co — pomyślałem — ale pamięć to ma fenomenalną. Takiego ujęcia nigdy by przecież sam nie wymyślił. Nie wygląda mi ono zresztą na Henryka. — Później się okazało, że Henryk tu kogoś cytował.

— ... "Mniejsza o to. Faktem jest zanik współczucia. Niedokrewność współczucia. Tu zgadzam się z panem redaktorem" (niby ze mną) "nie zauważa pan jednak jednego. Siła współczucia zmalała, ale równocześnie techniczne możliwości okazywania go wzrosły ogromnie. Szarytka, która w każdym chorym widziała cierpiącego Chrystusa, jakże często była bezsilna wobec głupiego zapalenia płuc. Dziś, dzięki penicylinie, byle dureń z tytułem doktora, widzący w pacjencie tylko numer łóżka lub w najlepszym razie "ciekawny wypadek", uzdrawia z ewangeliczną szybkością i niezawodnością. Mamy wszędzie więcej lekarzy, lepsze lekarstwa..." (Co ma piernik do wiatraka?)... "Dzięki fantastycznej produkcji żywności i odzieży mamy czym "głodnego nakarmić" i "nagięgo przyodziać". I często robimy to na wielką skalę, mimo że głód i łachmany wcale nas tak bardzo nie wzruszają. Przypomnijmy sobie choćby, jak błyskawicznie i porządnie ubrano nas i odkarmiono po wyjściu z Rosji do Persji. Nędzarzy induskich, chińskich, malajskich, Bóg wie jakich, szczepi się dziś masowo przeciw chorobom, które ich dawniej dziesiątkowały... Nowoczesne środki transportowe pozwalają nieść pomoc tam, dokąd dawniej nawet myśl nie mogła dotrzeć... Niechby ktoś, nie tak dawno jeszcze, chciał przez ocean podać szklankę mleka jednemu dziecku umierającemu z głodu na dalekiej ziemi spustoszonej przez wojnę! Choćby mu się litość przelewała w sercu, nie mógł nic zrobić, zanim nie wynaleziono mleka w proszku..." No, dość tego, ma pan już mniej więcej pojęcie o poziomie tej tyrady. I niech pan zgadnie teraz, do czego to wszystko zmierzało! Żeby w tej gadaninie przemycić zdańko, że i w Sowietach robi się coś niecoś z pobudek humanitarnych. Myślałem, że nie wytrzymam, kiedy zaczął, jak zwykle ostrożnie i z za-strze-że-nia-mi, opowiadać nam bajeczki, że go w więzieniu szczepili przeciw tyfusowi, a to że w jakimś łagiernym lazarecie dawali konserwę z kuropatwy, to znów witaminę "C" w pastylkach... Panie — nachylił się i poczułem w

uchu wilgotny ciepły szepc — może jemu i dawali, z takimi poglądami, ale żaden porządny Polak...

— Świnia — pomyślałem i już chciałem dać temu możliwie grzeczny, ale stanowczy wyraz, gdy nagle w pokoju zrobiło się ciemno, jakby ktoś zamknął okiennicę. To Henryk, którego trzymały się takie sztubackie kawały, włączając do mego pokoju przez okno, wypełnił je swą zwalistą postacią. Z Purpurowiczem witał się dość serdecznie, z czego wywnioskowałem, że redaktor musiał być potulniejszym słuchaczem, niż to wyglądało z jego relacji. Teraz zaczerwienił się z lekka (o mały włos nie napisałem: "spurpurowiał", ach, ta mania dowcipkowania!), od razu zmienił przedmiot rozmowy i odpłynawszy na bezpieczną odległość od drażliwego tematu, pożegnał się nieco raptownie.

Gdy zostaliśmy sami, powtórzyłem Henrykowi wszystko, co Purpurowicz o nim i na niego nagadał. Przyjął to ze swą zwykłą, dwumetrową i stukilową dobroduszością. Zabodło go tylko jedno:

— Jakżeż on mógł pominąć to, co mówiłem o I.R.O.! Przecież ten przykład najlepiej ilustruje moją tezę. Czytałem tu kiedyś sprawozdanie szefa tej organizacji, p. Kingsleya. Mówi on tam o "osiągnięciach na niespotykaną dotąd skalę" i, co tu dużo gadać, ma gość rację! Wystarczy pomyśleć o tych setkach tysięcy ludzi, których przez parę lat I.R.O. karmiło, może nieraz podle, ale za darmo. Których przewiozło do krajów osiedlenia, gdzie znaleźli warunki bytu, często lepsze niż przed wojną u siebie. Dość przeczytać "Łuk Triumfalny" Remarque'a, by pojąć, co to znaczy międzynarodowa opieka prawna nad uchodźcami. Jej brak czyni z bohaterów tej powieści ścigane zwierzęta. I to w pokojowych czasach i w takich krajach jak Francja i Szwajcaria! Albo porównaj sienkiewiczowskie "Za chlebem" z tym listem Jaśka Dyrdały, który ci czytałem parę dni temu. "Teraz dopiero rozumię co to jest dobre życie", pisze z Melbourne. Dyrdałowa była w siódmym miesiącu, nie chcieli jej wziąć na statek, więc I.R.O. zapłaciło im samolot... A teraz popatrzmy na to wszystko z innej strony. Pobudki wielkiej humanitarnej akcji I.R.O. i jej metody niewiele mają wspólnego z humanitaryzmem. Dwie były główne przyczyny roztoczenia opieki nad uchodźcami: primo, masowość zjawiska — uchodźców było za dużo, by pozostawienie ich na łasce losu i doprowadzenie do gotowej na wszystko rozpaczcy nie miało dla władz okupacyjnych w Niemczech stworzyć problemu, którego rozwiązanie za pomocą metod policyjnych (pacyfikacje, deportacje) okazałoby się trudniejsze i kto wie czy nie kosztowniejsze od humanitarnej działalności I.R.O., secundo — szczęśliwy zbieg okoliczności: ogromna podaż rąk roboczych zbiegła się z wyjątkowym na nie popytem. Z jednej strony przemożną większością uchodźstwa wojennego stanowili ludzie młodzi, nieobciążeni ro-



dzinami, gotowi do każdej pracy za byle jaką zapłatą — z drugiej strony, właśnie wtedy, gdy powstało zagadnienie uchodźstwa Ameryka miała rekordowo niską ilość bezrobotnych, Anglia potrzebowała na gwałt rąk do ciężkiej pracy, a Australia nareszcie uświadomiła sobie, że ma do wyboru: zaludnić się albo zginąć. No, a teraz metody... Kto się zetknął bliżej z działalnością I.R.O., nie mógł nie spostrzec, jak nieszczyśliwie był na ogół dobierany personel tej organizacji, ilu liczył bezzwrotnych i obojętnych na ludzką nędzę bubków i panius, ile w tej całej robocie było niezrozumienia, szykan, głupiej, a często okrutnej biurokracji... Jeśli mimo wszystko I.R.O. zrobiło tyle dobrego, dowodzi to nie siły tych uczuć humanitarnych, które nie utonęły jeszcze w powodzi obojętności i okrucieństwa, ale — tego, że nawet słabutki zapal do czynienia dobrze, wsparty olbrzymimi możliwościami technicznymi, organizacją międzynarodową, workami dolarów, wagonami konserw, flotą do przewożenia emigrantów... — może sprawiać cuda!

— Przyznam się, że niebardzo rozumiem, jaki związek ma to wszystko z Sowietami — powiedziałem.

— To co mówiłem ogólnie o humanitaryzmie naszych czasów — odpowiedział Henryk — odnosi się też do Sowietów. Z tym oczywiście, że zanik współczucia jest tam większy, a techniczne możliwości akcji humanitarnej — mniejsze, przede wszystkim z powodu zacofania cywilizacyjnego Rosji. Ale jedno i drugie istnieje. Ograniczę się tu znowu do tego, co widziałem własnymi oczyma. To że w więzieniu prano nam bieliznę, wypuszczano nas codzień na spacer, prowadzono raz na tydzień do łaźni — można wyjaśnić zrozumiął troską o zachowanie przyszłego bydła roboczego przy życiu i względnym zdrowiu. Ale czym, jeśli nie współczuciem, wytłumaczyć to, że dawano nam "repety", zamiast pozostać zupełnie zacię do kotła (sadyistycznie nastroszeni dozorczy robili to czasem, ale były to wyjątki!), że władze więzienne zgodziły się na doreczenie uwięzionym Żydom polskim macy, upieczonej na paschę przez ich sowieckich współwyznawców z miasta, że niejednemu inwalidzie dano w łagrze lżejszą pracę, że przy organizowaniu transportów uwzględniano czasem prośby o nierozłączanie krewnych a nawet przyjaciół...

— Wywalasz otwarte drzwi — wtrąciłem. — Już Dostojewski powiedział, że człowiek nie może żyć bez odrobiny łości.

— Oczywiście. Ale nie o to chodzi. A teraz możliwości techniczne... Nikt przy zdrowych zmysłach nie zaprzeczy, że dzisiejsza Rosja nie pozostała znów tak bardzo w tyle za resztą świata, jeśli chodzi o tak zwany postęp cywilizacji, choć oczywiście prymitywną blagą jest zapisywanie całego tego postępu na rachunek komunizmu. Nauka ma ciągle jeszcze dużą zdolność przenikania przez żelazne zasłony i wciąż daje do ręki Rosjanom potężne środki do walki z cierpieniem, te same, jakie ma Zachód. Sowiety, tak jak reszta świata, mają dziś więcej lekarzy, skuteczniejsze lekarstwa, lepsze narzędzia, szczepionki, więcej

szpitali, uzdrowisk, doskonalsze środki transportowe, większe możliwości wytwórcze itd., itd... Na te rzeczy zwraca się za mało uwagi. Nie ma dnia, żebyśmy nie czytali dociekań, czy Rosja ma już bombę wodorową, ale jakoś nigdzie nie spotkałem się z pytaniem, czy bolszewicy świsnęli już Zachodowi "tajemnicę" D.D.T., wiesz, tego preparatu nadzwyczajnie skutecznego w walce z wszelakim robactwem. Wiadomo, jaką rolę odgrywała w walce na wszystkich frontach pierwszej światówki, w drugiej — była już właściwie tylko jedna zawszona armia — czerwona. Pomyśl tylko, jaką rewolucję, wielką humanitarną rewolucję, zrobi w Sowietach masowa produkcja tego środka, na co chyba przemysł sowiecki może się zdobyć z łatwością!... Jeśli cię to nie nudzi...

— Na razie nie...

— ...opowiem ci jeszcze, żeby z tym skończyć, jedną historijkę łagierną. Może nie typową, ale charakterystyczną. To nie jest to samo, zgadzasz się? Jesienią czterdziestego roku stworzono na naszym łag-punkcie lazaret. Pomieszczono go w okropnej budzie, przeznaczonej pierwotnie na jakiś skład czy garaż. Nie było tam ani okien, ani elektryczności, mowy nie było nie tylko o pościeli, ale nawet o siennikach. Na bez mała tysiąc chorych był jeden lekarz, wolny, i technik dentystyczny, więzień, który "leczył" wszystkie choroby. Felczerem był lwowski taksówkarz, który miał postój przed szpitalem. Dawano tylko zupki z kaszy i po kilogramie (chorych trzeba odżywiać lepiej!) niewypieczonego chleba, którego osłabione żołądki w ogóle nie trawiły. Do łaźni, gdzie w temperaturze bliskiej zera wyczekiwało się godzinami na łachy zabierane do dezynfekcji, zaprowadzono chorych jeden raz w ciągu trzech miesięcy. Kilkunastu przypięto tę kąpiel śmiertelnym zapaleniem płuc. W ogóle śmiertelność wyrażała się codziennie w liczbach dwucyfrowych. Co dwa tygodnie odbywała się "komisja" i pewien z góry określony procent chorych "wypisywano" bez względu na stan zdrowia. W zasadzie nikt nie mógł chorować dłużej jak dwa tygodnie. Mówię ci — koszmar, nie szpital. Częściowym wytłumaczeniem tego stanu rzeczy był fakt, że z powodu przedwczesnego zamarznienia rzeki, nie zdążono na nasz "łag-punkt" dowieźć przewidzianego jakoby zaopatrzenia... Aż tu po paru miesiącach spada z nieba wizytacja, podobno z Moskwy. Jacyś wyżsi oficerowie NKWD, kilka wyperfumowanych kobiet w wspaniałych białych kozuchach, lekarki, zdaje się. Robi się chryja. Naczelnym lekarzem dostaje 25 lat, znajdują się baraki, sienniki, nowiutkie prześcierała, żarówki, siostry, masło, po 20 gramów dziennie, zjeżdżała, ale *masło*, sucharki, łaźnia co tygodnia, pojawiają się jakieś lekarstwa, witaminy, przyjeżdża paru lekarzy. Wszystko dostarczone w ciągu paru tygodni, kolumnami samochodowymi jadącymi, nie bez ryzyka i wypadków, po zamarznętej rzece! Normalna troska o życie niewolników potrzebnych do pracy? Może... Na odjeździe naczelnym rewizor wydaje zarzą-



dzenie: Ze względu na stwierdzony rozpaczliwy stan zdrowia pacjentów, nikt nie może zostać "wypisany" przed upływem trzech miesięcy. Rezultat: Wkrótce w lazarecie wylegają się zdrowe byki, a ciężko chorzy ludzie konają przy pracy, gdyż z braku miejsca nie przyjmuje się nowych pacjentów! Troska o siłę roboczą?!

Zamilkł, chwilę się zastanawiał, jakby chciał coś jeszcze dorzucić, potem machnął ręką i zaczęliśmy mówić o czym innym. Wnet jednak, nie pamiętam już którejdy, wróciliśmy znów do Sowietów.

— Opowiadałem ci przed chwilą o tej rzece przerobionej na szosę. Mówiłem ci kiedyś o farmach za kołem polarnym, na których w ciągu kilku tygodni ciepła wyrastały przeciw jakiejś jarzyny. Jak wiesz, budowaliśmy linię kolejową Kotłas-Workuta, łagry nasze były pierwszymi osiedlami w nietkniętej ludzką stopą tajdze i tundrze, do której dawniej nie zapuszczali się nawet myśliwi... Przyjechała raz do nas wycieczka komsomolców. Byli ciepło ubrani, dobrze odżywieni i ogromnie przejęci. Zdumiewającym postępem robót, wspaniałą arktyczną scenerią, iluminacją zorzy polarnej. "Reflektory na próżno szukające Boga" — powiedział ktoś o niej. Wtedy zrozumiałem, że to co dla nas było katorgą, dla nich miało patos pionierskiego ujarznienia przyrody.

— Amerykanie robią większe cuda na Alasce — wtrąciłem — bez niewolników i bez twojego "patosu".

— Widzisz, im to przychodzi za łatwo. A ten "mój" patos polega między innymi na dysproporcji oszałamiających celów z marnością środków.

— "Oszałamiających"?

— Tylko w znaczeniu fizycznego ogromu.

— A "marność" i w fizycznym i moralnym sensie?

— Tak... "Kraj ponurej anegdoty". Pięknie. Wynikają z tego dwa "nastawienia" u wszystkich piszących o Sowietach: wołanie o pomstę do nieba i — kpinki. Nastawiając się tak, panowie dziennikarze obracają się zadkiem do prawdy, w każdym razie — do całej prawdy. Sowiety są krajem ponurej anegdoty, ale to nie wyczerpuje zagadnienia. Nie rozumiem tego kraju nikt, kto bodaj na chwilę nie potrafi się wczuć w złowrogą patos, w... podłą wzniosłość dokonanej tam i dokonującej się rewolucji. Pomyśl tylko o przemianach, jakie w ciągu jednego pokolenia zaszły w życiu obywateli sowieckich. W ich sposobie odżywiania się (wieczne niedojadanie), ubierania (jednolita szarzyzna), mieszkania ("obszczezytia"), pracy (np. mechanizacja rolnictwa), w skali wartości (np. zmniejszona rola pieniądza), ba, nawet w języku, ba, nawet w krajobrazie (np. zniknięcie szachownicy pól)... Te zmiany i mnóstwo innych narzuciła dwustumilionowemu bez mała społeczeństwu garstka doktrynerów o gangsterskim zacięciu, a w trakcie przeróbki jest dziś dalszych pięćset milionów Oto do czego zdolny jest czło-

wiek. W tym sensie, i tylko w tym sensie, miał rację Gorki mówiąc, że "człowiek, to brzmi hardo". Mój Boże, gdyby tę siłę to napięcie woli zaprząć w służbę dobrej sprawy...

— Pamiętajsz, co na ten temat mówi Simone Weil? — poszperałem w "La pesanteur et la grâce". — Posłuchaj: "To samo cierpienie jest znacznie trudniej znieść ze wzniosłych pobudek, aniżeli z — niskich. Ludzie, którzy potrafili stać nieruchomo w kolejce od pierwszej do ósmej rano po to, by dostać jedno jajko, niełatwo by się zdobyli na to samo dla uratowania jednego ludzkiego życia".

— To prawda. Mimo to jest jednak coś podnoszącego na duchu w nieprzeczuwanym ogromie wysiłku, na jaki się człowiek potrafi zdobyć ze strachu, z chciwości, z rozpaczy... Rosja nauczyła mnie jednego: granice ludzkiej wytrzymałości leżą o tysiąc mil dalej, niż się to nam wydaje. Muszę bolszewikom przyznać dużą część zasługi w unaoznieniu tej doniosłej prawdy.

— Tę prawdę ciągle na nowo odkrywa nam każdy kryzys, każda katastrofa, każda wojna...

— I gdy tylko przychodzi odprężenie, ochoczo ją zapominamy. Rządy sowieckie są katastrofą trwającą trzydzieści parę lat. Permanentny kryzys, ciągły stan wojenny. Dlatego tam się o tej prawdzie nie zapomina. W Żytomierzu jeden z pilnujących nas bojców został rozstrzelany za to, że się zdrzemnął na posterunku, z którego przez zapomnienie nie zlurowano go i gdzie sterczał już prawie całą dobę bez zmrużenia oka. Przeraża mnie, ale też imponuje mi ta wysoka cena za najdrobniejsze zaniedbanie, za zmrużenie oka.

— We mnie ten maksymalizm budzi tylko wstręt. Wolno być maksymalistą w stosunku do siebie, nigdy — do drugich. Mus "nadludzkiego" wysiłku i wysoką cenę za jedną chwilkę drzemki zna doskonale chrześcijaństwo, ale o ilez głębiej i godniej. "Le jour où vous ne brûlerez plus d'amour, beaucoup d'autres mourront de froid" — mówi Mauriac. Wiesz, że slogan bolszewicki: "kto nie pracuje, niech nie je" jest dosłownie wzięty z... listów św. Pawła? św. Paweł wszakże myślał tu jedynie o sobie, utrzymując, że działalność apostołska nie daje mu prawa do życia na koszt gminy.

— Skoro mówimy o pracy... Warto by się zastanowić, czy za deklamatorskim odmienianiem tego słowa przez wszystkie przypadki nie kryje się jakaś prawda, czy w takim np. powiedzeniu: "bolszewicki styl pracy", powtarzanym do znudzenia przez propagandę sowiecką, nie dałoby się znaleźć czegoś dobrego. Wy-rzućmy najpierw z siebie to, co mamy na wątrobie, żeby nam nie zawadzało. Ustalmy, co w sowieckiej gadaninie o pracy jest mydleniem oczu. Tylko ten je, kto pracuje, a kto nie pracuje, też zdycha z głodu; racja. Praca niewolnicza; jest. Stachanowszczyzna; bujda ułatwiająca wyzysk robotnika. Praca miarą wartości człowieka i rękojmnią awansu społecznego; nieprawda. Nieudolna organizacja pracy i mała wydajność; fakt... A jed-



nak... A jednak gruby błąd popełniają badacze pism Lenina-Stalina i wtórującej im psiarni komentatorów, jeśli uważają, że propagandy sowieckiej w ogóle nie można brać na serio, że nie ma ona żadnego związku z rzeczywistością. Gdy Stalin mówi: "My bolszewicy jesteśmy ludźmi odlanymi ze szczególnego kruszcu", nie tylko on sam w to święcie wierzy, nie tylko razem z nim wierzy w to parę milionów uprzywilejowanych komunistów, ale nawet gnębione masy muszą przyznać, że choć ów kruszec nie jest złotem, jest jednak wyjątkowy, niech będzie: wyjątkowo podły, lecz i n n y od gliny, z której ulepili są nie-bolszewicy. Jak w prawie wszystkich kłamstwach sowieckich, tak i w pięknych słówkach na temat pracy jest połowa prawdy, w którą bolszewicy fanatycznie wierzą i która nawet w umysłach ofiar bolszewizmu pozostawia ślad. Prawdą jest, że nie ma w Sowietach bezrobocia, choć oczywiście drugą połową tej prawdy jest, że amerykański bezrobotny jest milionerem w porównaniu z sowieckim robotnikiem... Prawdą jest, że nie ma opływających w dostatki nierobów; kłamliwym, propagandowym dodatkim jest już naturalnie twierdzenie, że jedyne prace jest źródłem przywilejów. Ale przywileje nie zwalniają od pracy. Ministrowie państw demokratycznych są na ogół leniuchami w porównaniu do członków politbiura. Ambasador brazylijski w Nepalu może gros swego czasu poświęcić na kolekcjonowanie szkatulek z laki i hodowlę pekińczyków, podczas gdy jego sowiecki kolega haruje po nocach, by podolać zadaniom swej potrójnej funkcji: dyplomaty, szpiega i dywersanta. Pojęciu "synekura" nie odpowiada w Sowietach żadna rzeczywistość...

Prawdą jest, że "żadna praca nie hańbi" i że nie ma takiej pracy, której nie dało by się robić lepiej. Nigdzie tych starych prawd nie reklamuje się z takim zapałem jak w Sowietach. Muszę ci się przyznać, że bardzo duże wrażenie zrobiła kiedyś na mnie "propagitka" opisująca pracę brygady "asenizatorów", to jest — śmieciarzy. Byłem pełen podziwu dla autora, który umiał pokazać, jakie pole ludzkiej pomysłowości daje nawet taka robota i jak doniosłe jest jej znaczenie społeczne. Nie mam powodu wątpić w szczerść autora, choć z drugiej strony nie mam na czym oprzeć przekonania, że taki stosunek do pracy jest możliwy w sowieckiej praktyce... Prawdą jest, że nikt w Sowietach nie pracuje, jak to jest na Zachodzie, po to... by, dorobiwszy się, mógł nie pracować, co jest prawie tak wielkim poniżeniem pracy jak pracować, aby żyć. Natomiast dodanym do tej prawdy fałszem jest paplanina o radosnej twórczości, o pracy dla pracy, w kraju, gdzie pracuje się już nawet nie po to, aby żyć, ale — aby nie zdechnąć... Prawdą jest, że zastąpienie chęci zysku — sportową rywalizacją, ambicją rekordów (socjalistyczne współzawodnictwo, ruch stachanowski) podniosłoby godność pracy, a to że jedno i drugie jest w Sowietach ponurą maskaradą, przemawia tylko przeciw Sowietom, a nie przeciw samej idei... Istnieje "bolszewicki styl pracy", choć nie tak piękny, jak go

malują. Styl pisarza przejawia się najzewnętrzniej w ulubionych słowach i natrętnych skojarzeniach. Superlatywy Żeromskiego, "he-he" Przybyszewskiego. Tak samo istnienie bolszewickiego stylu pracy sygnalizują nam takie rzeczy jak robienie z nocy dnia, ciągłe pokrzykiwanie: "bystro, bystro!", mlaskanie nad słowem "kultura", "kulturnyj", "kulturno", stare ale jare, urocze powiedzonko "wyj..., a skażi szto naszo!"... To ostatnie jest swoistą trawestacją "mierz siły na zamiary", hasła, które wraz z bezlitosną samokrytyką, z rozmachem planowania i z... bezmiarem bałaganu, niedoświadczenia i okrucieństwa — stanowi jeden z głównych elementów "bolszewickiego stylu pracy"...

— Długo tak jeszcze możesz? — spytałem, udając zdudzenie, a kryjąc lekką irytację.

Henryk uśmiechnął się tym swoim uśmiechem, pocziwym a bystrym, pewnym siebie a przecież odrobinę nieśmiałym:

— Widzisz, w tym właśnie bieda, że niedługo. To by było właściwie wszystko, co można dobrego powiedzieć o Sowietach. Zmieściłoby się to w broszurze grubości stalinowskiej konstytucji. Żeby sobie uświadomić, jak to jest mało, wystarczy mi pomyśleć o tych tomach, których by trzeba było na spisanie naszych rzewnych wspomnień o Polsce. Nie myślę tylko o nas — jaśnie uprzywilejowanych. Pamiętam niezliczone godziny nostalgia przegadane zgodnie na łagiernych przyczach z Ickiem Wajsrotem, kamasznikiem z Nalewek i trockistą, dla którego Polska była macochą... i — z Tymofijczukiem, skopanym przez polskich policjantów nacjonalistą ukraińskim, który konając pod Workutą, żegnał się z nami tymi rwanymi słowy: "Bracia... życzę wam... dużo cukru i... chleba... naszego... białego... polskiego..."

Michał SAMBOR



## Notatki amerykańskie

### Malowane życie, malowana śmierć

D. W. Brogan,<sup>\*)</sup> mądry entuzjasta Ameryki pisze: "Wszyscy Amerykanie jakże są podobni do siebie w oczach Europejczyka — język, ton, ubranie, sposób życia, styl życia — wszyscy znaczeni tym samym piętnem. Polacy amerykańscy podobni są do Finów amerykańskich bardziej niż w Europie Polacy i Finowie. Ameryka szybko wynaradawia, ale czy unaradawia również?"

Czasami mam pokusę powiedzieć, że nie. Społeczeństwo amerykańskie jest jak sieć "pipeline'ów", różne gatunki olejów mineralnych płyną w tym samym kierunku, ale się nie mieszają. Wszystkie płyną ku jednemu odczodzonemu amerykańskiemu produktowi, ale wielka rafineria, która wyprodukuje ostateczną mieszankę jeszcze nie istnieje, albo jeszcze nie jest zmontowana tak, by mogła przerobić więcej niż drobny procent tej masy".

Ten ustęp książki D. W. Brogana ileż razy przychodzi mi na myśl, gdy sam sobie nie mogłem dać rady z moimi wrażeniami. Już od Kanady, od Toronto poprzez New York, Buffalo, Detroit, Chicago, etc. zaczęło się moje zdziwienie: długie, niekończące się ulice ukraińskie, polskie, żydowskie, murzyńskie, meksykańskie i niemieckie, włoskie czy nawet portugalskie; wszędzie te same domy, nie wysokie, ta sama wypadkowa architektura, te same sklepy i drug-story, tylko że widać nazwiska właścicieli i czasami dodatkowe napisy w językach poszczególnych narodowości te ulice zamieszkujących.

"W środku Detroit jest całe miasto polskie, które się wydaje Amerykanom skupiskiem stuprocentowo cudzoziemskim" — pisze tenże Brogan.

Dla mnie przybyłego z Europy nie polskość, ale amerykańskość tego skupiska rzuca się przede wszystkim w oczy.

Detroit, maj 1950. Organizacja Business-ladies to kupcowe

<sup>\*)</sup> BROGAN D. W., *American Problem*. Wyd. Hamish Hamilton.

i żony kupców polskiego pochodzenia. Zbierają się one na bankiet doroczny na Mother's Day — Dzień Matki, święto obchodzone solennie w Stanach. Zaproszony na ten bankiet miałem opowiedzieć tym paniom co wiem o życiu studentów w Paryżu. Pod wpływem akcji muzyka Dygata te panie już rok temu przeznaczyły 360 dolarów na studentów polskich w Paryżu, tego roku przeznaczyły taką samą sumę. Miałem wieczór zajęty, zdążyłem dopiero na koniec bankietu.

Już w szatni słyszę słodki i wnikliwy głos, przemawiający po angielsku. Mówczyni najwidoczniej przeciwstawiała Amerykę Sowietom. "We all have television and this is our capitalism" i dalej już ku końcowi tej mowy, nagrodzonej entuzjastycznymi oklaskami "you are the marvelous mixture of Polish and American culture!"

Wchodzę. Duża, goła sala, wielka podkowa stołów z trzecim stołem równoległym w środku. Coś w rodzaju sali gimnastycznej. Nigdy nie widziałem tylu kwiatów na głowach. Róże ogromne, różnych kolorów, wielkości młodej kapusty, ciężkie grona winogron z jagodami wielkości dobrej śliwki, opadające na uszy, gazy i tiule, bardzo wiele koronek i piór. Większość starszych pań jest dostojnej tuszy. Obserwuję jedną z nich. Kapeluszek z szerokim rondem i czerwonymi różami. Suknia z czarnej koronki, na potężnym biuście, poprzez pyszne hafty przezierna blado-niebieski jedwabny stanik a na nim agrafką spięty pęk liliowych orchidej, jeszcze powiększonych przez wstążki identycznie tego samego fioleto. Orchidee wszędzie, na wszystkich biustach (pono po pięć dolarów sztuka).

To jest order matek w Mother's Day. I dzisiaj w Detroit widzę te kwiaty wszędzie. Na ulicach, w restauracjach, suto wystrojone starsze panie, śnieżne włosy, kolorowe kapelusze i wszędzie bukiety orchidej. Te bukiety ubite, kopiaste i foremnie ułożone podparte pękiem drobnych wstążek robią wrażenie prawie że salaterki z orchideami, przyczepionych do obojczyków.

Na sali bankietowej przyglądam się paniom w koronkach. Kogo mi przypominają? Już nie tylko tualetą i tuszą, ale stylem.

Wypływa mi z pamięci bardzo dalekie dzieciństwo. Mińsk zaraz po 1900 roku. Doroczny bazar dobroczynny na wielkiej sali jedyne go teatru. W łóżach obywatelki miasta i okoliczne ziemianki, różne prezeski, wice-prezeski i doktorowe sprzedawały szampan, kawę i kwiaty na polskie Towarzystwo Dobroczynne. Na wielkiej loterii można było wygrać wspaniałe albumy z czerwonego pluszu i również niezrównane wazon (pożądanie mojego dzieciństwa): na porcelanowej szyjce jednego z tych wazonów zdobnej w złote esyflorese wisiały nadnaturalnej wielkości (jak prawdziwe) kolorowe śliwki porcelanowe. Panie w łóżach tonęły w koronkach, piórach i kwiatach. To był szczyt mińskiej elegancji ziemiańskiej i wielko-miejskiej.



Styl sukien, kapeluszy na tej sali w Detroit jest podobny. Ta sama sutość i bogactwo kwiatów i koronek.

Niektóre z matek przyszły na bankiet z córkami. Te ostatnie nie mówią już prawie po polsku, i do nich była alokucja po angielsku o "marvelous mixture". Zupełnie inny typ fizyczny. Urodzone w Ameryce przeszły już przez szkoły i sporty amerykańskie, organizm przyzwyczał się do tamtejszego reżimu, który dla nas Europejczyków robi wrażenie nadmiaru jedzenia. Panny są wysmukłe, bujnie wyrosnięte, niektóre wprost śliczne, ubrane skromniej o wiele i współcześnie. Matki czują się naprawdę solenizantkami. Widzę czułość życia z nimi tych zamerykanizowanych już córek, siedzących tuż przy swoich wystrojonych matkach. Na uczcie panuje nastrój tak mi już znany z innych czysto amerykańskich zebrań tego rodzaju, nastrój naprawdę szczerzej euforii (o ile pamiętam nie było tam wcale albo prawie wcale alkoholu). Podejrzewam, że niejedna z tych matek w szczerzej rozmowie powtórzyłaby słowa Polki z Chicago, które cytowałem w poprzedniej "Kulturze" — "Tu jest prawie niebo!".

Mowa następuje za mowami. Należy to do koniecznego protokołu każdego zebrania amerykańskiego — współbiedniacy zachęceni przez przewodniczącego, który darzy każdego po kolei wspaniałymi komplementami, muszą koniecznie się w słowie "uskutecznić" i swoją mowę powiedzieć.

Prezesa stowarzyszenia rozdaje bukiety z agrafkami. Matce najstarszej, matce, która ma najwięcej dzieci i tak dalej. Najstarsza matka, rosła, wielka kobieta o białych włosach, ogromnych bladuróżowych różach na kapeluszu i w sukni z jasnych koronek przybyła na to święto z dalekiej Kalifornii. Ona otrzymuje pierwszy bukiet. Wielka jest potem dyskusja, która z matek ma najwięcej dzieci, potem która jest najmłodsza. Nareszcie ustalono młodą kobietę o delikatnej gładkiej cerze, wysoką blondynkę. Dałbym jej lat 17, ma ich 23. Dla tej najmłodszej matki jest prezent specjalny. Pan Grzanka, właściciel cukierni ofiarował za pośrednictwem obecnej na sali pani Grzanki wielki tort z kremu w formie damskiego białego kapelusza. Na tym kapeluszu są wstążki z zielonego marcepanu w drobną centkę, usypane małymi różyczkami, rzeźbionymi w różowym marcepanie. Wiele z tego wszystkiego jest radości.

Opowiadano mi, że Mother's Day powstał w Ameryce z inicjatywy skromnej nauczycielki, która straciła matkę i chciała tym dniem uczcić jej pamięć i wszystkich matek i wyrazić to co odczuwała po jej śmierci najostreż, że trud i miłość matki do swych dzieci pamiętamy i czcimy za mało. Ta nauczycielka miała pono umrzeć w głębokim przynębieniu, że dzień ten w Ameryce wszędzie się przyjął nagminnie i powierzchownie, w zupełnie innym charakterze niż sobie wyobrażała. Stał się jeszcze jednym dniem prezentów i pretekstem do uczt.

No jakże tu mówić o studentach w Paryżu? Opowiadam o

jednym, którego ojca skazano w Polsce na 12 lat więzienia, on ciężko ranny w 1944 roku, dziś nie może nauk skończyć z braku środków. Opowiadam o drugim: gra w nocy na skrzypcach na Place Blanche pijanym gościom, wychodzącym z nocnych barów i dancinów. Mówię o wielkim procencie tuberkulików. Staram się tłumaczyć, że warunki i płać fabryki we Francji to zupełnie co innego niż fabryki w Ameryce, gdzie jest całkiem inna siła kupna, że zarobić na studia uniwersyteckie przez pracę w fabryce jak to jest w zwyczaju w Ameryce, nie dało by się zrobić we Francji.

Jestem słuchany niewątpliwie serdecznie, ale czy uważnie? Otrzymuję tyle oklasków co moja poprzedniczka, która mówiła o "marvelous mixture", ale mam wrażenie, że dla tych kobiet o dobrym sercu, wypróbowanej amerykańskiej hojności, które całe życie niezmiernie ciężkiej, uczciwej pracy wyniosło z ubóstwa nieraz na wyżyny dostatku, a losem tych studentów jest już niezmiernie wielka przestrzeń, tak wielka, że to co mówię może być dla nich abstrakcją.

Jakże amerykański wydaje mi się ten świat. Poza dalekimi asocjacjami z dobroczynnymi paniami mińskiego bazaru nie umiem w tej "polish-american mixture" doszukać się wielu elementów polskich. Widzę ciągle Amerykę. Zwycięstwo jej dobrobytu, bogactwa, ogromnej pracy, jej demokracji i jej obyczajów (mowy, mowy). Może w twarzach tych młodych dziewcząt w kolorze ich włosów, oczu, czuję jeszcze jakieś asocjacje, związki z dziewczętami spod Przeworska czy Lublina.

Nagle, po wielu mowach — wszystkie sławiły prace tych pań dla studentów w Paryżu — wstaje jedna z nich. Ubrana jest skromniej w czarną suknię i różowy kapelusik. Mówi, że już nie będzie przemawiała długo — było tyle świetnych mówców przed nią — winszuje kierowniczkom towarzystwa i zarządowi zbożnej pracy i kończy swe przemówienie życzeniem, by po najdłuższym życiu Bóg im dał śmierć szczęśliwą, otworzył im Bramę Niebieską i przyjął je wszystkie do Swej wiecznej szczęśliwości.

Było to powiedziane bez żadnego patosu, całkiem naturalnie i to wspomnienie o śmierci jak o rzeczy niechybnej i *najważniejszej*, która nas wszystkich czeka, było jedynym momentem, gdzie poczułem w nastroju, we wspomnieniu, ton z dalekiego kraju. Wspomnienie naszej wsi polskiej czy białoruskiej skąd przyszlizśmy wszyscy i te panie w orchideach i ja.

Obyczaj tamtych lat, gdzie do naszych wsi i dworów gazety dochodziły mało, albo wcale, ale gdzie w niedzielę w pogodę czy niepogodę, w śnieżyce czy w upał, wszyscy jechali do kościoła w bryczkach, furmankach, sankach lub szli pieszo. Jeszcze widzę pobożne i na niedzielę wyelegantowane kobiety, które szybko już przy samym kościele pod jakimś parkanem na trawie nakładały trzewiki na bosa nogi. Zbieraliśmy się tam bez pośpiechu i gorączki, a słowa Ewangelii czytane przez księdza z ambony może głębiej wówczas wrzynały się w pamięć bo nie



miały przeciwwagi sensacyjnej prasy codziennej, sensacyjnych wiadomości, ani potoków wymowy i hałasu radia, którego bliższego wynalezienia nawet nie przeczuwaliśmy. Zresztą nieznanym był wówczas nawet dla czytelników gazet styl polsko-amerykańskich pism z niezliczonymi fotografiami dostojnych obywateli i obywaterek, przejechanych przez samochody przechodniów, oraz morderców wszelakiego rodzaju. Styl prosty Ewangelii, styl godzinek i pieśni religijnych znaczył styl rozmów i obyczajów. Zamiast kina były procesje kościelne ze złotymi feretronami, noszonymi przez strojne dziewczęta, była w słońcu błyszcząca złota monstrancja pod baldachimem. I ten tłum ludzki na każdym odpuszczeniu tak zapychał kościoły, że kości trzeszczały. Pogrzeby w tych czasach były u nas także tłumne, pamiętano je długo.

“Och, jak ona umiała płakać i zawodzić na pogrzebach”, opowiadała mi ze szczerym entuzjazmem Wierka z Braśławia jeszcze w Polsce. — “Nikt tak nie umiał zawodzić, prawda, że pomarło jej kilka braci i rodzice, więc już to był nie pierwszy raz”.

Te płacze pogrzebowe, te zawodzenia, które jeszcze parę lat przed wojną słyszałem na cmentarzu żydowskim w Żabiem, to była jeszcze i jeszcze stężała w geście i jęku cała tradycja już nie wielowiekowa, ale tysiąc i tysiącletnia obrzędów pogrzebowych i czci śmierci. Ta tradycja została jakby zatracona, spłycona, *uróżowiona* w życiu przeciętnego Amerykanina. “Brama Niebieska”, “śmierć szczęśliwa”, nawet nie te słowa, ale *akcent* z jakim były powiedziane, przeniosły mnie z Detroit w dalekie wiejskie dzieciństwo, w tamten świat, gdzie śmierć była wielkim centralnym wydarzeniem, o którym się mówiło latami, gdzie żony nosiły nieraz żałobę po mężach na zawsze, do śmierci. Płacz po umarłych nie był ukrywany wstydliwie, nie był w tempie pospiesznym, ale był bólem trwałym z nadzieją i światłem na dzień, bo z wiarą niezłomną, zupełnie materialną spotkała się w innym, szczęśliwszym świecie. “Zdało się oczom głupich, że pomarli a oni są w pokoju”. Śmierć ta była dostojna i piękna. Nie tuszować, “nie zaklepać”, tej pamięci w świetle konieczności pomyślnego życia. Prędzej powrót swój do życia i do normalnych radości ziemskich starali się ludzie wstydliwie ukryć.

Tu, w Ameryce, ten nastrój, że się o śmierci nie mówi i o niej stara się myśleć jak najmniej, wydał mi się nagminny, mnie samemu się udzielał. Ja sam po paru miesiącach Ameryki zacząłem reagować na śmierć inaczej. Odruchowo zaczęło mi się zdawać, że śmierć z choroby, ze starości, jest tu, w Ameryce, wypadkiem rzadszym i pewno w najbliższej przyszłości do usunięcia.

Jeszcze kwadrans przed śmiercią trwa tam uparta walka o życie, podszyta niewiarygodnym optymizmem, mówi się o najróżniejszych tylko co odkrytych “atomowych” lekach, które mogą zabić, ale także uzdrowić. Medycyna dochodzi co-

raz to do nowych sensacyjnych odkryć. Wszystkie penicyliny, streptomycyny, kortizony i setki drobniejszych wynalazków są omawiane i reklamowane. Każdy lekarz pokazuje z dumą nowe narzędzia badania, maszyny dla prześwietlania, radary dla przesłuchiwania serca, narzędzia i środki rzadkie jeszcze w Europie, tu już w ogólnym użyciu. W każdym drug-storze masa medykamentów, pigulek, proszków i płynów w tak kuszących zgrabnych pudełkach i flakonach, że kupując je ma się uczucie, że to cukierki czy perfumy.

W pierwszych dniach swego urzędowania, pierwszy polski Mayor miasta Buffalo ogłasza, że walkę z chorobami serca, na które Amerykanie umierają najczęściej, uważa za *najważniejsze zagadnienie chwili*.

“Life”, wychodzący w milionach egzemplarzy, umieszcza serię fotografii nadzwyczaj rześkich staruszek. Jedna hoduje kaktusy, inna jest fotografowana jak tańczy czy się gimnastykuje, inna jeszcze ma tysiączną kolekcję brązowych, drewnianych, kościanych słoń, przynoszących szczęście. Wszystkie te panie koło 80-ki są żwawe, uśmiechnięte i... młode. Przesunąć, przesunąć granicę wieku!

Równolegle działa na każdego Amerykanina jakieś zakonspirowanie śmierci przy jednoczesnym jej zdegradowaniu. Umarli błyskawicznie po śmierci wywożeni do Funeral Home'ów, wyglądających jak eleganckie hotele, są tam natychmiast preparowani i malowani “na żywo”.

Inteligentny D. P., dziś robotnik w fabryce Forda, opowiada mi: “Umarł mój znajomy Amerykanin. Zawiadomiono mnie, że jest w Funeral Home. Rodzina wynajęła tam trzy pokoje. To był szykowny Funeral Home. Włożyłem moje jedyne ciemne ubranie, myślałem że to wypada, i wybrałem się do domu pogrzebowego. Ale gdy tylko tam wszedłem poczułem, że popełniłem nietakt. Wyglądałem jak karawaniarz. W jednym z pokoiów były cocktaile, tłum panów, odchodziły dowcipy. W drugim siedziały panie — matka i córki w różowych i liliowych tualetach, z piórami. W trzecim leżał umarły — właściwie pół leżał w strojonej trumnie (nie ta w której będzie pochowany). Miał twarz pięknie wymalowaną, nigdy nie widziałem go tak młodym. Był w jasnym ubraniu i ognistym krawacie”.

Inny mój znajomy, również całkowicie wларыgodny, opowiadał mi o Polce, która przybyła niedawno z Kraju, już śmiertelnie chora po strasznych przejściach, wyrwana stamtąd dzięki ogromnym wysiłkom bliskich w Ameryce. Umarła po paru tygodniach. “Widziałem ją po śmierci — przewieziono ją do jednego z szykowniejszych domów pogrzebowych New Yorku. Półsiedziała, jakby w jajku z kwiatów. Była nie tylko starannie wymalowana, ale do tego wyraźnie i całkowicie sztucznie *uśmiechnięta*. Uciekiem w popochnu!”

Takich opowiadań słyszałem dziesiątki. Okazuje się, że Evelyn Waught niewiele musiał przesadzić w opisach hollywoodz-



kich domów pogrzebowych w swej głośnej książce. Sam słyszałem również, że niektóre aktorki filmowe po śmierci wystawiano w kostiumach kąpielowych, żeby jeszcze wtedy można było podziwiać piękno ich ciała, robiąc dodatkową reklamę ich filmów.

Bo reklama i nawet humor mają także swoje miejsce w sprawach śmierci. "Chcesz zrobić przyjemność swej babce — kup na raty działkę na cmentarzu w takich a takim zakładzie pogrzebowym", albo "Umrzyj tylko — resztę my już załatwimy" i adres domu pogrzebowego. Takie "kawałki" czyta się w gazetach.

Jakże to wszystko dalekie od Bramy Niebieskiej i wiecznej szczęśliwości.

Ta śmierć zakamufLOWANA, osłodzona, czy ubrana w dowcip, w życiu codziennym Amerykanina jakże nagle zdać się musi straszliwa, wszechobecna dla żołnierza amerykańskiego na froncie. Tam ukryć jej, upiększyć się nie da. Te trupy nie są malowane. Jeszcze dzisiaj pamiętam twarz pierwszego żołnierza który zginął w moim plutonie gdzieś pod Beresteczkiem w 1920 roku. Jak mu nagle stężała, jak trudno było oczy mu zamknąć. Był to człowiek starszy, Pomorzanie, kapral z wojska niemieckiego. Albo ten inny z ciężką raną w brzuchu. Leżał na podłodze wagonu sanitarnego pod Krasnym, tuż obok mego brata rannego w serce, twarz jego, blada jak papier, zrobiła się nagle nieznacznie bledsza. Zgasł jak ledwo tłący się ogarek świecy. Tę noc sprzed trzydziestu laty pamiętam jakby była wczoraj. Trupy, które wtedy widziałem nie były malowane.

Odwiedziłem w Paryżu, zaraz po ostatniej wojnie, znaną pisarkę amerykańską Gertrud Stein. Znałem ją z moich przedwojennych lat paryskich. Przyjaciółka Picassa i Matisa, właścicielka jednej z najpiękniejszych kolekcji tych malarzy, była autorką książek, które próbowałem czytać po francusku i przyznam się nic nie mogłem zrozumieć, ani wyczuć z tej prozy kubistycznej. Niemniej młodzi pisarze amerykańscy mieli dla niej wprost kult (Hemingway, między innymi, bardzo wiele jej zawdzięczał). Jeden z nich powiedział mi ze szczerem przekonaniem jeszcze przed wojną siedząc w jej salonie, że dla niego jako proza "Il n'y a que la Bible et Gertrud Stein!". Wyglądała na emerytowanego pułkownika, który się żartem przebrał w spódnicę. Wszystko co mówiła było ciekawe, naturalne, nieraz przenikliwie trafne. Ona pierwsza wiele lat temu opowiadała mi o Amerykanach z humorem i szczerem patriotyzmem, wyjaśniała mi historyczne źródło ich pasji ruszania się. "Jestem w miejscu które kocham najwięcej na świecie. Zostanę w nim trzy dni..." pisała do niej jedna z jej przyjaciółek. Jakże żywo mówiła mi wówczas o tym ciągłym, nieustannym parciu paru amerykańskich pokoleń z Zachodu na Wschód, jak domem rodzinnym było każde miejsce, gdzie stawiano z początku jeszcze na ledwo w wyrąbanym terenie swój rocking chair na

to, aby jak tylko dom był sklecony ruszać dalej i dalej w dzikie lasy na Wschód.

Ostatni raz byłem u niej bardzo krótko przed jej śmiercią. Zastałem ją prawdziwie zaniepokojoną kryzysem moralnym, przez który przechodzą tysiące żołnierzy amerykańskich, wracających z frontu. Odwiedzali ją tłumnie, jak spowiednika, ona jeździła do nich, wygłaszała odczyty, rozmawiała z wszystkimi. Znałem z własnego doświadczenia jej serdeczną czujność i mądrą przyjaźń, którą darzyła tylu ludzi. Mówiła mi, że wojna otworzyła tym ludziom okno na świat, nie mający nic wspólnego z popularną, pragmatyczną i optymistyczną filozofią życia Amerykanina.

Sam takiego Amerykanina spotkałem na lotnisku w Detroit. Wsiadaliśmy razem do samolotu. On wciągał ciężki wózek dziecinny z malutką córeczką, wsiadał do samolotu z nią i młodą żoną, Francuzką. Mówił biegle po francusku, robił wrażenie bardzo inteligentne. Wysoki blondyn o nordyckim typie. Ona czarna, drobna, ileż takich midinette widzi się w Paryżu. Jechał na zjazd swego syndykatu robotniczego. Miał za sobą Harvard i rok pracy jako robotnik w fabryce. Zaczął mi natychmiast sypać cyframi, mówić o groźbach bezrobocia, o trudnościach rasowych w syndykatach. "Jestem teraz pracownikiem wielkiego syndykatu robotniczego, chciałbym się na coś przydać, chciałoby się wiele rzeczy zmienić w naszym kraju. Przyznam panu, że trudny był mi powrót po wojnie. Cały rok zostałem w Europie, włączając się od Skandynawii do Hiszpanii. Wojna zupełnie wytrąciła mnie z równowagi..." Ten młody, inteligentny, oczytany Amerykanin wyleczył się na wojnie doszczętnie ze zbyt łatwego optymizmu.

Drugi jeszcze moment, jaki zaobserwowałem na tej uczcie na Mother's Day, to niezamącone *spokojne sumienie* tych wzorowych matek, wzorowych obywaterek, wzorowego kraju — wielkiej Ameryki. Przemawiałem dwukrotnie przedtem w wielkich klubach rdzennie amerykańskich. Ten nastrój dziecinnej radości i czystego sumienia, ludzi posiadających więcej i najwięcej spokojnego sumienia połączonego z *blógiem nasyceniem* odnajdywałem wszędzie. Przecie szczęście istnieje — myślałem (trochę gorzko).

"Kajuszczyje sia dworianie" tak nazywano ironicznie ludzi szlachetnych z majątnej szlachty rosyjskiej, którzy mając głębokie poczucie złego sumienia wobec otaczającej ich nędzy w końcu XIX wieku szli "w lud", rozdając wszystko co mieli ubogim — zdaje mi się, że tego rodzaju typ człowieka musi być jeszcze w Ameryce nawet trudny do zrozumienia. Przeciętny człowiek, który się dorabia, nie ma wrażenia, że komuś coś odbiera, ale że bogactwo *możny* przez swą pracę i przemyślność. A już jak się bardzo dorobił zakłada potężną fundację, buduje szpitale i zakłady więc dłaczego miałby się kajać! Pono istnieje



rzadka odmiana zmodernizowana "kajuszcich sia dworian" wśród fellow travellersów z bardzo bogatych rodzin, dla których jeszcze Sowiety zdają się rajem ubogich, czy jedynym paliatywem na nędzę świata. Sądząc jednak z własnego doświadczenia zdawało mi się, że odruchowe przekonanie, iż bogactwo i cnotę można połączyć znakiem równania, panuje nagminnie.

Człowiek dłuższy czas zamieszkujący Stany Zjednoczone, który się nie dorobił, jest podejrzan: pewno pijak, może szelma, a już na pewno niezdarą, jednostka społecznie zbędna. I jest chyba prawdą, że człowiek zdecydowany pracować, ze znośnym zdrowiem i przeciętną inteligencją, stokrotnie łatwiej niż w Europie znajduje pracę nieporównanie lepiej płatną i w bardzo krótkim czasie ma swój własny domek i komfort. Delegacja amerykańskich syndykatów robotniczych niedawno objechała Francję i po powrocie do Ameryki złożyła raport, w którym nie tylko uznała warunki materialne francuskiego robotnika za "intolerable", ale twierdziła, że od robotnika mającego takie warunki nie można żądać by zdobył się na walkę w chwili agresji. Cóż by ta delegacja powiedziała, gdyby widziała warunki materialne robotnika w Polsce?

"A Jezus spoglądając wokoło mówi uczniom Swoim: ci co pieniądze mają jak trudno wejść do Królestwa Bożego". Te słowa Chrystusa muszą być "mową twardą" w Ameryce, jeszcze stokrotnie bardziej, niż w ogołoconej i nędznej Europie. "We have all television" — to nie jest pusty frazes. Bo jeżeli nie "television" to w każdym razie wspaniałe ogrzewanie, mieszkanie, frigidairy i łazienki to są rzeczy najbardziej popularne.

Ale i tu przecież są groźby bezrobocia, i tu są ludzie o starości niezapewnionej, są chorzy, słabi, niezdarzy czy nieszczęśliwi, którym się nie powiodło. Takich widywałem w wielkich tanich jadłodajniach New Yorku. Pamiętam jednego samotnego bywalca restauracji. Był stary albo prawie stary, miał wyślizgane rękawy, wystrzępione brudne mankiety koszuli. To wiele mówi w kraju, w którym tragarz, tramwajarz, Murzyn ciągnący wózek z owocami, prawie każdy spotkany na ulicy, nosi koszulę śnieżnej czystości. Miał cerę zniszczoną, wymiatał dokładnie wszystko co miał na talerzu i nieustannie coś mamrotał, sam do siebie mówił, jakby był nie w tłumie, ale samotny, na pustyni. Polak, który już dłużej i w ciężkich warunkach mieszka w New Yorku mówił mi, że spotyka się wielu takich maniaków wciąż ze sobą półgłosem gadających, zupełnie samotnych ludzi, ludzi którym się nie powiodło. Przyjechali tutaj naturalnie wierząc, że zrobią miliony — dziś ledwo mogą zarobić na utrzymanie. Wielkie miasto ich pożarło i oni dla tego miasta przestali istnieć. Cóż z nimi robić, poza tym by o ile możliwości ich nie widzieć.

"Już trzeci dzień — mówi mi mój polski przyjaciel — na moim trotuarze leży stary Murzyn. Trzęsie go febra, nikt do

niego nie podchodzi. Ja także nie podszedłem, nie śmiałem go pytać bo nie mam nawet tych paru centów, by mu pomóc".

Spotykałem żebraków. Ale w tych wszystkich moich podróżach było ich zadziwiająco mało. Podchodzili do mnie bardzo nieśmiało, w Washingtonie, w New Yorku, oglądając się przedtem, prosili szeptem aby im coś dać, bo nie mieli nic w ustach od rana. Od większości ciągnęło alkoholem. Jeden był naprawdę błądy pokazał mi pismo, świadczące, że tylko co wyszedł ze szpitala.

Wińczyłem się po ubogich dzielnicach New Yorku, także po murzyńskim Harlemie ("O, niech pan tam nie chodzi. Tam mogą pana jak nic zamordować!"). Nie tylko nikt nie chciał mnie zamordować, ale nie widziałem nawet spojrzeń niechętnych. Widziałem natomiast kupy dzieci murzyńskich, wesołych i ciękawskich, chłopaków grających w piłkę na środku jezdni, albo na nieprawdopodobnie brudnych śmietnikach). Nie ubóstwo, ale *szpetota* tych ulic biednych Białych, czy biednych Murzynów robiła wrażenie. Szalony brud ulicy, jakby nigdy nie wymiatanej, wiejące przez te ulice niezliczone strzępy brudnych gazet. Przed każdym domem jeden czy parę ogromnych kubłów na odpadki tak pełnych, że wysypujących się naokoło. Ale dzieci bawiące się po rynsztokach krzykliwe i wesołe trzymały w rękach pajdy białego chleba z masłem i bardzo grubymi kawałkami sera i przeważnie miałem wrażenie, że widzę ludzi sytych. Ale bo też może nędza tam jest nie tylko rzadsza ale i nieskończenie bardziej niż u nas wstydliva.

Raz widziałem żebraczkę przed gmachem Fundacji Rockefellerowskiej — jedyny gmach, a właściwie jedyny kompleks gmachów, w New Yorku, który, ile razy go widziałem, aż mnie "zatykał", napełniał zachwytem. Te niezliczone okna, linie absolutnie proste, ich strzelistość a jednocześnie czysta geometria czarowały mnie za każdym razem. U stóp tych gmachów dziesiątki sztandarów wszystkich kolorów. Sztuczna ślizgawka, na której nieustannie wyczyniają cuda akrobatyczne kobiety w strojach Sonji Henie i fenomenalnie zgrabni Murzyni albo niezdarzy i wesoło ślizgają się małe dzieci w kolorowych czapkach i portkach, kwiaty, fontanny, sklepy paryskich perfum i agencje turystyczne, wywożące bogatych Amerykanów na wszystkie strony świata, o każdej porze roku i we wszystkie temperatury, samolotami i luksusowymi statkami. Na trotuarze kłęczy kobieta w płaszczu, wcale nie zniszczonym, prawie eleganckim, spod płaszcza wychodzą strzępy nóg, pozbawione stóp, w grubych pończochach. Kobieta bez słów żebrze? Nie — sprzedaje ołówki, żółte, zakończone gumką, te same, świetnie maszynowo zatemperowane, które widzimy wszędzie dziesiątkami, w jadłodajniach, biurach, wagonach restauracyjnych. Twarz ma niemłodą, jest przedziej brzydka, i ma kapelusik z kwiatkiem. Ołówki kupuje wielu przechodniów. Na twarzy kobiety uśmiech — ten sam wciąż spotykany uśmiech, który znaczy, że wszystko



jest jak najlepiej, w najlepszym ze światów. Ale w oczach i w kącikach ust jakby pod tym uśmiechem był grymas niemocy i wstydu.

Zaledwie miesiąc potem szedłem ulicami Berlina późnym wieczorem. W załomie spalonej kamienicy wygodnie rozparta, z ułożonymi przy sobie kulami siedziała kobieta. Stara żebraczka. Miała *tak samo* jak ta spod Rockefellera jakieś strzępy zamiast nóg. Przechodnie rzucali grosze do blaszanego garnuszka stojącego przy niej. Dziękowała im przyjaznym kiwnięciem głowy. Gdy sam także jej coś wrzuciłem i poszedłem dalej, nagle słyszę wołanie. Woła na mnie żebraczka. Wracam. Zawołała mnie jak dobrego znajomego by się spytać która to godzina, bo czas już wracać do domu.

Jest łatwiej być żebrakiem w zrujnowanym Berlinie, gdzie polowa przechodniów ma łatanne buty, a kobiety mają suknie dziesięć razy przerabiane, niż na Fifth Avenue u stóp Fundacji Rockefellerowskiej, wśród najbogatszych ludzi, najbogatszego miasta świata i to jeszcze w kraju, gdzie ludzie zbyt szybko i zbyt odruchowo stawiają znak równania między powodzeniem i cnotą.

Jest jeszcze jeden cytat z Ewangelii, który mi się przypomniał w Ameryce "Gdy czynisz jałmużnę niechaj nie wie lewica co prawica twoja czyni, aby jałmużna twoja była w skrytości, a ojciec Twój, który widzi, w skrytości odda tobie". ("Hojne dary to są tajne dary" było napisane na skrzynce jednego ze szpitali warszawskich).

Ameryka jest krajem wolności, ale również krajem reklamy. Nie tylko gust reklamy, ale stwierdzona jej korzyść stwarza, że koło bardzo wielu gestów ofiarnych *trzeba* robić reklamę, by innych chociażby porwać swoim przykładem. Pieniądz ofiarowany na jakiś dobry cel musi być wręczany przy świetle reflektorów, fotografowany przez fotografów jak nigdzie indziej despotycznych: "Proszę podać rękę, proszę podać kopertę, proszę się uśmiechać!" Tysiące tak sfotografowanych "obrzędów" widzimy codziennie w gazetach. I od Mayorów miast, gubernatorów, aż do zwykłych obywateli czy przyjezdnych w tej chwili wszyscy są potulni jak owieczki, posłuszni fotografom.

Przy tym ta reklama, sławna amerykańska reklama, na którą idą miliony dolarów robi wrażenie nieprawdopodobnie prymitywnej. Czy to te fotografie zawsze te same, bez pomysłu, we wszystkich gazetach, zawsze z tymi samymi uśmiechami, czy kolorowe druki na błyszczącym papierze wspaniałych bekonów z pomidorami czy tortów pokrytych truskawkami i ociekających kremem, czy urocze blondynki, kąpiące się lub malujące sobie usta nowym lipstickiem, wysportowani o zawsze potężnych barach młodzieńcy, pokazujący w uśmiechu zęby-perły, nie tylko to, także osławiona reklama Broadway'u, miliony lampek elektrycznych, które jeszcze dodatkowo podrygują, albo się kręcą,

butelki piwa wysokości trzech pięt lub znowu piętrowe reklamy kawy, gdzie z kawiarki do filiżanki, wielkości dużego okna, nie tylko płynie niby smakowita kawa, ale jeszcze bucha z niej para jak z lokomotywy. To wszystko po chwili nudzi i drażni. Gdy pytałem inteligentnych Amerykanów dlaczego ta reklama robi wrażenie tak mało pomysłowej, odpowiedzieli mi, że reklama jest nauką, że żadne oryginalniejsze pomysły nie poplącają, i że w Ameryce robiąc reklamę trzeba celować na mentalność dziecka które ma 11 lat. Taka reklama najlepiej popłaca. A przecież cel jest ściśle utylitarny.

Denis de Rougemont w ciekawej książce o Ameryce, pisanej po pięciu latach pobytu w Stanach, zaczyna od uwagi, którą sam sobie powtarzam, że Ameryka to nie kraj, ale ogromny kontynent, kontynent wprost nie do opisanie, bo można cytować tysiące prawdziwych faktów objeżdżając Stany tam i z powrotem i ciągle to jeszcze nie będzie Ameryka; na każde uogólniające stwierdzenie można znaleźć przykłady i argumenty faktom podawanym przeciwnie. Jakże więc robić wnioski!

Może najszkodliwszym skutkiem hałaśliwej, zorganizowanej jak nigdzie reklamy jest to, że zafascynowany i oślepiiony nią przejezdny, jest jak człowiek oślepiiony reflektorami: nie widzi nic poza kręgiem ich światła. To mu właśnie *falszuje* opinię o Ameryce i Amerykanach, narzucając obraz w prymitywizmie, w brutalnym uproszczeniu fałszywy, a przynajmniej całości nie ogarniający.

Gust reklamy idący w ślad za hojnością! *Tak*, ale ileż znam przykładów prawdziwej hojności, zdaje się, że mogą powiedzieć, hojności wprost nieznannej w Europie, usługowości, której sam doznałem od nieznanomych ludzi, o reklamę nie tylko nie dbających, ale która by im była przykra. Ale bo właśnie dzięki blaskom reklamy, *niereklamowane* gesty toną w zgęszczonym mroku.

Detroit. Dzielnica przypominająca bogate przedmieścia Londynu, trawniki, piękne drzewa, prywatne wille. W jednej z takich willi przyjmuje mnie małżeństwo: Polacy z pochodzenia, gospodarze z Małopolski. Przybyli tu bardzo wiele lat temu. Dziś właściciel tej willi jest ciężko chorym wielkim przemysłowcem, przy nim siedzi żona o siwych włosach i pięknych rysach. Mieszkanie typowo amerykańskie: masa mebli, obrazów w ciężkich złotych ramach. Widzę fotografie młodej kobiety, rzadkiej urody w sukni ślubnej i wielkim woalu. Stoł przy niej wysoki przystojny, buchający energią, fantazją chłopak we fraku. "Czy to córka państwa?" pytam. "Nie, to my sami. Pobraliśmy się już w Chicago". Czym być musiała *epopeja* życia tych ludzi, którzy przybyli do tego kraju pewno bez środków, bez znajomości języka, wskutek tego handicapowani nawet przez tylko co przybyłych Ajryszów. Opowiadam im o "Kulturze". Chory prosi o zaabonowanie go na rok. Jego żona przynosi mi kopertę.



Jest tam wiele więcej niż wynosi abonament. Mówię to gospodarzowi. Stary człowiek macha ręką: "Niech pan bierze" i po chwili milczenia: "To przecież dla Polski".

Po odczycie w tymże Detroit podchodzi do mnie siwy starszy pan. Wtyka mi do ręki 5 dolarów. "To za to co pan mówił. Jestem robotnikiem. Jestem sam. Żona mnie opuściła, poszła z drugim. Pieniądzy na jednego mam dosyć, aż za dużo".

Pisząc o hojności ukrytej, bez reklamy, muszę choć wspomnieć paczki.

Paczki za kurtynę wysyłane tysiącami przez Amerykanów, pochodzących z tamtych stron, a także przez tysiące i tysiące Amerykanów rdzennych, których żadne więzy krwi czy wspomnień z tymi krajami nie łączą. Iluż ludzi te paczki uratowały od nędzy i śmierci. To są dary bezimienne nieznanym ludzi nieznanym ludziom. To jest Ameryka którą odkrywam nagle poza reflektorami reklamy. To jest też Ameryka.

Józef CZAPSKI

## SZKOŁA NAUK POLITYCZNYCH I SPOŁECZNYCH

uznana przez Rząd R.P. za wyższy zakład naukowy

### ZAPISY OTWARTE:

- 1) Na Kurs Korespondencyjny  
początek nauki w czasie dowolnym
- 2) na rok akademicki 1950/51  
wykłady i zajęcia wieczorowe — początek  
6-go października  
Broszura informacyjna — 6 d.

### ZGŁOSZENIE PISEMNE I OSOBISTE:

32, Bolton Gardens, London S.W. 5.  
środy i piątki 5-7 godz.

20, rue Legendre, Paris (17<sup>e</sup>)

Tamże zapisy do Polskiego Liceum Korespondencyjnego i szkoły wieczorowej (liceum) w Londynie.

## Oficyna Poetów i Malarzy

### Pejzaż

Zanim gwiazdy zaświecą i osrebrzą wodociągi  
W podmiejskim ogrodzie; nim zaburczy woda  
W zielonych rurach; marcowa pogoda  
Drażni kolejowe nasypy i elektryczne pociągi.  
To iskrami, to sypnie bazi garstką; czasem śliwka młoda  
Nad murawą rozwiesza swe różowe kwiaty,  
Jak jedwabne chusteczki żona po wypraniu.

Bloki domów na wzgórzu, kamienne kwadraty;  
Okna, lokomotywy, lampy zapalają.  
Drgają już światła, gwiazdy świecą; murarze wracają  
Z budowy. Dobranoc. Już zamknęli bramy.  
Noc zapada. Ludzkie też ucichły kroki.  
Miasto zasypia. A tylko w ogrodzie  
Woda wzdycha po rurach; co westchnie, milknie i uchodzi  
Coraz głębiej i niżej w murawie głębokiej.

### Za każdą łzę

Za każdą twoją łzę zapłacę stokrotnie  
Tym, co ją z ócz twoich wylali.  
Jeszcze się nieraz wrócę tutaj. O, jeszcze się wrócę  
Pod wasze nieludzkie pałace, nim tę ziemię rzucę,  
Pod wasze zimne pałace, w które kolbami będą uparcie stukali  
Szarzy, spokojni żołnierze, jak mrówki zacięci i mali.



Sosnowy las ciemnieje w purpurowej dałi,  
 Umorusany złotem rosnącego wschodu.  
 Brzoza na skraju, jak podczesana wysoko panna,  
 Stoi przy wejściu do bram strzeżonego grodu.  
 Już ją oblała rzeźkość poranna.  
 Już świt się pali, błyska, w oknach lśni wielokrotnie.

Choć już koguty pieją, choć rano i dnieje,  
 Nie mogę zebrać myśli, rozpacz mię zadrećca.  
 Syreny do fabryk wzywają; spać idą księżne i złodzieje.  
 Robotnicy do pracy ściągają, warczą autobusy.  
 Idę za nimi ciężko i twardo, bez żadnej nadziei.

W rowach, po drodze, widzę złociste krokusy,  
 Śledzące z głębi, jak oczy nieszczęścia.

Londyn, 3. IX. 1949 — 3. III. 1950.

Marian CZUCHNOWSKI.

## Akt

Przezroczysta jesteś jak jesienny wiatr  
 i złowrogo bliska.  
 Piersi tryskają kiściami winogrodu  
 spod różowych listków.

W nieprzejednanym jesteś kształcie  
 mgłą wierna i nie-mgłą.  
 Niedopita i niedomiana,  
 rankami niedoszeptana  
 — zdumione zjawisko z łak.

Jak niestrudzona rzeźba  
 układasz się do snu z traw,  
 — na biodra spadają oliwki  
 i błogostawią chwiejną  
 twoich kształtów.

Za pograniczem zmysłów  
 muzycznie zmysłowa i wiotka,  
 leśna i dzika symfonia —  
 z krwi mojej — twego mleka,  
 zakwitniesz polną jabłonią.

Kłębku różowo-modry,  
 spragniona będziesz owocu  
 spragnionych bioder.

## Śpiew na przednówku

1.

Czyje to niebo, nie wiem,  
 Złożone na dnie milczenia  
 Razem ze srebrnym śpiewem  
 Oriona w zamyszeniu.

Gwiazdy są jak konwalie  
 Płynące ponad drzewami  
 Smugami mgławic  
 — Dalekie.

Nie można stąd już odmierzyć  
 Rozłuki i pojednania,  
 Zасыpiam więc z konwaliami,  
 Podróżnik na mlecznej drodze  
 — I cień człowieka.

Boże nam świecą latarnie,  
 Drzewa śpiewają jak drzewa,  
 A pod nami umarli  
 Ludzie słuchają ich śpiewu.

2.

Osowiali chodzili po górach  
 Pieśniarze i gitarzyści,  
 Obrastając szumem i smutkiem  
 I zielonymi liśćmi.  
 O słowa pytali do śpiewu  
 Każde spotkane drzewo  
 Przejęci chłodem jesieni.  
 Drzewa im jednak szumiły  
 Słowa niezrozumiałe  
 — Odchodzili więc zamysleni.

I dzieląc się dobrym smutkiem  
 Wzrastali tak powolutku  
 Schyleni nad źródłostowem  
 Pieśniarze i gitarzyści  
 Szumiąc resztkami liści  
 Mgłom i pustkowiom.



3.

Nie wiem, skąd przyszedł ten grajek  
Do miasta. Z lasów czy z łąk.  
Ale znam go, po flecie poznaję  
Wyjętym z anielskich rąk.

Chodził po rynku wśród ludzi  
Flecista z zielonym szumem,  
W koszyku miał wiatry z polan  
I smutek z ludzkiego odludzia  
I ludziom grał  
A nie-ludziom.

Pytali bardzo zdziwieni  
Że tak im zielono grał:  
Pieśń to, czy przywidzenie  
Na rynku miasteczka łąka?

I jeszcze pytali: kto to,  
Że z rana obrasta tęsknotą,  
Niebo ściąga w doliny,  
Przez miasto spływa jak potok  
I jakiś nie nasz jest  
I jakiś inny?

On ludziom grał niesłyszany,  
Przez miasto szedł niewidziany  
Z pełnym koszykiem mgieł.

Józef ŻYWINA.

## Pożegnanie z Francją

Przy tej drodze jest srebro strumienia,  
Wzdłuż topole i gdziegdzie brzoźka,  
Droga kręta jak sprawa sumienia,  
Wraz błękitna i gorzka: francuska.

Na rozstajach, w kamiennych oberżach  
Błyszczą iskry pod brwi ciemnym łukiem,  
Bije pieśń niebosiężna jak wieża:  
„Jedzie cesarz z wiernym mamelukiem...”

Nam nie wolno dosłuchać do końca  
Tamtej pieśni. Nie trzeba wspominać —  
Bo wspomnienie tęsknoty potrąca  
Czarnym krzewem jak burza wiklina...

Pójdźmy w drogę nieznaną jak fatum,  
Bardzo trudną — a trud to rzecz ludzka —  
Pożegnajmy kopułę z bławatów  
I tę ziemię, słodką ziemię francuską.

M. ŁYSAKOWSKI.

## Nic więcej

„Daj Boże” i nic więcej.  
Spojrzenie od progu.  
Pachnący razowiec na odległą drogę  
i... nic więcej.  
Słów innych nie pamiętam,  
nie pamiętam oczu,  
i drogi nie pamiętam,  
bo i po co?

Żal?  
Wcale. Mam spokojne noce.  
W dzień? Lubię na wierzby popatrzeć  
i kur posłuchać jak gdać,  
i w słońcu pogrzać bez myśli,  
bo mi jakoś inaczej,  
jakoś lepiej  
i bo to nic nie znaczy.  
O! — jakoś cztekwowi człowieczej,  
jakoś pod bluzką gorącej  
i... nic więcej!

Pęcznieje pod korą miąższ  
w stój żyłasty.  
Daj Boże!  
Pęcznieje zboże  
i pęcznią trzewia.  
Czas na ugór wyszedł.  
Brudzy orze.  
Zasiewa.  
„Szczęść Boże”!



żał?

Wcale. Mam spokojne noce.  
W dzień? Lubię usiąść przy torze,  
patrzeć na jadące pociągi.  
I mówić im: „Szcześć Boże”.

Janusz KUCHARSKI.

## Metafory z Hyde Parku

Zygmuntowi Turkiewiczowi

Dywan żwiru.

U nóg oswojone fale,  
obwąchują mnie wilgotnochtodnym  
nosem wody.

Bukiet mew  
zapachniał głodem.  
Poprzetykane ptasim śpiewem

korony drzew  
zachmurzyły spuszczone  
do ziemi niebo.

Przestrzeń zielona przeżuwa  
popołudnie upalne.  
Koziołkują rozbawione  
blaski słońca.

Mężczyźni i kobiety w złotych  
obręczach miłości,  
nie wiedzą jeszcze, że każdy  
Uścisk jasnociępy zastygnie  
w metal trosk i obowiązków.

Dwoje starsuszków na końcowej  
stacji życia  
pije kuflami ciepło.  
Wypaliło się wszystko złoto.  
Dobroć sama została:  
— już obcy dla świata.

Czyżby życia tyle,  
ile zła w człowieku? —

Żwir szturmuje stopy.  
Bije ambitnie o podeszwy.  
Chce iść  
pochodem żółtożwirowym,  
miażdżyć, pożerać  
i znaki zwycięstwa  
wbić  
na czubku głowy.

Żwir. Żółte szczyrzy zęby.

Zielono zbiega szkarpa  
świeżutkomłoda.

Przez zieleń świsnął bat ścieżki.

Źródłkiem zabił jakiś kwiatał w krzewach.

I już rzeką, powodzią!  
kwitnie Hyde Park.

Czesław BEDNARCZYK.

## OSTATNIE WIADOMOŚCI

jedynе pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec.  
Ukazuje się trzy razy tygodniowo.  
W każdą niedzielę dodatek.

Korespondenci: we Francji, W. Brytanii, Włoszech,  
Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Wenezueli,  
Argentynie, Australii i Nowej Zelandii.

Ogłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.). Za słowo  
w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

Redakcja, administracja, drukarnia:  
17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schönau  
US Zone, Germany.



## Straty Kultury Polskiej

### Adolf Nowaczyński

Do gabinetu Adolfa Nowaczyńskiego wchodziło się przez ciemną korytarz, jaki wraz z łazienką, służącą za rupieciarnię charakteryzował nieraz mieszkania warszawskie starszej daty. Pan domu chętnie pozostawał do obiadu w negliżu, tj. w szlafroku dziwnego kroju promieniejącym kolorowymi kwiatami. To "kimono", pozbawione zresztą wszelkiej elegancji, uwytkowało znajdującą się w nim postać, był raczej małego wzrostu, krępowaty, przysadkowaty. Szukanie podobieństwa ludzi do zwierząt i koordynowanie wspólnych cech było, grubo przede mną, ulubionym zajęciem fizjonomisty Lavatera: duża głowa Ady — jak go zwali bliscy — łypiące zza okularów jedno oko (dru-gie stracił w napaści, której ofiarą padł w gliniankach na peryferiach stolicy), szerokie usta i błakający się złośliwy uśmie-szek rozwiązywały to zagadnienie. Był podobny do żaby: wro-gowie jego mówili: do ropuchy.

Znajdując się w jego gabinecie rozglądałem się po nim z cieka-wością i pewnego rodzaju nabożeństwem, gdyż zawierał słyn-ne "archiwum" wycinków prasowych, zebranych z przeróżnych nieraz egzotycznych, pism świata, dające Adzie możliwość sy-pania jak z rękawa cytatami, na które nie było repliki. Jego artykuły były istotnie "bien fournis", pełne szczegółów, udoku-mentowane tak, że — jak mówiono do roku Pańskiego 1939 — "mucha nie siądzie". Jeśli chodzi o prasę, uważano go za eru-dytę pierwszej wody i archiwum jego nabierało charakteru "se-zamu", z którego dobywał zatrutych strzał.

Coraz mniej jest ludzi, którzy zdawać sobie będą sprawę z ro-li Nowaczyńskiego w niepodległej Polsce: będą pamiętali o je-go sztukach zapominając o publicyście. A jednak Nowaczyński był wyrazicielem sporego odłamu opinii narodu, był nie kuch-cikiem ale naczelnym kucharzem warzącym dla milionów Po-laków ich codzienną strawę. Felietony jego, pisane zawsze z pasją, namietnością, były wytyczną dla poglądów wielu. Stąd

Nowaczyński jest właśnie tak ciekawy: jest wyrazem poglądów wielu spośród nas, które on uszeregowywał, oblekał w słowa, przyprawiał pieprzem i solą w oku (jakby się zapewne wyra-ził) i podawał niby na tacy, na płachtach dzienników do kon-sumpcji. Słowa jego zawsze miały swój ton: to były na alarm jak dzwon kościoła w małym palącym się miasteczku, to uja-dały jak pies na uwięzi, to szlochały jak cmentarna brzoza. Zawsze budziły rezonans, gdyż odpowiadały współczesnym, lub przeciwnie, drażniły ich. Nigdy nie były mdłe. I dlatego historyk rozważający tę epokę nie może o nim zapomnieć.

### Opaliński czy Voltaire?

Ten wybitny dramaturg, wspaniały felietonista i publicysta, pomyslowy satyryk, nie miał zupełnie daru konwersacji. Z tych czy innych powodów nie dyskutował, nie rozwijał swych myśli na sprawy ogólne: miałem zawsze wrażenie, że ich skąpi i nie chce się ich pozbywać, by móc je lepiej wykorzystać w jakimś artykule. Pykając ze swej krótkiej fajeczki i pomrukując nie-raz lub przeżuwając niezrozumiałe słowa, raz po raz rzucał ja-kąś uwagę na flukta konwersacji, niby "kaczkę" — płaski ła-mień na lustro jeziora. Uwaga prawie zawsze była złośliwa: czę-sto jej ofiarą padał niezwykle do Ady przyzywany Antoni Go-dziemba-Wysocki, autor "Poloneza Ogińskiego" i kilku innych powieści. Czasem chichocząc cienkim falsetem, wtrącał jakiś ukuty na poczekaniu kalambur, sztuka, którą posiadał w wy-sokim stopniu. Nowaczyński rano był odmienny od Nowaczyń-skiego wieczór, kiedy uporał się z ciężką pracą publicystycz-ną i kłopotami o zawsze brakującą gotówkę, przygotowywał się do jakiejś miłej kolacji u "Bocqueta" w gronie przyjaciół lub przygodnych towarzyszy. Wtedy stawał się gadułą: ale nie był to gaduła à la Henryk Rzewuski, ani też "causeur" w stylu li-terackim. Był raczej anegdociarzem, mówił nie o sprawach ogól-nych, lecz o bieżącym życiu, znajomych, aktualnościach. Czasem tylko — zwłaszcza wypitwszy nieco alkoholów, których był zwo-lennikiem — puszczał wodze wspomnieniom i cofał się do prze-szłości. Dawne urazy, dawne przeżycia odżywały wtedy z całą mocą: kiedyś opowiadał mi o swej znajomości ze znanym kra-kowskim krytykiem literackim, Józefem Flachem (zmarłym pod czas ostatniej wojny), z którym — nie wiem już z jakiego po-wodu — "darł koty", i którego nie cierpiał do ostatniej chwi-li. Obserwowałem nieraz jak Nowaczyński zwykle nawet rzeczy ujmował w formie satyry, jak ostrzył sobie pazury czy język na kimś lub na czymś. Przypominał odludka z Ferney, Voltaire'a w wydaniu polskim: był nieodrodnym potomkiem duchowym Łukasza Opalińskiego, który w swych fraszkach bierze na rogi kogo się da. Był urodzonym polemistą, tylko polemika jego, nie kończyła się zazwyczaj, żadnym konkretnym wnioskiem, nie budowała, nie tworzyła systemu. Gdy Voltaire zabijał logiką



swych wywodów i cienką ironią, Opaliński i Nowaczyński uderzali "na odlew" nie szpadą, lecz szablą. O okazie nie było trudno, gdyż ściśle biorąc Nowaczyński nie miał przyjaciół, do nikogo nie był przywiązany i poza drugą żoną, którą bardzo kochał nie miał właściwie bliskich.

### Kompleks galicyjski.

Kilka kompleksów nienawiści prześladował Adę przez całe życie: nienawidził Galicji (a zwłaszcza Krakowa), arystokracji, Żydów, Belwederu. W miarę rozwoju wypadków jeden lub drugi kompleks malał lub przeciwnie wzrastał albo też przedzierał się w następny. Pierwsze jego książki, które bogobojne pokolenie Polaków w początkach XX wieku nazywało "paszkwiłami", zdradzają cechy burzycielskie. "Facetje sowizdrzałskie" atakowały arystokrację (między innymi zawierały nader przejrzyste aluzje do księżnej Konstantowej Lubomirskiej, primo voto Zamoyskiej, występującej pod nazwiskiem ordynatowej Podboczyńskiej). Późniejsze, "Królowny i Karły", "Dzień Duszeńki" itd. zawierały autobiograficzne wspomnienia, przy czym niektóre nie rzucały zbyt miłego światła na delikatność autora. Z lubością opisywał osoby u których, jako pozbawiony środków młody student, przebywał na wsi w krakowskim, przedstawiając pana domu jako półgłówka a panią jako kurtyzanę. Czy tak było? — Może, ale Ada poświęcił umiar chęci błaznowania na temat ludzkich słabości.

Krytyka arystokracji była jednak jedynie młodzieńczą chorobą Nowaczyńskiego, jej miejsce zajął wkrótce kompleks galicyjski, żydowski i sanacyjny. Zdaje się, że każdy z nich szedł własną drogą i spotykały się jedynie przypadkowo, nie miał bowiem jasnego poglądu na życie polityczne, na tysiączne kółka tej wielkiej maszyny państwowej, którą miał pretensję poprawiać. Znajomość historii, która musi leżeć u podstaw krytyki współczesności, była u niego ograniczona do pewnych epok, interesujących go w czasie pisania sztuk historycznych. Tak np. sztuka "Komendant Paryża", pisana na wsi w Wielkopolsce, opierała się na nielicznych, dosyć przypadkowo porobionych notatkach. Jej punktem wyjścia, był — zdaje się — paradoks osobowy: występował tam i ks. Poniatowski i gen. Dąbrowski, tylko Poniatowski nie był księciem Józefem, a Dąbrowski nie był Janem Henrykiem lecz Jarosławem, znanym przywódcą komuny paryskiej. Ten właśnie moment, jak mi dał do zrozumienia — zdecydował go do wyboru tematu, będącego niejako kalamburem historycznym.

### "Nowe Ateny"

Chociaż dziś stosowany sposób pisania życiorysów, unika podawania pochodzenia danej osoby, jakby chodziło o rzecz wsty-

dliwą i godną zapomnienia, zdaje mi się, że właśnie pochodzenie może nieraz wytłumaczyć pewne cechy charakteru. U Nowaczyńskiego jest to tym bardziej wskazane, że sprawa jego pochodzenia podlegała różnym, diametralnie różnym, interpretacjom.

Adolf Nowaczyński urodził się w r. 1878 jako syn c. k. sędziego austriackiego w Wadowicach, który podobnie jak tyśiące innych urzędników austro-węgierskiej monarchii, odznaczał się prawością charakteru, pracowitością i może niezbyt szerokimi horyzontami. Austria ówczesna oraz jej część — Królestwo Galicji i Lodomerii, wraz z wielkim księstwem krakowskim, żyła w cieniu "dostojnego monarchy" Franciszka Józefa, którego otaczała czcią należną starcowi i ojcu ludów. Nie wdaję się w rozbiór polityki owej dawnej Austrii ani jej głównych czynników, wystarczy powiedzieć, że był to kraj uporządkowany według starych recept, rządony po staroświecku, ale z dużym znawstwem ludzi i umiarem, w którym niewiele było miejsca dla burzycieli istniejącego ładu. Życie w Wadowicach na pewno nie obfitowało w rozrywki: było nudne, małomiasteczkowe, sztywne, bez horyzontów. I takim, zapewne, był ojciec śp. Nowaczyńskiego. Między c. k. sędzią a synem literatem doszło do zatargu. Syn — na znak protestu i chcąc się odróżnić od zaśnieżonego ojca — przyjął nazwisko Neuwert, figurujące przez długi czas na okładkach jego książek. Neuwert? Przydomek rodzinny, pseudonim czy też właściwe nazwisko? Twierdzono — czego ludzie nie twierdzą — że Nowaczyńscy to przechrzczeni Żydzi, o nazwisku właśnie Neuwert. Ale ów "Neuwert" to klucz do zagadki nieporozumień z ojcem: Neuwert, to po prostu "nowa wartość", w imię której Ada zerwał z człowiekiem nie uznającym żadnych nowych wartości. Dlaczego wybrał pseudonim a raczej "nom de geurre" niemiecki? Grał tu rolę, bezwątpienia, i wpływ austriacki istniejący w ówczesnej Galicji, grało też może częściowo rolę uznanie dla Prusaków, któremu dał — pośrednio — wyraz w "Wielkim Fryderyku". Do stosunku do Prusaków jeszcze powrócimy.

Od Wadowic do Galicji, a od Galicji do Krakowa dzielił go tylko jeden krok. Kraków, czyli językiem nowaczyńskim "Pokraków", owe "Nowe Ateny", staną się jego "bête noire". Sztuka ta, to istotnie świetna satyra dla ludzi pamiętających ów Kraków lojalny, pobożny z szczyptą bigoterii, zapatrzony w "Wiedeń", w miarę zakłamaną, żyjący w starych murach jak robak w serze, ale skądinąd wspaniałą wkładem naukowym i artystycznym, promieniejący akademią, reprezentowany godnie przez Stanisława Tarnowskiego, o twarzy hetmana i gestach aktora, przez "Pod Baranami" Potockich, arcylojalnego kardynała Puzyne, który utracił wybór na papieża niewygodnego dla Austrii Rampolli. Wspaniale podpatrzył słabe strony tej zbrojcy uważanej za niezłomną i nie pożałował sobie Nowaczyński: "zjechał" istotnie wszystkich, i arystokrację, i burżuazję i sfery urzędni-



cze i uniwersyteckie. Wykazał ich śmieszność, ich obłudę, ich zacofanie. "Nowe Ateny" stały się owym murem granicznym nienawiści między Adą a Galicją: już za czasów polskich, gdy przyjeżdżał do Krakowa, aby odwiedzić dwie stare ciotki mieszkające w pobliżu ul. Karmelickiej, czynił to niejako pokryjomu, "incognito". Kraków uważał go za wroga numer jeden. Marian Dąbrowski, redaktor i założyciel "Ikaca" poczuł się hetmanem krucjaty jaką Kraków i Galicja prowadziły przeciwko Nowaczyńskiemu. Była to walka niby "Białej" i "Czerwonej Róży" toczone wszędzie i zawsze, walka dla walki. Ada — Galicjanin stał się "pur sang" wyrazicielem... Warszawy.

### "Wielki Fryderyk".

Mimo antypatii do starej Austrii, Nowaczyński nie wyszedł nigdy z jej zasięgu, a raczej z zasięgu niemieckości: język niemiecki był też jedynym jaki znał nieźle, mimo, iż nader często sypał przysłowiami francuskimi, angielskimi itd. co mu boleśnie wytykała Jehanne Wielopolska-Walewska. Studiował — zdaje się — przez pewien czas w Wiedniu i Monachium, może zahaczył o Paryż, ale na krótko. Staruszcze Austrii, w której granicach leżał "Pokraków", przeciwstawiał prężne, młode, aroganckie ale silne Prusy. Zainteresowanie dla Prus łączyło się u niego z krytyką polskiej szlachty z XVIII wieku. Stąd powstał "Wielki Fryderyk" wykazujący nasze słabe strony wobec siły "starego Fryca". Było to pewnego rodzaju "memento" rzuczone ówczesnym Polakom. Nie był to oczywiście, germanofilizm — o który go również posądzano — gdy w r. 1904 osiadł w Warszawie, ale wręcz przeciwnie, jasne rozeznanie niebezpieczeństwa, słuszne i historycznie i psychologicznie. "Wielki Fryderyk" bezwzględnie zasługuje na uwagę nie tylko jako dzieło sceniczne.

Przypuszczam, że nienawiść do Galicji była podstawą nienawiści do "sanacji", w której sporo było eks-poddanych Jego Apostolskiej Mości. Może miał głębsze powody by być tego zdania? Punktem wyjścia jednak było tu szukanie "kozła ofiarnego", gdyż Nowaczyński nie był politykiem i publicystą w rodzaju np. Zygmunta Wasilewskiego czy Koskowskiego z "Kuriera Warszawskiego". Był na to zbyt egocentryczny, zbyt gwałtowny. Wszędzszy raz na tę drogę nie mógł się z niej cofnąć, tym bardziej, że napad na niego, który spowodował utratę oka, przypisywany był (nie wiem już czy słusznie czy nie) czynnikiem rządowym. Nienawiść do "sanacji" dostarczała jego myślowej maszynie prądu elektrycznego, dzięki któremu tak świetnie funkcjonowała, wystukując na taśmie felietony naszpikowane kalamburami.

Kiedyś powiedziała Adzie, że jest jedynym i pierwszym w Polsce kalamburzystą, niczym słynny markiz de Bièvre we Francji. Uwaga ta mile polechtała jego ambicję, chociaż sły-

szła ją nieraz. Istotnie, ta "lekka muza" jaką jest kalambur jest nierozzerwalnie złączona z Nowaczyńskim. Jego nowotwory à la "belwederskie", "bonapartski", "bonapartcze", jego "bis dat qui cicho dat" i tyle innych, pozostaną perełkami polskiego dowcipu. Piłsudski i "sanacja" byli dla niego kapitalną okazją wystrzelania tej amunicji. Czy istotnie Marszałek był mu tak nienawistny? Jestem przekonany, że nienawiść ta powstała niejako przypadkowo; jedna rozmowa z Piłsudskim byłaby stepiła ostrze. Bo Nowaczyński, mimo swej napastliwości w artykułach i choć to może się wydawać dziwne, nie przywiązywał właściwie wielkiej wagi do polityki. Nienawiść do Żydów pozbawiona jak u prawdziwych antysemitów charakteru programowego, stała się dodatkiem do tamtych. — Byłem kiedyś świadkiem jak Ada skreślał z swego artykułu do "Gazety Warszawskiej" całe ustępy wysoce napastliwe wobec rządu, które, zdaniem redaktora, nie były pożądane. Nowaczyński czynił to z całym spokojem i obojętnie.

### Flirt z Wielkopolską.

W swej obszernej pracy publicystycznej, w swych pracach literackich, znalazł Nowaczyński miejsce dla jednego jedyne afektu, dla jednej jedynej miłości: dla Wielkopolski. Widział w niej rzetelność, pracowitość, widział ciężką (na modłę zresztą nieco niemiecką), widział zamiłowanie do porządku — według recepty "Ordnung muss sein" — sympatyzował z jej katolickością, z jej praworządnością. W Wielkopolsce odnajdywał zdrowe, nieco przyziemne, cechy pruskie. No i odnajdywał nienawiść a przynajmniej niechęć do "socjalisty" Piłsudskiego i do Żydów. Nie wiem dokładnie kiedy Nowaczyński poznał tę dzielnicę: wiem, że przebywał tu rok rocznie w latach 1922 - 1924, że bywał na wsi w dworach, że stawał się coraz bardziej bożyszczem Wielkopolan, on "Galicjak z Kongresówki"! Bawiąc w powiecie szamotulskim u przyjaciół w roku 1922 czy 1923, naówczas już stały współpracownik "Kuriera Poznańskiego", stał się Ada obiektem pewnego rodzaju owacji mieszkańców Szamotuł. Okazją do niej było poznanie miejscowego piekarza, również Nowaczyńskiego, który, słusznie czy nie, powoływał się na bliskie z nim pokrewieństwo. Na przyjęciu wydanym przez piekarza uczestniczyło kilku "ojców miasta": oczywiście, że nawiązanie kontaktu z dobroduszonym, ale mało intelektualnym piekarzem nie było rzeczą łatwą, tym bardziej, że przyjęcie trwało kilka godzin. Z wrodzonym dowcipem opowiadał mi swoje perypetie u "kuzynów", nie szczędząc, jednak uszczypliwych uwag o Wielkopolanach w ogóle. I tutaj, w tej miłości do Wielkopolski, stosunek jego nie był zupełnie szczerzy, choć diagnoza, jak się dziś z perspektywy 20 lat zdaje, była ogólnie słuszna. Nowaczyński stanowił wtedy, na wsi wielkopolskiej "clou sezonu": zapraszany do okolicznych dworów,



zawadził też o Oporowo Kwileckich, gdzie wtedy przebywała p. Julia z Kwileckich Puszetowa, żona znanego rzeźbiarza krakowskiego. Uprzedzenia do arystokracji znikły.

#### W poszukiwaniu charakterystyki.

Szukanie formuły charakterystyki człowieka natrafia zwykle na przeszkody; chęć dania "jasnej" wizji człowieka udaremnia nieraz fakt, że psychologia jego była kapryśna, zagmatwana, niejasna. Nowaczyński, bardziej niż ktokolwiek inny podlega tej trudności. Przed pierwszą wojną światową znany autor *"Myśli Niepodległej"* między innymi fikcyjnymi nagrobkami następujący:

"Księżom i hrabiom dogryzał,  
Gdzie napluł potem wylizał".

Później, już w Polsce niepodległej, nie było wyzwisk i pochwał, które by nie czepiały się jego nazwiska. Obie oceny polegały na omyłce. Życie jego było nieraz wielkim "qui pro quo": pisarz katolicki i endecki, który dla swego drugiego małżeństwa z p. Boniecką, primo voto Majewską, wdową po fabrykancie ołówków, wyrzekł się katolicyzmu i przeszedł na protestantyzm, zwolennik Wielkopolan, którzy razili go swymi nieraz niemieckimi cechami, ex-burzyciel ładu, wyznawca nowych wartości, który szukał dla Polski zbawienia w konserwatywno-katolickiej Wielkopolsce, wróg zacofanego Krakowa, który potępił socjalistę Piłsudskiego! Mimo zasady, iż "tempora mutantur et nos mutamur in illis", zbyt wiele tu łamańców, zbyt liczne przemiany, aby wytyczyć wśród nich jasną, konkretną ścieżkę jego mentalności, może właśnie to umiłowanie paradoksu, kalamburu nie tylko słownego, ale sytuacyjnego i ideowego, popchnęły Nowaczyńskiego na drogi, którymi szedł? Zasadniczo nie szukał ideologii, lecz obiektu ataku, nie wiązał swych poglądów w system, "wyzywał" się na czyjś koszt. Nie umysł lecz temperament, ów temperament niepohamowany, który tytuł Polaków zawiódł na szlaki bohaterstwa lub warcholstwa, kierował piórem Ady.

#### Ostatnie lata.

Wojna zapędziła Nowaczyńskiego aż do Lwowa: aresztowany przez Sowiety, wydobył się po kilku miesiącach do Warszawy, gdzie znów pada ofiarą Gestapo. Nie mogąc pracować literacko, utrzymywał się z "pożyczek" udzielanych przez istniejące jeszcze banki polskie wspomagające literatów. Chory ciężko na serce przebywał jako rekonwalescent w r. 1944 w okolicy Warszawy; kilka kieliszków alkoholu spowodowało ostry atak serca i śmierć.

Jan ZADEYKAŃSKI.

## Sprawy i troski

### Spółeczność wartownicza

Oddziały wartownicze trafnie można ocenić i ich rolę zrozumieć tylko na tle życia uchodźstwa polskiego w Niemczech w ciągu ostatnich lat pięciu. Społeczność uchodźcza składała się, jeśli idzie o genezę, z czterech grup: byłych jeńców wojennych, byłych więźniów obozów koncentracyjnych, byłych robotników przymusowych, tudzież nowych uchodźców. Odrębną grupę stanowiła "Brygada Świętokrzyska", przybyła do Niemiec z Czechosłowacji.

W intencji władz okupacyjnych leżało skierowanie, o ile możliwości, wszystkich uchodźców do krajów ich pochodzenia, czyli repatriacja. Wiadomo, że początkowo nie przewidywały one możliwości pozostania poważniejszej liczby tak zwanych osób wysiedlonych w Niemczech. Stąd obozy, w których umieszczano stopniowo wszystkich Polaków, a więc także i byłych jeńców wojennych, miały być tylko punktem etapowym i jako punkty etapowe były organizowane. Ostatni odrębny obóz byłych jeńców oficerów w Murnau zlikwidowano z początkiem 1947 r.

Tymczasem, jak to z góry wiedzieliśmy, punkty etapowe stały się miejscami kilkoletniego zamieszkania ludności dipisowskiej, z tym tylko, że pozostał dawny charakter tymczasowości, wyrażający się w stylu życia obozowego. Główną cechą tego życia była bezczynność masy przy równoczesnej bardzo niskiej skali życia i braku możliwości zarobkowych.

Każda z grup, składających się na ludność obozów, wносиła do nich specyficzne obciążenia z okresu wojny.

Znany jest problem wielkiej pobudliwości byłych więźniów obozów koncentracyjnych, cudem uszłych śmierci. Trzeba było lat całych na jej wyrównanie w normalnych warunkach życia.

Jeńcy z Oflagów wynieśli rozgorzenie oraz tzw. "pawianizm". W Niemczech każdy wie mniej więcej co to dziwne słowo oznacza, ale nikt nie próbował określić jego treści, stąd termin "Pawianizm" pozostaje zagadkowym dla tych, którzy się



z nim nie stykali. "Pawianizm" to zespół kompleksów, wywołanych kilkuletnim życiem w obozach jenieckich. Życie to cechowało, poza brakiem wolności, intensywne przeżywanie wielkich wydarzeń bez możliwości wpływania na ich tok. Wiadomo, że wykonywanie funkcji łatwiejszych od tych, do których jest się uzdolnionym rozkłada i zniechęca człowieka. Cóż dopiero mówić o braku wszelkiej funkcji, o wylądowaniu się wielkich napięć w sprawach takich, jak sławne już dzielenie stołu kredą na strefy wpływów! Do tego dodać należy, że oficer jest człowiekiem przyzwyczajonym do rozkazywania, a w Oflagu albo nie miał żadnej okazji do wydawania rozkazów, albo wydawał je tylko w sprawach niesłychanie błahych swym współwięźniom. Wreszcie każdy z więźniów Oflagu prowadził życie kawalerskie i z upływem lat nabierał cech starokawalerskich.

Jest faktem, że w wielu Oflagach prowadzono walkę przeciw skutkom życia w warunkach, sprzyjających spawianieniu, że walka ta wydała duże rezultaty (pogłębianie wiedzy jako sposób spędzenia czasu), tym niemniej warunki obozowe nie mogły pozostać bez wpływu na stan psychiczny jeńców.

Nie mniejsze, choć zupełnie inne, były obciążenia psychiczne warstwy najliczniejszej, to jest robotników przymusowych. Przeszli oni przez życie stadne w obozach pracy, oderwani zostali, nieraz w bardzo młodym wieku, od środowiska w którym żyli i które oddziaływało na nich wychowawczo, pozbawieni wszelkiej możliwości kształcenia się, czy po prostu czytania czegośkolwiek. (Polskie słowo drukowane nie dochodziło do robotników w Niemczech w żadnej postaci).

Robotników polskich w Niemczech traktowano jak półnie-wolników, co budziło w nich pragnienie zemsty. Łączy się z tym jeszcze inny problem: każdy wywieziony do Niemiec uważał, że ma prawo moralne do uzupełnienia fikcyjnej płacy wszelkimi dostępnymi mu środkami, a bardziej świadomi uważali, że mają obowiązek sabotowania wykonywanej pracy. W tej atmosferze zacierała się różnica między tym, co wolno, a czego nie wolno. Aprobata wyłączenia, stosowanego wobec wroga osłabiała też siłą rzeczy samą normę, zalecającą szanowanie cudzej własności.

Ludzie przybyli z kraju, którzy uniknęli wszelkiej formy niewoli byli znów inni: atmosfera walki podziemnej niewiele miała wspólnego ze stylem życia wojskowego przed wojną, a także ze stylem życia regularnej armii walczącej. Wysiłek skierowany w jednym kierunku gotowości do ataku i obrony przed czyhającym zewsząd niebezpieczeństwem musiał wycisnąć swoje piętno na uczestnikach walk podziemnych.

Wszystkie elementy składowe uchodźstwa przeszły w roku 1945 kryzys gorkiego zawodu. Następstwa życia w obozach wysiedleńców nakładały się na warstwy różnych przeżyć wojennych, niwelując w nowym sposobie życia bez widocznych celów do osiągnięcia i bez konieczności walki o byt tych, którzy w czasie

wojny nie mogli się wyżyć i tych, którzy łamali się i gięli pod naciskiem zbyt wielu silnych przeżyć!

W niezwykle trudnych warunkach życia uchodźców należało podjąć walkę przeciw następstwom bezczynnego i demoralizującego życia obozowego, należało po prostu czymś zająć dziesiątki tysięcy mężczyzn zdolnych do pracy. To proste zadanie wydawało się mniej efektowne od wielkich nadziei i planów, jakie tu i tam łączono z powstaniem oddziałów wartowniczych. Miało jednak nad nimi tę wyższość, że było realne i możliwe do spełnienia. Ze względów praktycznych wartownicy byli potrzebni.

Wojska okupacyjne odpyływały szybko za ocean, natomiast pozostawało dużo obiektów do strzeżenia, jak składy, lotniska, nawet obozy internowanych. Nowoprzybywające oddziały amerykańskie przeznaczone były do szkolenia, nie mogły więc pełnić służby wartowniczej. Sprowadzenie z Ameryki personelu amerykańskiego specjalnie dla służby wartowniczej pociągnęłoby za sobą niepomierne większe koszty. Chodziło przede wszystkim o to, że personel amerykański zgodnie z przyjętymi zasadami musiałby być opłacany w amerykańskiej walucie i z amerykańskiego budżetu, podczas gdy płace wartowników polskich poza dodatkiem 5 dolarów miesięcznie opłacane są z rachunków kosztów okupacji przez kraje niemieckie.

Oczywiście, ta sytuacja sama przez się nie predestynowała jeszcze Polaków do objęcia funkcji wartowniczych. Należało jeszcze wykazać inicjatywę i — dobrze wywiązać się z zadania.

Już z tego co powiedziałem wyżej wynika, że podjęcie się pracy w oddziałach wartowniczych nie było zadaniem, dającym pełną satysfakcję. Trzeba było nawet przełamywać pewne opory psychiczne i zdobyć się na sporą dozę realizmu i trzeźwości: bądź co bądź ludzie, spodziewający się powrotu do wolnego kraju i zajęcia stanowisk, do których czuli się powołani, musieli pójść na służbę pomocniczą u obcego wojska. Było to jednak niewątpliwie rozwiązanie lepsze od pozostawania w bezczynności obozowej.

Należy przypomnieć, że w pierwszych trzech latach po zakończeniu wojny praktycznie nie istniały możliwości pracy dla osób wysiedlonych poza oddziałami wartowniczymi lub instytucjami UNRRY a potem IRO. Po pierwsze wynagrodzenie w gospodarce niemieckiej było czysto fikcyjne (przypominam, że w niektórych okresach za płacę miesięczną robotnika w Niemczech można było nabyć 50 papierosów lub funt masła), po drugie władze okupacyjne z początku nakazały robotnikom przymusowym opuszczenie pracy w gospodarce niemieckiej i udanie się do obozów.

W tych warunkach inicjatywa zorganizowania kompanii pracy lub oddziałów wartowniczych wyłoniła się równocześnie w wielu miejscach i przyjęta była z uznaniem przez władze wojskowe amerykańskie.



Wywołało to niezadowolenie ze strony Rosji, protestującej przeciw tworzeniu "wojska" polskiego, złożonego z "faszystów", nie wracających do kraju. Raz stawiano rzecz na płaszczyźnie politycznej, kiedy indziej na płaszczyźnie "hamowania repatriacji". Z drugiej strony miejscowej ludności niemieckiej nie dodawało istnienie umundurowanych i uzbrojonych formacji polskich.

Dotykamy tu znów zagadnienia stosunku między władzami okupacyjnymi, Polakami i ludnością miejscową. W pierwszych miesiącach po wyzwoleniu "osoby wysiedlone", a więc i Polacy, należeli do kategorii uprzywilejowanej w stosunku do ludności miejscowej. Ten stan rzeczy zmieniał się w miarę jak zachodnie mocarstwa okupacyjne zaczęły dążyć do zbliżenia z Niemcami i do zjednania ich.

Cichą akcją tubylców przeciw polskim oddziałom wartowniczym podjęto więc równocześnie z głośnymi protestami wschodniego sąsiada. Pierwszym skutkiem tej akcji było przemundurowanie w r. 1946. Do tego czasu wartownicy nosili dawne mundury amerykańskie ze specjalnymi odznakami. Zarządzenie dowództwa amerykańskiego nakazało przefarbowanie mundurów na kolor ciemno granatowy. Wywołało to wiele oporów, które były w pewnej mierze wynikiem imponderabilów.

Mundur zbliżony do amerykańskiego symbolizował niejako uznanie równości kombatanckiej byłych żołnierzy polskich, z których w większości oddziały wartownicze się składały. Granatowy kolor munduru używany jest zwykle przez formacje pomocnicze itp., a nie przez wojsko. Zmiana munduru na ten kolor przypieczętowała ostatecznie charakter niewojskowy oddziałów wartowniczych. Dotykało to tych, którzy chcieli widzieć w nich przynajmniej namiastkę wojska. Ale władzom okupacyjnym chodziło o to właśnie, by podkreślić w sposób jak najbardziej wyraźny ten niewojskowy charakter O. W.

Mundury koloru granatowego, a jedynie z literami "WP" na plecach nosili Niemcy — jeńcy wojenni. Także UNRRA w obozach wydawała granatowe mundury dipisom. Doprowadzało to do niesłusznego obciążenia wartowników odpowiedzialnością za postępowanie części zdemoralizowanych życiem obozowym dipisów.

Przemundurowanie doprowadziło do pierwszego większego kryzysu w kompaniach i do ostatecznego wyjaśnienia sprawy: oddziały wartownicze nie są wojskiem.

Uświadomienie sobie tego faktu pomogło do wysunięcia innych zadań: wychowania i przeszkolenia ludzi dla życia cywilnego.

Zanim zajmę się bliżej tą akcją muszę jeszcze wspomnieć o specjalnych następstwach przemundurowania, czy raczej przefarbowania mundurów. Przez wyodrębnienie kolorem munduru wartowników od wojsk okupacyjnych ułatwiono akcję przeciw

wartownikom, prowadzoną w sposób zamaskowany przez prasę niemiecką.

W każdym kraju świata zdarza się, że ludzie umundurowani urządzają takie lub inne awantury, a nawet dopuszczają się przestępstw. Oczywiście po wojnie takie wypadki zdarzają się częściej. Warunki wojenne sprawiły, że polskie środowisko uchodźców w Niemczech nie było wolne od elementów niedyscyplinowanych i podatnych na złe wpływy.

Poszczególne wypadki wykroczeń prasa niemiecka starannie rejestrowała, przy czym jest rzeczą znamionną, iż przy każdym zajściu ulicznym, w którym sprawców nie ujęto, mieli nimi być wedle komunikatów policyjnych "mężczyźni w czarnych mundurach". Wolno przypuszczać, że potrzebowano tego rodzaju materiałów do raportów i zażaleń, składanych władzom okupacyjnym, a świadkowie z reguły rozpoznawali skwapliwie w ciemnościach kiepsko oświetlonych ulic "uciekających mężczyzn w czarnych mundurach".

Dziś nie znajdzie się w całych rocznikach dzienników niemieckich wzmianki o "mężczyznach w czarnych mundurach". Ten drobny fakt rzuca światło na opinię, jaką sobie oddziały wartownicze wyrobiły, a także na ogromne podniesienie dyscypliny. Przed trzema czy czterema laty trzeba było używać najróżniejszych sposobów dla zahamowania akcji prasowej i nie tylko prasowej przeciw polskim wartownikom.

Gdy w roku 1947 władze amerykańskie pod naciskami z różnych stron przystąpiły do rozwiązywania kompanii wartowniczych okazało się, że trudno je zastąpić. Zamiarem władz amerykańskich było wówczas rozwiązanie wszystkich kompanii i zastąpienie ich przez "policję przemysłową" — Industrial Police, która miała być formacją międzynarodową, przyjmującą również Niemców. Uświadomiony element kompanijny od razu zrozumiał, że koncepcja ta jest niemożliwa do przyjęcia dla polskich wartowników. Jedynym sensem służby w policji przemysłowej mogło być zarobienie paru marek za stanie na warcie.

Cała akcja kształcenia do życia cywilnego i całe życie pozasłużbowe kompanii nie mogłoby się rozwijać w "policji przemysłowej". Ten wzgląd odgrywał chyba nieminiejszą rolę niż nieco gorsze uposażenie w tej policji.

Wkrótce okazało się, że pospiesznie organizowane (głównie z Niemców) dla zastąpienia oddziałów wartowniczych formacje "Industrial Police" dalekie są od ideału i zawodzą w każdej sytuacji, wymagającej sprawnej i zdecydowanej organizacji oraz przytomności umysłu i odwagi wartowników.

Toteż w r. 1947, gdy zdawało się, że los kompanii wartowniczych został już przypieczętowany, a stan ich z około 40.000 spadł do około 10.000, zaszedł nieoczekiwany zwrot. Dalsze rozwiązywanie kompanii wstrzymano i od tego czasu sytuacja kompanii ustabilizowała się. Ilościowo stan kompanii został zredukowany do 25 % maksymalnego, ale od tego czasu już kompanie



wartownicze nie przeszły żadnego większego kryzysu, a stan kompanii dziś niewiele jest mniejszy niż w końcu 1947 roku.

Co więcej, wyjaśnić należy, że po masowej redukcji kompanii każdorazowy ich stan liczebny nie odzwierciedlał ich rzeczywistego znaczenia w życiu uchodźstwa polskiego strefy amerykańskiej Niemiec. Stan ten był tylko liczbowym ujęciem statycznym zjawiska dynamicznego. Od roku 1948, to znaczy od ożywienia ruchu emigracyjnego kompanie wartownicze nie były stojącym stawem, lecz płynącą wartko rzeką: stan się nie zmieniał, ale skład zmieniał się stosunkowo szybko. Co miesiąc ubywało nieraz do 10% wartowników, a na ich miejsce przybywali inni, częściowo dawniej zwolnieni, częściowo zupełnie nowi, na przykład dorastający itp. Od początku roku 1948 wyszło z kompanii około 27.000 wartowników, a na ich miejsce przybyli nowi, Znakomita większość zwolnionych w r. 1947 wróciła do kompanii i potem już wyszła ostatecznie — na emigrację.

Zmienność personalna nie oznaczała jednak zmienności form. W ustalony kształt organizacyjny wlewali się wciąż nowi ludzie, przy czym dotyczyło to zarówno wartowników, jak i dowódców kompanii i kierowników sekcji łącznikowych. Jedynie kierownictwo głównej sekcji łącznikowej pozostaje od listopada 1945 roku niezmiennie pod kierunkiem płk. Fr. Sobolty, który nosi oficjalny tytuł "kierownika (director) łączności".

Trzeba tu wyjaśnić, wbrew poglądom powszechnie panującym, że oddziały wartownicze nie mają swojego "naczelnego dowództwa". Formalnie każda kompania podlega bezpośrednio władzom amerykańskim tj. tak zwanemu Labor Supervision Center, przy którym czynna jest polska sekcja łącznikowa. Główna sekcja łącznikowa dla spraw dotyczących warunków pracy ogółu wartowników czynna jest przy dowództwie amerykańskich sił okupacyjnych i mieści się w Heidelbergu.

Do maja 1947 r. istniała pewna dwoistość organizacyjna oddziałów wartowniczych, wywołana początkowo odrębnością 3-iej i 7-iej armii amerykańskiej, a potem wyodrębnieniem tzw. Continental Base Section.

Fakt, że formalnie nie istnieje polskie dowództwo oddziałów wartowniczych w niczym nie wpływa na osłabienie autorytetu "Główniej Sekcji Łącznikowej". W zakresie życia pozasłużbowego dowódcy amerykańscy, przekonawszy się o rezultatach wychowawczych osiągniętych w ciągu ostatnich lat, nie stawiają polskiemu oddziałom wartowniczym żadnych trudności, co stwarza szerokie możliwości działania.

Ta właśnie dziedzina działalności polskich oddziałów wartowniczych zasługuje na szersze omówienie. Obejmuje ona wychowanie i szkolenie elementu ludzkiego ze specjalną myślą o emigracji oraz akcję zewnętrzną — pomocą dla społeczeństwa polskiego w Niemczech, pojmowanej szeroko i wszechstronnie. I w jednej i w drugiej dziedzinie widać konsekwentny plan, realizowany systematycznie mimo zmienności materiału ludzkiego,

o której już wspominałem. Zmienność materiału ludzkiego podanego akcji przeszkoleniowej nie jest oczywiście przeszkodą. Jest ona zjawiskiem normalnym w każdej organizacji, poświęcającej się szkoleniu. Gorzej jest ze zmiennością dowódców i oficerów oświatowych, to znaczy tych, którzy akcją szkoleniową i wychowawczą kierują. O tej zmienności należy pamiętać przy ocenie osiągniętych wyników. Z reguły każdy Polak w Niemczech pragnie jak najprędzej wyemigrować, a młodszym i zdrowszym udaje się to wcześniej niż starszym lub mniej fizycznie zdrowym. Ten proces ciąży ogromnie nad życiem polskim w Niemczech. Wielu ludzi nie wie, czy uda im się opuścić ten kraj, a takich, którzy by programowo chcieli w nim pozostać nie ma prawie wcale. To samo dotyczy korpusu oficerskiego oddziałów wartowniczych. W tych warunkach samo wypełnianie powstających luk bywa zadaniem trudnym — cóż dopiero mówić o ciągłości pracy, której utrzymanie wymaga niezwykle wysiłków.

Wychowanie wartowników — w samym założeniu ma to być wychowanie do życia cywilnego — polega przede wszystkim na samym fakcie konieczności zachowania porządku i prowadzenia systematycznego życia w ramach programu zajęć i służby. Mogłoby się wydawać dziwne, że ludzi, pochodzących w większości z życia cywilnego należy do życia cywilnego wychowywać w organizacji bądź co bądź pod pewnymi względami opartej na wzorach organizacji wojskowej.

Ale pamiętać trzeba o tym, że ludzi do oddziałów wartowniczych nie rekrutowano spośród pracujących, lecz z obozów, to znaczy z życia absolutnie nienormalnego, beczynnego. Już sam fakt, że się wykonuje jakieś funkcje, że trzeba przestrzegać pewnej dyscypliny, że się za wykonaną pracę otrzymuje wynagrodzenie, które później należy samodzielnie wydać, kupując co się chce, tudzież, że pensja ma wystarczyć do następnej wypłaty, przybliżały warunki życia wartownika do tego, z czym się spotkać ma w życiu cywilnym. Warunki życia obozowego były zupełnie inne: tu nie było żadnej pracy poza staniem w ogonku przed kuchnią i magazynem, nie było żadnego zarobku ani żadnej możliwości kupowania czegoś. Wszystkie potrzeby były (bardzo nędznie skądinąd) pokrywane przez UNRRA czy IRO. Te instytucje decydowały o tym, jakie dipis ma nosić spodnie, czym ma sobie czyścić zęby i jakie filmy oglądać.

Z życia, w którym się samemu o niczym nie decydowało, ale w którym również nie było żadnych prawie obowiązków do spełnienia wchodzili wartownicy do życia z jasno rozgraniczonymi sferami obowiązku i wolności, z większym zakresem odpowiedzialności osobistej za swój los. Jednym słowem wchodzili z życia pustego w życie wypełnione pracą, ale również przynoszące korzyści z pracy, dające możliwości zdobycia czegoś więcej, niż najskromniejsze minimum jedzenia i warunków mieszkaniowych. Z tego powodu właśnie już sama służba wartownicza



była lepszą szkołą normalnego życia niż obozy wysiedleńców.

Zanim przejdę do różnych form szkolenia pragnę zauważyć, że pewna część kompanii nie pełniła służby wartowniczej lecz pracowała. Dla tej części, obejmującej 15-20 % ogółu, warunki były odmienne niż dla właściwych wartowników. W kompanii pracy, najczęściej wykonywujących prace budowlane, istnieje mniejsza lub większa możliwość nauzenia się fachu przy pracy, natomiast możliwości kształcenia poza służbą są mniejsze. Wprawdzie można zebrać równocześnie całą kompanię, co jest zupełnie niemożliwe w kompaniach wartowniczych, pełniących służbę na zmianę — oczywiście także w święta, ale za to ilość czasu wolnego jest mniejsza i zmęczenie pracą większe. Poza nauką angielskiego niewiele właściwie zrobić można tutaj w dziedzinie nauczania.

Najtrudniej oczywiście ocenić wyniki pracy wychowawczej jeśli idzie o podniesienie poziomu moralnego ludzi, przechodzących przez szkołę służby wartowniczej. A jednak i tu mamy pewne wskaźniki, dotyczące okresu 1948-1949, pod wielu względami przełomowego dla pracy oddziałów wartowniczych. W roku 1948 ilość wykroczeń wynosiła 0,14 % stanu, zaś w roku 1949 spadła do 0,05 %. W tym samym czasie ilość zachorowań na choroby weneryczne spadła z 0,48 % do 0,16 %. Rzadko zanotować można tak po prostu gwałtowny skok w dół, będący najlepszym, bo obiektywnym wskaźnikiem osiągniętych rezultatów wychowawczych.

Poważne rezultaty pracy wychowawczej oddziałów wartowniczych są tak znane i powszechnie uznawane, że przy doborze kandydatów na emigrację fakt odbycia służby wartowniczej jest automatycznie najlepszą rekomendacją. Jest rzeczą znaną, że Polakom w Niemczech groziło bardzo poważne upośledzenie przy doborze kandydatów na emigrację, że pierwsze statystyki z okresu początkowego emigracji wykazywały nieproporcjonalnie mały udział Polaków. Jeżeli ten stan rzeczy uległ zmianie i dziś nie można mówić o jakimś wybitniejszym upośledzeniu Polaków przy emigracji to mamy to do zawdzięczenia kompaniom wartowniczym (w strefie brytyjskiej oddziałom CMWS i CMLO).

Można by się zapytać czemu właściwie zawdzięczać należy takie rezultaty? Mam tu swoją teorię, opartą na długiej obserwacji życia polskiego w Niemczech i w kraju pod okupacją. Sądzę, że w znacznej mierze źródłem osiągniętych wyników jest nowy stosunek oficera do wartownika. Dystans między nimi jest bez porównania mniejszy, niż powiedzmy na przykład przed wojną w naszej armii.

Otóż jest faktem, że podział ten miał już w przedwojennej Polsce tendencję jeśli nie do zanikania to do zmniejszenia się. Sama wojna miała dla tej ewolucji decydujące znaczenie i pchnęła ją ogromnie naprzód, co zawdzięczamy nieudolności i głupocie okupanta niemieckiego. Jego represje zwracały się

przeciw wszystkim warstwom choć nie w równym stopniu i dlatego wszystkie zbliżały do siebie, choć trzeba przyznać, że początkowo przynajmniej urzędy propagandy zdawały się rozumieć możliwość grania na podziale "inteligencja" — lud. Nie tylko w więzieniach i w obozach koncentracyjnych — także w akcji podziemnej następowało zbliżenie o jakim nawet marzyć nie można było w przedwojennym wojsku. W lasach, jak wiadomo, też nie było osobnych kantyn oficerskich. Toteż zmianę stosunków między oficerem a żołnierzem cywilnego wojska wartowniczego przypisuję wzmocnionym wojną naturalnym tendencjom ewolucji społecznej w Polsce.

Zanik kastowości ułatwia w ogromnym stopniu pracę wychowawczą i to dwustronną. Nie tylko żołnierz uczy się sposobu patrzenia na honor munduru tudzież wielu innych rzeczy od oficera, ale także oficer uczy się sporo. Uczy się przede wszystkim bezwzględnej konieczności wyciągania konsekwencji ze swych słów, unikania frazesów bez pokrycia. Ludzie, którzy przeszli szkołę wojenną są nieufni i krytyczni, patrzą mniej na słowa, których nasłuchali się wiele, a więcej na konkretne czyny, których w życiu polskim niewiele widzieli. Nigdzie tak jak w kompaniach całe życie i postępowanie kierowników nie jest widoczne dla podwładnych. W postępowaniu z żołnierzami można dążyć do dwu celów: albo do zapewnienia sobie biernej karność, albo do zdobycia zaufania. Pójście pierwszą drogą było stosunkowo łatwe i mało owocne, pójście drugą było trudne, ale dawało rezultaty nieuchwytnie w pierwszej chwili, ale trwałe.

Dzięki temu w quasi-wojsku wartowniczym stosunki są o wiele bardziej demokratyczne, niż nieraz w polskim życiu cywilnym na obczyźnie. Wbrew naturalnej tendencji korpusu oficerskiego, utrwalonej tradycją, do ukształtowania życia wojska we wszystkich dziedzinach w myśl zasady "milczeć i słuchać", życie oddziałów wartowniczych cechowało dążenie do stworzenia poza służbą rzeczywistego samorządu. By zrozumieć sens tego dążenia, trzeba znać chorobę naszego życia organizacyjnego. Polega ona na nieufności dołów do kierowników organizacji społecznych z jednej strony, a na niechęci do ujawniania gospodarki z drugiej strony. Myliłby się ten, kto by przypuszczał, że wina leży tylko po jednej stronie. Brak kontroli stwarzał zawsze pokusy silne i duże niebezpieczeństwo niewłaściwej gospodarki. Jeżeli jednak nie ma od dołu chęci i umiejętności kontrolowania to oczywiście stan "bezkontrolny" trudno po prostu zmienić. Prowadzi do tego celu jedna droga: trzeba szukać kontroli, trzeba o nią zabiegać, trzeba się jej domagać, albo nawet trzeba nakazać kontrolę.

Jeden z wielu paradoksów życia wartowniczego polega właśnie na tym, że oficerowie, kierujący początkowo pracami samorządów kompanijnych, musieli szeregowym powołanym do kontroli nakazać skrupulatne badanie każdej pozycji i oglądanie ze wszystkich stron każdego kwitka, jeżeli chcieli przełamać



system, w którym członkowie organizacji wymyślają na jej kierowników za złą gospodarkę, nie mając do tej gospodarki wglądu, a kierownicy zadowoleni są z tego, że ludzie poprzestają na ogólnikowych zarzutach, a nie kwapią się do ich sprawdzenia. Skrupulatnie przestrzegany jest system zupełnej jawności gospodarki na wszystkich szczeblach od kompanii do zarządu Funduszu Społecznego, obejmującego ogół wartowników. Sprawozdania w kompaniach ogłaszane są na tablicy, a Funduszu na łamach organu wartowników — "Ostatnich Wiadomości".

Na pograniczu między akcją wychowawczą a szkoleniem postawić należy pracę świetlic. Minimum pracy świetlicowej to czytelnia czasopism polskich i wypożyczalnia książek oraz gry świetlicowe. Ponieważ w rzadko którym obozie utrzymywane są czynne świetlice już wypełnienie tego programu minimalnego jest dużym postępem w stosunku do tego, co mieli wartownicy przed wstąpieniem do służby. Zaopatrzenie świetlic w czasopisma i czytelnictwo są tak różne, jak różny jest materiał ludzki, a zwłaszcza kierownicy świetlic. Tak samo biblioteki kompanijne przedstawiają się bardzo rozmaicie, dochodząc do 1000 tomów w najlepszych wypadkach. Mimo to stwierdzić należy, że w strefie amerykańskiej Niemiec, gdzie liczba Polaków wynosi około 40.000, a więc wartownicy stanowią koło 20 % ogółu 70 % książek nabywanych jest przez oddziały wartownicze. Niektóre kompanie miały własne zespoły teatralne amatorskie, chóry, orkiestry itp.

Program nauczania ogólnego i szkolenia zawodowego w ciągu pięciu lat istnienia kompanii wartowniczych realizowany był w rozmaity sposób. Analfabetyzm wytopiony został niemal bez reszty. Istnienie w kompaniach analfabetów było szczególnie przykre dla oficerów i podoficerów, gdyż przy każdej wypłacie musiało być ujawnione wobec Amerykanów i Niemców... przy podpisywaniu listy płac. Analfabeta przynosił wstyd kompanii i dlatego musiano go jak najszybciej nauczyć — najpierw podpisywania się, a potem w ogóle czytania i pisania. W wielu kompaniach prowadzono regularne kursy szkolne na poziomie szkół powszechnych lub nawet gimnazjum. Nie wiem czy kiedy będzie możliwe dokładne ujęcie statystyczne tej pracy, ale istniały kompanie, które w ciągu roku potrafiły przerobić program dwu lat nauczania przy udziale niemal wszystkich wartowników. Były oczywiście i takie, w których w ogóle niewiele w tym kierunku osiągnięto.

Od sierpnia 1948 roku odbywa się we wszystkich kompaniach przymusowa nauka języka angielskiego, obejmująca 4 godziny tygodniowo, przy czym podręczniki dostarczone zostały przez władze amerykańskie. Szczególną rolę odegrał ośrodek szkoleniowy w Kaefertalu, czynny od stycznia 1946 roku do listopada 1947 roku. Celem jego było zasadniczo przeszkolenie oficerów i wartowników. Ponieważ jednak chodziło również o wyszkolenie pełniących służbę w kompaniach pracy, a także o wyszkolenie

dostatecznej liczby kierowców samochodowych i mechaników trzeba było w Kaefertalu zorganizować także kursy zawodowe. Przez czas istnienia ośrodka szkoleniowego Kaefertal ukończyło kursy szoferskie 1425 wartowników, kursy mechaników samochodowych 209, różne kursy rzemiosł (murarskie, stolarskie, cieślielskie, kowalskie, elektrotechniczne, ślusarskie) ponad 2.500. Szkolenie było albo przygotowaniem do pracy w kompaniach pracy, albo po prostu pewnego rodzaju nagrodą dla chętnych z kompanii wartowniczych za dobrą służbę.

Szkolenie zawodowe w poszczególnych kompaniach zależne było od możliwości miejscowych i dobrych chęci. Najpopularniejsze były kursy kierowców samochodowych, które zawsze cieszyły się powodzeniem i zainteresowaniem.

Owocem akcji wychowawczej i szkoleniowej, prowadzonej równocześnie na wielu płaszczyznach i różnymi metodami było niewątpliwie podniesienie zarówno wykształcenia ogólnego i zawodowego wartowników, jak i ich wyrobienia społecznego. Nie przyszło to samo przez się. Trzeba było włożyć, zwłaszcza w okresie początkowym, wiele wysiłku w przekonanie władz nadzorczych o potrzebie i celowości takiej pracy także z punktu widzenia interesów samej służby wartowniczej.

O ile rezultaty akcji wychowawczej i szkoleniowej przyczyniły się do wyrobienia granatowym chłopcom dobrej opinii w kręgach imigracyjnych i u zwierzchników amerykańskich, czego wyrazem jest faktyczne uprzywilejowanie ich przy emigracji od paru już lat, a formalne w nowym "billu" immigracyjnym, o tyle popularność swą w społeczeństwie uchodźczym zawdzięcza ją wartownicy działalności Funduszu Społecznego. Fundusz ten powstał pierwotnie dla zaopatrywania poszczególnych kompanii w książki, czasopisma, sprzęt sportowy itp. Z czasem jednak pojawiły się i inne zadania — jak pomoc dla społeczeństwa cywilnego, akcja stypendialna dla młodzieży akademickiej, wspomaganie szkół, akcja pomocy inwalidom OW itp. Fundusz Społeczny czerpał swe dochody głównie z dobrowolnego opodatkowania się wartowników w wysokości 2% poborów.

Powszechnie wyraża się wątpliwości co do dobrowolnego charakteru tej daniny. Rzeczywiście zdarzają się wartownicy, którzy mówią, że "zabiera się im część pensji". Wiem jednak z doświadczenia, że wyrażenie tego rodzaju poglądów w chwili złego humoru nie oznacza jeszcze negatywnego stosunku do zasady opodatkowania na cele społeczne. Szczególnie interesowało mnie to zagadnienie i na podstawie rozmów z wartownikami dobranymi najbardziej przypadkowo stwierdziłem, że poglądy te nie odpowiadają prawdzie. Postawiłem jedenastu wartownikom pytanie, czy płaciliby składki na Fundusz Społeczny, gdyby byli pewni, że odmowa nie im nie zaszkodzi w służbie? Ośmiu odpowiedziało "tak", 1 nie wiem, 2 nie. Motywem płacenia składki przez odpowiadających "nie" była obawa "zepsucia sobie opinii u przełożonych". Pomijając wielką przewagę od-



powiedzi pozytywnych, należy się zapytać czy obawa zepsucia sobie opinii u przełożonych jest równoznaczna z przymusem? W jakże wielu składkach i zbiorach dobrowolnych o złożeniu ofiary i jej wysokości decyduje взгляд o opinii? Błędny jest pogląd, że wszyscy wartownicy opłacają składki: trafiają się poszczególni wartownicy, odmawiający płacenia ich. Ponieważ jednak ze składki dwuprocentowej część zatrzymuje się na samorząd kompanijny, z którego pokrywane są wydatki świetlicowe, takim odmawiającym płacenia składek wyjaśnia się, że nie mają prawa korzystania z urządzeń świetlicowych i to jest bodaj naistotniejszy sposób "wywierania nacisku".

Znaczenie gospodarcze Funduszu znacznie wzrosło z chwilą przeprowadzenia w Niemczech reformy waluty. Do czerwca 1948 roku składki zbierane na Fundusz, stanowiły jeśli idzie o rzeczywistą siłę nabywczą niewiele. Do czasu reformy waluty korzyści ze służby wartowniczej polegały zresztą raczej na nieco lepszym wyżywieniu i przydziale papierosów, niż na płacy w małowartościowych R-markach. Ten stan rzeczy zmienił się radykalnie po reformie waluty. Płace zostały niemal niezmiennione, tylko że zamiast R-marek zaczęto otrzymywać D-marki, stanowiące dziś stosunkowo mocną walutę. Zarobek około 230 marek przed reformą waluty odpowiadał jeśli idzie o siłę nabywczą jednemu dolarowi, obecnie odpowiada około 40 a po kursie oficjalnym 54 dolarom. Oprócz takiej pensji wartownik otrzymuje umundurowanie i wyżywienie. Nieraz przypisuje się ofiarności wartownikom ich lepszej pozycji gospodarczej. Tyle w tym prawdy, że istotnie uposażenie w kompaniach jest niezłe. Trzeba jednak stwierdzić, że poza kompaniami są grupy osób zupełnie niezłe sytuowanych. Wymienić tu należy pracowników IRO (około 10% mieszkańców obozów!) oraz mieszkańców obozów, pracujących w niemieckiej gospodarce. Ta kategoria również korzysta z wyjątkowo dobrych warunków, gdyż obok płacy otrzymuje zaopatrzenie irowskie dla siebie i rodzin. A jednak niewiele słyszeliśmy o ofiarności poza kompaniami wartowniczymi w Niemczech.

Wysokość składki na Fundusz Społeczny O. W. wynosi 2% poborów. Od chwili reformy waluty do końca 1949 roku, a więc przez półtora roku, wpływy Funduszu wyniosły 563.851 DM, których przeznaczenie było następujące:

1) Wydatki samorządów kompanijnych (część składki zatrzymywana na własne potrzeby kompanii) 115.163 DM (tu chyba najmniej połowa idzie na cele kulturalne).

2) Wydatki na szkolenie (większość wydatków na te cele zawarte jest w pozycji pierwszej) 6.532 DM.

3) Książki i czasopisma (tylko zakupywane zbiorowo przez fundusz — również i tutaj wydatki poszczególnych kompanii, zawarte w poz. pierwszej na książki i gazety są większe) 8.858 DM.

4) Wydatki na szkolenie zawodowe 3.555 DM.

5) Urządzenia świetlicowe — 1150 DM.

6) Fundusz inwalidów — 92.975 DM. Pozycja ta nie stanowi wydatków Funduszu Inwalidzkiego, lecz dotację na ten Fundusz, służący uzupełnieniu świadczeń na rzecz inwalidów, wynikających z ubezpieczenia wartowników w niemieckich instytucjach ubezpieczeń społecznych.

7) Pomoc w ciężkich wypadkach (pozycja ta obejmuje pomoc indywidualną Funduszu przeważnie dla wartowników i byłych wartowników, którzy znaleźli się w trudnościach materialnych.

8) Pomoc dla szkół i stypendia akademickie 144.596 DM. Z tej pozycji około 3/4 przypada na stypendia akademickie, reszta na szkolnictwo średnie i niższe. Szczególnie w tej pozycji trzeba zwrócić uwagę, że nie odzwierciadla ona całej pomocy dla uczącej się młodzieży, gdyż poszczególne kompanie opiekują się szkołami, położonymi w pobliżu. Niezależnie od zużycia na ten cel części wpływów z pozycji 1 (wydatki samorządów kompanijnych) urządza się na te cele zbiórki doraźne w gotówce i w naturze. W okresie, kiedy wartownicy otrzymywali dolary (5 miesięcznie) na zakupy w sklepach tak zwanych PX, zaopatrujących żołnierzy amerykańskich, wiele artykułów niedostępnych dla śmiertelników, znajdowało się w paczkach dla dzieci, rozdzielanych przy różnych okazjach, często bezpośrednio przez delegacje kompanii wartowniczych. Celowo wprowadzono i popierano tę formę akcji opiekuńczej i była ona najpopularniejsza wśród granatowej braci. Wielu samotnych wartowników, którzy wcześniej pozbawieni byli ogniska domowego, znajdowało w akcji tej ujście dla swych instynktów rodzinnych. Nikt nie potrafił już dziś obliczyć ile wynosiła pomoc poza ramami Funduszu dla młodzieży szkolnej — podobnie jak dla chorych itp. Zaznaczyć jeszcze należy, że wiele zbiórek Caritasu również nie wchodzi do cyfr sprawozdawczych Funduszu.

9) Wreszcie — last not least — kwotę 62.137 DM wydano na "Ostatnie Wiadomości" — pismo wartowników. Ukazuje się ono 3 razy w tygodniu, przy czym numer niedzielny zawiera dodatek tygodniowy, o charakterze kulturalno-literackim. W okresie kiedy prasa polska kurczy się, a wiele pism odgrywających wielką rolę w pierwszych latach po wojnie od dawna już nie wychodzi, stały rozwój "Ostatnich Wiadomości" zasługuje na szczególną uwagę. Od skromnego pisma powielaczowego na jednej kartce, a później na dwu kartkach do pisma dającego 16 stron druku średniego formatu gazetowego tygodniowo i posiadającego własną drukarnię prowadzi droga systematycznego wysiłku redakcyjnego i administracyjnego. Własną drukarnię ufundowano kosztem stosunkowo bardzo niewielkim. Redakcja pod kierunkiem kapitana W. Pańczaka — Axa, znanego przed wojną dziennikarza ze Lwowa, potrafiła doskonale utrafić we właściwy ton i to w podwójnym tego słowa znaczeniu. "Ostatnie Wiadomości" są pismem, które czyta z zainteresowaniem



każdy wartownik, a równocześnie rozszerza ono jego horyzonty i zawiera sporo materiału ciekawego dla najbardziej wymagającego czytelnika. Co więcej, pismo to potrafiło, informując także o wszystkich przejawach życia polskiego, nie angażować się w walki stronnictw politycznych, co zdobyło mu dużą popularność.

"Ostatnie Wiadomości" nie są bynajmniej pismem wyłącznym dla wartowników w Niemczech. Ponieważ drukarnię ufundowano wysiłkiem i ofiarą także i byłych wartowników, pismo wysyła się im nadal za zwrot kosztów porta bez względu na to, gdzie mieszkają: w Niemczech, w Anglii, Australii, Ameryce czy Argentynie.

Gdy się przyjeżdża do Mannheim, siedziby głównej sekcji łącznikowej i wydawnictwa "Ostatnich Wiadomości" trzeba najpierw dojechać do ostatniego przystanku tramwajowego na odległym przedmieściu, potem jeszcze przedrzeć się między zupełnie nieprawdopodobnymi odorami fabryki aniliny, które w promieniu pół kilometra zamieniły otoczenie na pustynię, by dotrzeć do najnudniejszej osady robotniczej Schönau. Tutaj wśród torów kolejowych, nędznych domków i zeschniętych traw podmiejskich stepów wznoszą się dawne koszary żandarmerii. Na podwórku koszar stoi szopa — siedziba redakcji, administracji i drukarni "Ostatnich Wiadomości". Wprost naprzeciw wejścia do tej szopy umieszczono wielką mapę obu półkul z zaznaczeniem miejsc, do których docierają "Ostatnie Wiadomości". Czerwone linie prowadzą do każdego niemal kraju wolnego świata. Ten kontrast między więcej niż prostym otoczeniem, a światowym zasięgiem pisma jest uderzający i pouczający. Uczy mianowicie pewnego stylu akcji, umożliwiającego osiągnięcie poważnych rezultatów najprostszymi i najskromniejszymi środkami. Przecież tak łatwo byłoby wynająć lokal w miłszym otoczeniu, postarać się o mieszkanie dla redakcji, zamiast pracować w szopie itd. Wystarczyłoby w tym celu odebrać parę stypendiów studentom, zamknąć jedną ze szkół, utrzymywanych przez Fundusz, czy ja wiem wreszcie — może nie ufundować nagród literackich.

Mógłby ktoś zapytać, skąd się bierze wobec tego dopłata 62.137 DM do tego pisma? Otóż należy wyjaśnić, że nie jest to dopłata, lecz cały budżet, gdyż pismo wysyłane jest wartownikom bezpłatnie — jedynie byli wartownicy zwracają za porto pocztowe.

W tej kwocie mieszczą się wydatki na: zakup linotypu i części maszyn, zakup papieru gazetowego i farby, koszty przesyłek książkowych i pism do poszczególnych kompanii, wierszowe dla autorów spoza kampanii, oraz bezpłatny druk "Biuletynu Informacyjnego" A. K. oraz najrozmaitszych druków służbowych i poza służbowych dla wszystkich kompanii.

Jeden czterostronnicowy numer w sporym nakładzie kosztuje poniżej 200 marek. Oczywiście, ta taniać pisma wynika z sze-

regu ułatwień, przyznanych przez władze amerykańskie, ale ułatwienia te są znowu owocem niewątpliwych zasług pisma dla podniesienia poziomu wartownika, tudzież umiejętności przekonania władz nadzorczych o jego potrzebie.

10) Wreszcie koszty administracji Funduszu wynoszą 6.065 DM przy ogólnych wydatkach 563.851 DM, stanowią zatem 1,08%. Komentarze zbyteczne, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy można znaleźć instytucje, umiejące wydać więcej niż połowę dochodów na wydatki administracyjne.

Poza ramami Funduszu Społecznego wartownicy, obok akcji indywidualnych poszczególnych kompanii, płacili do niedawna składki na Zjednoczenie Polskie w wysokości 0,5% pborów. Od maja br. zaprzestano płacenia składek na Zjednoczenie, ale za to wszyscy wartownicy (prócz szwadronów lotniczych) opodatkowali się na Skarb Narodowy również w wysokości 0,5% pborów, co stanowi miesięcznie około 6.000 DM.

Tak zwane "szwadrony lotnicze" prowadzą specjalną akcję pomocy gruźlikom, finansowaną zresztą także przez Fundusz, do którego szwadrony te również należą. Dotacja miesięczna Funduszu na ten cel wzrasta z 3.000 DM miesięcznie stopniowo do przewidzianych 8.500 DM miesięcznie, zaś poza tym wartownicy ze szwadronów lotniczych składają na ten cel dodatkowo dary w naturze, obok normalnej składki do Funduszu, która następnie wraca z grubą nawiązką samego Funduszu. (Normalna składka wartowników lotniczych wynosi około 2000 DM miesięcznie).

Jak pisałem, całość tego dziwnego "budżetu wojskowego" Polaków w strefie amerykańskiej Niemiec nie jest możliwa do obliczenia. Wynosi ona miesięcznie chyba ponad 50.000 DM, czyli 12.000 dolarów, jeśli uwzględnić Fundusz, składki na Zjednoczenie wzgl. Skarb Narodowy i akcje indywidualne poszczególnych kompanii.

Jeszcze na jedno trzeba zwrócić uwagę. Wydatki na cele kulturalne stanowią w znanych i statystycznie ujętych działach budżetu, to znaczy w Funduszu co najmniej 50%. Ponad 50% na cele kulturalne, 1,08% (jeden i osiem setnych) na wydatki administracyjne — chyba te dwie cyfry dostatecznie charakteryzują działalność Funduszu.

Akcja Funduszu w życiu emigracji polskiej wykazała, że można wiele zdziałać własnymi środkami, że można z niewielkich ofiar wielkiej rzeszy pracujących stworzyć fundusze poważne, ułatwiające rozwiązanie palących zagadnień emigracji. Ten przykład miał może pewien wpływ na koncepcje oparcia się na własnych środkach nie tylko na terenie Niemiec. Zasady powszechności opodatkowania, jawności gospodarki i kontroli, tudzież daleko posuniętej oszczędności urzeczywistnione zostały na terenie akcji społecznych wartowników w stopniu zasługującym na naśladowanie.



Kończąc ten przegląd pracy kompanii wartowniczych w ciągu ubiegłych pięciu lat pragnę podkreślić, że oczywiście obok światła można w ich życiu znaleźć cienie. Nie twierdzą, że wszystkie kompanie osiągnęły jednakowe rezultaty, nie twierdzą też, że wartownicy są aniołkami. Jak wiadomo proces przeobrażenia ludzi w aniołów, trwający już od pewnego czasu, jest dość daleki od zakończenia. Wszystkie warunki wojny i okresu powojennego, które tak bardzo zaciążyły na normalnym rozwoju ludzi, którzy znaleźli się na terenie niemieckich obozów D.P. musiały wycisnąć swe piętno i na tych, którzy wchodzili w skład Oddziałów Wartowniczych. Ale poziom tych oddziałów niewątpliwie się podnosił i to w naszym życiu emigracyjnym stanowi objaw krzepiący.

Nie twierdzą też, by kierownicy Oddziałów Wartowniczych zawsze działali bez błędów i omyłek. Ale każde udane dzieło ludzkie, gdy zacząć bliżej badać krytycznym okiem dzieje jego powstania, ukaże się naszym oczom jako wynik pewnej sumy błędów. Chodzi tylko o to, by błędy te były mniejsze niż te, jakie w danych warunkach można było popełnić. Otóż wydaje mi się, że ewentualne błędy kierowników Oddziałów Wartowniczych największe nie były. Kto nic nie robi nie błądzi — a tutaj okazji do błędów było wiele, bo wiele robiono. Uniknięto jednak najgorszego: bezczynności wobec tych licznych ciosów, jakie spotykały uchodźstwo polskie w Niemczech, bezczynności w tej tragicznej sytuacji, w jakiej się ono znalazło.

Wojciech ZALESKI.

## „POLSKA WIERNA”

jest najstarszym i najpoczytniejszym  
tygodnikiem społeczno-religijnym

Polaków na Obczyźnie

Cena pojedynczego egzemplarza ..... 15 Frs.

Prenumerata kwartalna ..... 180 Frs.

Zamawiać: 263-bis, rue St-Honoré — PARIS 1<sup>er</sup>

C.C.P. 4955-03

## Archiwum polityczne

### List z wyspy

(Od londyńskiego korespondenta "Kultury")

Być może, że wielu czytelników oburzy się na tak sformułowaną tezę. Twierdzą mianowicie, że pod wpływem Związku Socjalistycznego dokonują się wielkie przemiany w anglosaskich ustrojach demokratycznych. Cechą charakterystyczną tych przemian jest ograniczenie wolności. W imię obrony własnej upodabniamy się częściowo do naszych przeciwników i przyjmujemy poniekąd wspólne zasady gry. Proces ten ledwo się rozpoczął i trudno dziś przewidzieć dokąd nas zaprowadzi.

Obserwując ten proces trudno powstrzymać się od melancholijnych refleksji. Wolność przekonań, słowa pisanego i mówionego, tolerancja dla cudzych przekonań — to są wszystko zdobycze bardzo świeżej daty. Niewiele ponad 100 lat temu prześladowanie tych, którzy nie przynależeli do klasy rządzącej było nie tylko regułą ale poniekąd funkcją każdego rządu. Członków związków zawodowych prześladowali właściciele fabryk — katolików i nie-konformistycznych protestantów prześladowano w interesie kościoła anglikańskiego zamykając im dostęp do uniwersytetów, całym warstwom społecznym odmawiano prawa głosowania itd. Pamiętajmy, że prawo głosowania robotnikom nadał dopiero Disraeli w r. 1877. W 7 lat później wyszła ustawa przyznająca prawo wyborcze wszystkim obywatelom z wyjątkiem kobiet i... służby domowej.

O demokracji w nowoczesnym tego słowa znaczeniu można mówić w Anglii dopiero od lat sześćdziesięciu kilku. Sfera wolności poszerzała się niezmiernie wolno. Lecz cóż — demokracja jak każde zjawisko socjologiczne rozwijać się może tylko w ramach pewnego układu — korzystnego układu. Jest niewątpliwie historyczną tragedią, że temu szczytowemu rozwojowi demokracji, który rozpoczął się ledwo 50 lat temu — towarzyszy upadek politycznej potęgi Zachodu i niebywały wzrost totalistycznej Eurazji. Układ radykalnie się zmienił. I należy przewi-



dywać, że wolności nie będzie przybywało. Przeciwnie, wkraczamy w okres kiedy będzie jej ubywało. Tolerancja będzie się cofać a wolność jednostki poddana zostanie coraz większym ograniczeniom.

Narzucono nam w pewnym stopniu zasady gry i jeżeli nie zastосуemy się do nich zostaniemy zgniecieni. I w tym sensie można mówić o wpływie Związku Sowieckiego na przebudowę demokracji. Sąsiadami Bloku Sowieckiego mogą być uzbrojone, wojennym prawem rządzące się państwa a nie pokojowe, tolerancyjne anty-militarystyczne demokracje.

Doskonały publicysta amerykański Alistair Cooke, który wśród licznych swoich funkcji jest również politycznym sprawozdawcą liberalnego "The Manchester Guardian" uważa za rzecz pewną uchwalenie przez Senat amerykański tzw. "Communist-Control-Bill" \*). Prez. Truman jest przeciwnikiem tej ustawy. Izba Reprezentantów natomiast uchwaliła ją fenomenalną większością 354 głosów przeciw 20. Wola ludu jest zatem za ustawą.

Ustawa nie wyjmuje komunistów spod prawa lecz przemienia ich w obywateli, którzy choć nie skazani żadnym prawomocnym wyrokiem nie korzystają z pełni swobód i praw obywatelskich. Projektowana ustawa przewiduje bowiem: 1. Urzędową rejestrację członków Partii Komunistycznej, 2. Ugrupowania wyrotowe (subversive) zobowiązane są rejestrować swoich członków, wydawnictwa i działalność (?), 3. Komunistom i "współpasażerom" władze odmówią wydawania paszportów na wyjazd zagranicę, 4. Urzędnicy państwowi winni przekazywania informacji służbowych komunistom podlegać będą karze 10 lat więzienia i grzywny w wysokości 10 tys. dolarów.

Omawiany projekt przewiduje jeszcze wiele innych zastrzeżeń i ograniczeń. — Nie wydaje mi się aby tego rodzaju ustawa była zgodna z duchem rzetelnej demokracji. Jeżeli bowiem partia komunistyczna nie jest zakazana to na jakiej podstawie komuniście amerykańskiemu, nie skazanemu wyrokiem sądu i w zgodzie z prawem (łącznie z przepisami omawianej ustawy), odmawiać się będzie np. paszportu na wyjazd zagranicę do czego ma prawo każdy obywatel?

Nie chciałbym wywoływać wrażenia, że bronię komunistów. Jestem ich wrogiem i dlatego bronię demokracji. Na Zachodzie i w St. Zjednoczonych panuje w tej sprawie rozpaczliwe zakłamanie. Nie ułatwia to rozwiązania tego problemu.

Alistair Cooke jest przeciwnikiem omawianej ustawy. Ale jego rozumowanie — jak również krytyka wielu innych angielskich i amerykańskich publicystów i polityków — wychodzi — wydaje mi się — z fałszywych założeń.

Krytycy reprezentują pogląd, że ustawa jest anty-demokra-

tyczna i anty-konstytucyjna bo usurpuje sobie prawo wyrokowania — jaka akcja i jakie ugrupowania polityczne stanowią oczywiście niebezpieczeństwo dla St. Zjednoczonych. O tym czy partia komunistyczna stanowi groźbę dla bezpieczeństwa Ameryki czy też nie — miarodajna może być tylko opinia najwyższego sądu St. Zjednoczonych. Nikt inny nie jest uprawniony do wydawania wyroku w tej sprawie.

Trudno jest odmówić logiki i słuszności tego rodzaju rozumowaniu. Jeżeli zatem rację mają krytycy ustawy — jakież jest wyjście? Czy demokracje w imię czystości ustroju i ortodoksji konstytucyjnej mają godzić się biernie na piąte kolumny, sabotaże i wywrotową antypaństwową robotę uprawianą przez partię komunistyczną.

Błąd leży w samym założeniu. Jedynym wyjściem z tego koła pół-środków byłaby deklaracja oficjalna najwyższego sądu St. Zjednoczonych stwierdzająca autorytatywnie, że przynależność do partii komunistycznej jest zdradą stanu ponieważ każdy komunistą oddaje się dobrowolnie w służbę ośrodków dyspozycyjnych obcego mocarstwa. Ugrupowanie polityczne, które wymaga od swych członków zdrady musi być wyjęte spod prawa. Gdyby w Ameryce odkryto ugrupowanie polityczne, które za cel stawiało sobie zamordowanie prezydenta Trumana — członkowie tego ugrupowania postawieni byłiby pod sąd, nawet ci, którzy nigdy w swym życiu prezydenta nie widzieli na oczy. Potępiono by jednak samą zasadę ugrupowania-spisku.

Analogiczną walkę ustrojowo-prawną z partią komunistyczną należy zacząć od potępienia zasady. Należało by stwierdzić, że w państwie demokratycznym i praworządnym nie może być miejsca dla partii politycznej, która od swych członków domaga się lojalności dla obcych ośrodków dyspozycyjnych co jest równoznaczne ze zdradą. Tylko wychodząc z tego założenia można by partię komunistyczną wyjąć spod prawa. Sprawa byłaby wówczas jasno i otwarcie postawiona.

Jakaż jest bowiem obecna sytuacja? Ustawa mówi we wstępie, że "komuniści stanowią oczywiście i doraźne niebezpieczeństwo dla Stanów Zjednoczonych". Ta sama jednak ustawa legalizuje istnienie komunistów pod warunkiem, że się... zarejestrują. W moim zrozumieniu jeżeli ktoś jest winien "doraźnej i oczywistej groźby" dla bezpieczeństwa St. Zjednoczonych — winien być postawiony przed sąd a po wyroku osadzony w więzieniu. Jeżeli natomiast, przypisując komuś zbrodnicze zamiary czy działalność, nie wdraża się przeciw niemu postępowania sądowego to jest to w pewnym sensie licencjonowaniem zbrodni.

Przemawiając w dn. 5 września w Brighton prem. Attlee oświadczył m. in.: "Komunizm jest spiskiem przeciwko wolności". Lecz spiskowcy w dalszym ciągu legalnie działają i w Anglii dziś jeszcze nikomu przez myśl nie przejdzie, że "spiskowców przeciwko wolności" w imię ratowania demokracji i wolności należało by wyjąć spod prawa.

\*) W międzyczasie ustawa, którą omawia nasz Korespondent została uchwalona przez obie Izby Kongresu. (Przyp. Red.).



W Anglii poszanowanie wolności i tolerancja są tak zakorzenione i tak cenione, że wydaje się czymś absurdalnym decyzja, która stałaby w sprzeczności z linią rozwojową demokracji brytyjskiej. Jakto — wstąpić na drogę politycznych prześladowań, wyjmować spod prawa ideowych "dysydentów"? Pamiętajmy, że "dysydent", to jest człowiek, który nie chce "się dostosować", który domaga się prawa dla swego niezależnego sumienia — jest instytucją życia angielskiego. Anglia niezmiernie wiele zawdzięcza dysydentom a Disraeli słusznie zauważył, że nikt nie może w Anglii rządzić wbrew sumieniu nie-konformistycznemu.

A jednak ośmielam się sądzić, że i w Anglii dojdzie do ograniczeń swobody "dysydentów" komunistycznych. Ciśnienie olbrzymiego bloku sowieckiego i dynamika ruchu komunistycznego wywołują drogą reakcji — stałą, choć powolną przebudowę ustrojów demokratycznych. Zmiany już osiągnięte są niekiedy zdumiewające. Przystosowujemy się do nowego układu światowego — zawsze kosztem wolności. I na to — wydaje się — nie ma rady.

Wiadomą jest rzeczą, że nauka w Sowietach poddana jest dyktatowi partii. Czy chodzi o językoznawstwo, stonkę ziemniaczaną, czy osadzanie się tłuszczu na ogonie barana — uczony sowiecki na temat tych zagadnień może pisać tylko to, co przewidziano w instrukcji partyjnej.

Ale i po tej stronie barykady musiano ograniczyć wolność nauki.

W tych dniach (pierwsza dekada września) odbywa się w Birmingham doroczny zjazd Brytyjskiego Towarzystwa dla Popierania Wiedzy. J. Bronowski, świetny brytyjski matematyk — w artykule sprawozdawczym ze zjazdu na łamach "The Observer" pisze między innymi: "Wykład Sir John Cockcroft'a zgromadził pełną salę słuchaczy — lecz nie fizyków. Przyczyną jest fakt, że eksperci atomowi zazwyczaj czytają słowo po słowie tekst uprzednio oceniany przez oficera wywiadu".

Przyzwyczajamy się do takiego stanu rzeczy. Z czasem tępieje wrażliwość. A przecież tych kilka zdań wyrwanych z angielskiego tygodnika kryje w sobie jedną z owych istotnych zmian (kosztem wolności), które przerysowują oblicze demokratycznego świata.

Trzeba odróżnić dwie rzeczy: nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie kwestionował konieczności i celowości zarządzeń, które zmierzają do ochrony wiedzy atomowej z przyczyn powszechnie znanych. Mimo to jednak, fakt ograniczenia swobody komunikowania odkryć naukowych światu, jest czymś całkowicie sprzecznym z duchem demokracji, a nakładanie kagańca naukowcom czymś bardzo policyjnie totalitarnym. Innymi słowy jesteśmy w imię obrony własnej zmuszani do ograniczania wolności czyli do odstępowania od linii rozwoju demokracji. Proces ten dopiero się rozpoczął.

Nie można być publicystą nie mając zmysłu historycznego. Można być natomiast świetnym historykiem z anty-talencem do publicystyki. Wielki Toynbee jest miernym i bezbarwnym publicystą. L. B. Namier bywa w swych publicystycznych wystąpieniach bardzo stronniczy. C. A. Manning ma skłonność do rozszczepiania włosa na dziesięć części i komplikowania każdego zagadnienia.

Te refleksje na temat historyków przysły mi na myśl gdy przeczytałem potężne mowy prem. Attlee i Churchilla, wygłoszone na pierwszej nadzwyczajnej sesji parlamentu. Obaj mówcy poruszyli głośną dziś sprawę eksportu obrabiarek angielskich do Rosji Sowieckiej. Czytając te przemówienia przyszedł mi na myśl jeszcze jeden historyk angielski A. J. P. Taylor. Autor ten swoją książkę pt. "From Napoleon to Stalin" wzbogacił kilku publicystycznymi szkicami. Interesujący jest zwłaszcza essay pt. "Sprężyny sowieckiej dyplomacji". Szkic ten kończy autor następującym wnioskiem: "Obrabiarki (machine-tools) kupią przyjaźń Sowietów na korzystnych ekonomicznych i politycznych warunkach na daleką metę (for a long time to come). Pokój i przyszłość świata prawdopodobnie zależą od tego czy ktoś posiada obrabiarki do zaferowania (Rosji) i czy będzie mu zależało na tym aby takowe zaferować". (str. 171 — 3, 4, 5 wiersz od góry).

Aby uniknąć wszelkich nieporozumień na temat opinii autora o komunizmie zacytuje wyjątek z innego szkicu Taylora, który zamyka książkę pt. "From Napoleon to Stalin". Pisząc o kongresie wrocławskim Taylor zauważa: "Julien Benda, który był sam we Wrocławiu musiał zdobyć nowe materiały do "Zdrady Intelektualistów". Owa zdrada miała charakter podwójny: zdrada komunistów, którzy gotowi są poświęcić wolność i wartości intelektualne dla zwycięstwa partii — oraz zdrada znacznie poważniejsza "współpasażerów", którzy przypuszczają, że Rosję można zjednać uprzejmymi słowami i jednostronnymi gestami dobrej woli".

A. J. P. Taylor umieszczając te dwie wypowiedzi w jednej książce najwidoczniej sądzi, że nie stoją one ze sobą w sprzeczności. I cóż dziwnego, że znalazł się kraj, "który posiadał obrabiarki i chciał je zaferować Rosji". Kraj ten poszedł nawet dalej i dopuścił do zakładów produkujących te obrabiarki inspektorów sowieckich. Anglia poszła za radą p. Taylora. Tylko zamiast obiecywanej przez wybitnego historyka "przyjaźni na korzystnych ekonomicznych i politycznych warunkach" — przyszła Korea, zwiększony budżet obronny, dwuletnia służba wojskowa i widmo trzeciej wojny światowej bliższe niż kiedykolwiek. — Historycy nie są dobrymi publicystami. Stanowczo nie!

Obiektywne światło na sprawę eksportu obrabiarek do Rosji rzuca wyjaśnienie, którego udzielił "The Manchester Guardian" dyrektor firmy Craven Brothers Ltd., p. J. R. Greenwood. Dyr.



Greenwood stwierdził, że na przestrzeni dwóch lat jego firma zwracała rządowi uwagę, iż dostarczanie Rosji obrabiarek i innych urządzeń mechanicznych zwiększających potencjał zbrojeniowy Sowietów jest szaleństwem (crazy). "Jestem zdania" — cytując dosłownie — "że nie ma bardziej ważnego strategicznie artykułu przemysłowego jak precyzyjne tokarnie do metali". Właśnie owe tokarnie stanowią jeden z głównych artykułów eksportowanych do Rosji.

Jeżeli chodzi o sprawę inspektorów sowieckich — dyr. Greenwood oświadczył, że chociaż inspektorowie ci są uprawnieni jedynie do inspekcji zamówień rosyjskich to jednak rozmiary tych zamówień sprawiają, iż nie ma możliwości wydzielenia zamówionych artykułów będących w produkcji. W rezultacie rosyjscy inspektorowie mają w praktyce sposobność podpatrzenia znacznie więcej. Jedyną drogą do zapewnienia tajemnicy i bezpieczeństwa — zdaniem dyr. Greenwooda — jest nie dopuszczanie obcych inspektorów do brytyjskich zakładów przemysłowych.

Polskiemu czytelnikowi nie ma potrzeby wyjaśniać, że eksportowanie do Rosji obrabiarek i precyzyjnych narzędzi, które umożliwiają produkcję czołgów, samolotów itd. — jest nonsensem. Zagadnienie będzie znacznie bardziej interesujące gdy sformułujemy je inaczej: dlaczego polityka angielska nie widzi w tym nonsensu?

Nie ulega wątpliwości, że eksport ten zostanie w najbliższym czasie zahamowany a w każdym razie bardzo ograniczony. Lecz nie ulega również wątpliwości, że Anglicy odczują to jako zjawisko należące do tego samego typu ograniczeń wolności o jakich była mowa w pierwszej części tej korespondencji. Demokracje przerysowują swe oblicze by dostosować się do ponurej panoramy współczesnego świata. Dojdzie nawet do tego, że z jedną szóstą tegoż świata nie będzie można... handlować. I dopiero to będzie prawdziwym nonsensem...

Gdy nadeszła wiadomość o zwycięstwie pod Waterloo, Robert Owen wypowiedział następującą uwagę: "W dniu podpisania pokoju umrze ów wielki odbiorca i konsument — wojna".

Żołnierze Napoleona maszerowali w angielskich butach a wspaniałe płaszcze kawaleryjskie gwardii bywały "made in England". Napoleon nazywał Anglików "narodem sklepikarzy". Anglicy sparafrazowali dumnie to określenie: "Anglia jest warsztatem i dostawcą świata".

Tak było od niepamiętnych czasów na tej wyspie i nikt temu się nie dziwił. Epoka stanu średniego, brytyjskiej "Middle Class", która rozpoczęła się po Waterloo — wyposażyła tę metodę handlu w teorię ekonomiczną, w doświadczenie pokoleń i w głęboko zakorzoną tradycję. Trzeba powiedzieć, że metoda handlowania ze wszystkimi przynosiła świetne rezultaty. Anglia była naprawdę warsztatem świata a Londyn światowym bankiem.

To co kontynentalnemu obserwatorowi wydaje się paradoksalne — Anglikom wydaje się proste, naturalne i zgodne z tra-

dycją. Weźmy następującą ilustrację: o ile w ostatnich dwóch latach polityczne stosunki między Anglią a Rosją i jej satelitami wydatnie się pogorszyły — o tyle odwrotnie wymiana towarowa pomiędzy Anglią a blokiem Sowieckim właśnie w ostatnich dwóch latach wydatnie wzrosła.

Jak podaje "The Observer" bezpośredni eksport Wielkiej Brytanii do Rosji i krajów satelickich wzrósł z £ 21.400.000 w roku 1948 do £ 29.200.000 w r. 1949. A więc mamy wzrost o niemal 10 milionów. Jeszcze bardziej paradoksalnie (dla kontynentalnie myślącego obserwatora) kształtuje się sytuacja na Malajach. Anglicy z jednej strony prowadzą tam żmudną i kosztowną wojnę z popieranymi przez Rosję komunistami z drugiej zaś strony teje Rosji sprzedają malajski kauczuk. Jak podaje "Financial Times" Rosja importowała z Malajów w r. 1949 — 105.000 ton kauczuku. O gwałtownym wzroście jej zapotrzebowania na ten artykuł świadczy fakt, że w r. 1946 import kauczuku wyrażał się cyfrą zaledwie 9.500 ton. W ostatnich dwóch latach wzrósł zatem przeszło 10-krotnie. A wojna z malajskimi komunistami idzie swoim porządkiem...

Lecz zbliża się temu wszystkim koniec. Jak słusznie zauważył w swym przemówieniu z 10 września prez. Truman tradycyjną zasadą "Business as usual" trzeba zawiesić na kołku. "Usual" dziś już nie wystarczy.

Zamiast "Business as usual" będzie kontrola, wykazy "priority", podatki i podatki. Sfera wolności kupca kurczy się z miesiąca na miesiąc a światowa wymiana towarowa daży wolno do podziału hermetycznego na "zachód" i "wschód". Oka "żelaznej kurtyny" będą się coraz bardziej zacieśniać. Jeżeli chodzi o Anglię to całkowite zerwanie stosunków handlowych z blokiem rosyjskim pociągnęłoby za sobą niezmiernie daleko idące konsekwencje gospodarcze (zboże, drzewo).

Jesteśmy świadkami potężnych przemian i przeobrażeń w strukturze państw demokratycznych. I, co jest charakterystyczne, zmiany te nie są wynikiem rewolucji socjalnej czy oznaką zwycięstwa programu politycznego jakiejś radykalnej partii — lecz większość ich wywodzi się z niebezpieczeństwa, ze stanu zagrożenia jakim dla wolnego świata jest Związek Sowiecki.

Czytelnik w tym miejscu może zauważyć, że ostatecznie i w czasie ubiegłej wojny istniało szereg ograniczeń, kontroli, racjonowań itp., a sfera wolności obywatela zredukowana była niemal do minimum. Tak to prawda. Ale jak długo trwa wojna, każdą zmianę można określić terminem "na czas wojny". Każde ograniczenie — jak długo trwa walka — można usprawiedliwić celem naczelnym tj. zwycięstwem. Znużonemu obywatelowi mówi się wówczas: jeszcze rok, jeszcze dwa — wygramy wojnę i wraz ze zwycięstwem wróci zasada "Business as usual" i ogólna pomyślność.

Lecz dziś?

Czy przemiany, kontrola, ograniczenia wolności, ciężary itp.



mają charakter przejściowy? Dokonuje się ich w czasie pokoju a nie w czasie wojny trudno więc określić obecne przemiany "wojennymi" czy "na czas wojny". Żaden z współczesnych mężów stanu nie podaje nawet w przybliżeniu jakiegoś terminu, kiedy "rewolucja" ta miałaby być odwołana i sprowadzona do dawnej zasady "Business as usual". Wystartowaliśmy w nieznanne. W tym samym dniu, w którym przemawiał prez. Truman, Sekretarz Stanu Acheson w czasie konferencji prasowej oświadczył, że pokój i stabilizacja mogą być zapewnione wtedy, gdy obie strony będą mogły rozmawiać ze sobą jak równy z równym w sensie militarnym.

Z tego dziwnego oświadczenia można wysnuć kilka wniosków. Po pierwsze, zapas bomb atomowych najwidoczniej (i wbrew zapewnieniom Churchilla) nie daje Stanom Zjednoczonym poczucia przewagi zbrojnej nad Rosją. Po drugie należało by zapytać jakimi kategoriami winno się mierzyć "równość" zbrojeń. Gotowość do wojny jest pojęciem niezmiernie szerokim, obejmującym nie tylko statystyki czołgów i samolotów lecz również momenty psychologiczne — od talentu wodzów zaczawszy a na nastrojach społeczeństwa skończywszy. Po trzecie, na czym opiera się nadzieja, że Sowiety zechcą rozmawiać z Zachodem gdy tenże Zachód będzie uważał się za równego Sowiетom w sensie uzbrojeń i potencjału wojennego? Z nieodpartą logiką nasuwać się musi każdemu przypuszczenie, że gdyby Sowiety pragnęły rozmów i stabilizacji, nie czekałyby aż Ameryka się dozbroi — lecz z tą inicjatywą wystąpiłyby obecnie licząc (i słusznie), że dziś pozycja ich przy stole obrad byłaby mocniejsza.

Mimo to zarówno w Waszyngtonie jak i w Londynie proklamowano, że celem polityki anglosaskiej jest stworzenie zbrojeniowego "balance of power" między blokiem sowieckim a światem anglo-amerykańskim. W praktyce będzie to oznaczało wyścig zbrojeń co po tej stronie "żelaznej kurtyny" pociągnie za sobą dalsze grzebanie zasady "Business as usual", kontrolę i jeszcze raz kontrolę. Przemówienie brytyjskiego ministra gospodarki Gaitskell'a w czasie nadzwyczajnej sesji parlamentu, w ramach wielkiej debaty zbrojeniowej nie pozostawia pod tym względem żadnych wątpliwości. Gdzież jest kres tej wędrówki?

Jeżeli odrzuca się ideę wojny prewencyjnej — tj. wojny w terminie wybranym przez St. Zjednoczone — może się zdarzyć, że stan obecny Rosja przedłużać będzie latami. Do wyścigu zbrojeniowego, do tzw. totalnego wysiłku produkcyjnego, do kontroli, do podporządkowywania wszystkich i wszystkiego przemysłowi zbrojeniowemu — państwo sowieckie nadaje się niepomierne lepiej niż zachodnie demokracje. I wówczas przyjdzie nam stwierdzić, że ów proces przemian, który dziś się rozpoczął — oznacza w istocie, iż w świecie terroryzowanym przez Sowiety nie ma już warunków koniecznych dla istnienia demokracji. O te warunki trzeba będzie po prostu walczyć.

Juliusz MIEROSZEWSKI

## Kronika emigracyjna

### Niemcy

#### Pod znakiem odpływu.

Z milionowej rzeszy Polaków, jaka znalazła się na terenie trzech stref okupacyjnych Niemiec Zachodnich pozostanie 50 tysięcy, może 40, a może jeszcze mniej. Fala odpływu trwa i zakończy się dopiero gdzieś w zimie 1951 - 1952. Ci, którzy nie przeżyli okresu ostatnich lat w Niemczech nie mogą sobie wyobrazić, jak wygląda życie w atmosferze ciągłego wyjeżdżania. Przypominam sobie, że pierwsze kwestionariusze emigracyjne UNRRY wypełniałem już przed pięciu laty. Głównym przedmiotem zainteresowania każdego prawie Polaka w Niemczech była od pięciu lat emigracja, a każda działalność nosiła charakter tymczasowy, względnie podejmowana była z punktu widzenia emigracji.

Dopóki emigracja nie ruszyła szerszą falą tak zwani działacze społeczni byli częściowo tylko obecni w zarządach różnych organizacji, gdyż myśli ich były przeważnie gdzie indziej. Obecnie są już w ogóle nieobecni.

#### Szłydy nad pustymi sklepami.

Udział w pracy społecznej miał początkowo tę dobrą stronę, że przeważnie ułatwiał życie. Bez względu na to, jak się dana organizacja nazywała i jakie cele miała według statutu, istotną częścią jej działalności było rozprowadzanie papierosów, otrzymywanych w formie pomocy z Londynu. Szłydy organizacji brzmiały bardzo rozmaicie i żaden z nich oczywiście o sprzedaży papierosów nie mówił, ale prawdę powiedziawszy były to często zwyczajne sklepy z papierosami. Obecnie w sklepach jest pusto. Nie ma ani towarów, ani nawet personelu, który wyjechał na emigrację. Pozostały szłydy, a prócz nich niewiele.

Nie piszę tego wcale w nagłym przystępie rozgoryczenia i krytycyzmu. Trzeba zrozumieć, że w warunkach niemieckich nawet ludzie o najlepszej woli nie mogli wzbudzić w sobie zapału do trwałego wysiłku organizacyjnego, a wobec tego, że w przeciwieństwie do ośrodka londyńskiego byli to ludzie wygłodzeni w dosłownym znaczeniu tego słowa, zainteresowania ich musiały się skupić dookoła dwu problemów: emigracji i dystrybucji.

#### Trzy państwa w jednym.

Dla zrozumienia zagadnień organizacji uchodźstwa wojennego w Niemczech trzeba pamiętać jeszcze o jednym. W każdej strefie oku-



pacyjnej Niemiec wszystko wygląda zupełnie inaczej. Ludzie, mieszkający w obozach są obywatelami IRO, gdyż podlegają wzgl. podlegali do niedawna głównie władzom irowskim. W strefie amerykańskiej jedynie tylko w razie popełnienia przestępstwa i to poważniejszego, stawało się przed sądami amerykańskimi, które zresztą robiły wszystko, by zniechęcić ludzi do występowania z drobiazgami. Niemcy mogli występować do sądów amerykańskich z oskarżeniem przeciw dipisom, a poza tym nie mieli żadnych kompetencji wobec eksterytorialnych obozów wysiedleńców. Istotną władzą dla dipisów była UNRRA a potem IRO. W innych strefach podział kompetencji był nieco odmienny, gdyż Anglicy i Francuzi wzięli IRO pod ścisłą kuratelę.

Formy współdziałania czynników polskich z władzami IRO, czy też okupacyjnymi były w każdej strefie inne i dlatego też inne musiały być formy organizacyjne polskie.

W strefie francuskiej ustanowiono między władzami francuskimi a uchodźcami łączników, którzy są urzędnikami doradczymi wydziału dla spraw wysiedleńców ("PDR"). Wydawałoby się, że to rozwiązanie pozbawia wysiedleńców głosu, ale w praktyce jest zupełnie inaczej: Francuzi najwięcej liczą się z głosem samych wysiedleńców, a główny mąż zaufania wszystkich wysiedleńców (nie tylko polskich) jest zarazem prezesem Zjednoczenia Polskiego. — Anglicy powołali sami w drodze nominacji komitety doradcze, które zwołują kiedy chcą. IRO w strefie amerykańskiej uznaje organizacje narodowe i wysłuchuje dezyderatów łączników przez te organizacje ustanowionych, ale trudno powiedzieć, by się z nimi liczyło.

Ponieważ jeszcze IRO nie ma organizacji ogólnoniemieckiej, a tylko organizacje strefowe, podlegające wprost Genewie, nie było do niedawna powodów zmuszających do tworzenia reprezentacji uchodźców o charakterze ogólnoniemieckim. Reprezentacja ta w postaci Zjednoczenia Polskiego w Niemczech istniała, ale miała w praktyce do czynienia tylko z problemami strefowymi, a nigdy z problemami ogólnoniemieckimi.

### Nowe zadania.

Obecnie, kiedy wiadomo, że podziały strefowe tracą swe znaczenie, a pozostaną aktualne podziały na kraje, powstanie konieczność jakiejś reprezentacji przy rządzie związkowym w Bonn. Jest rzeczą jasną, że reprezentacja ta powinna występować przez organizację wszystkich wysiedleńców, a nie samodzielnie i sprawy obrony interesów pozostających w Niemczech nie mogą być łączone ze sprawą stosunków polsko-niemieckich. Dlatego jest potrzebna organizacja ogólnopolska w Niemczech, ale powstanie jej napotyka na ogromne trudności.

Dotychczas Zjednoczenie Polskie opierało się na systemie delegatów wybieranych w wyborach obozowych, oraz reprezentacji organizacji społecznych. Wybory były trochę fikcyjne, a większość organizacji społecznych, które miały prawo głosu na Zjazdach Zjednoczeń, to już tylko szyldy. W strefie brytyjskiej, gdzie przez jakiś czas istniały aż dwa "Zjednoczenia" nie ma faktycznie żadnego. Konieczność reorganizacji rozumieją wszyscy i komisja złożona z przedstawicieli wszystkich kierunków politycznych opracowała nawet statut nowej organizacji, opierającej się na jedynej możliwej podstawie członkostwa indywidualnego, ale dalej sprawa nie ruszyła z powodu jakichś niesłychanie zawiłych gier między przedstawicielami różnych partii.

Obecnie więc sytuacja wygląda tak, że nadal są tylko organizacje strefowe. De facto strefową organizacją jest Zjednoczenie Polskie w Niemczech z siedzibą w Ludwigsburgu, posiadające czynny sekretariat i prezydium oraz rozbity organizację na dole wskutek wielkiego przetrucania obozów. Ze "Zrzeszeń", czyli krajowych ośrodków "Zjednoczenia" istnieje południowo-bawarskie, znajdujące się w ciągłej wojnie z centralą. Zupełnie odrębną pozycję stanowi Fundusz Społeczny Oddziałów Wartowniczych, trzymający się celowo z daleka od organi-

zacji, ale dźwigający na sobie ogromny ciężar dobrowolnie na siebie wzięty, pomocy dla szkolnictwa, kształcącej się młodzieży akademickiej, chorych itd.

W strefie brytyjskiej są dwie "potęgi": SPK i Towarzystwo Pomocy Polakom. SPK zawdzięcza swą żywotność ocaleniu funduszów przy reformie walutowej oraz oparciu się o licznych czynnych członków w szeregach CMLO, to jest formacji wartowniczej przy armii angielskiej. Towarzystwo Pomocy Polakom jest potęgą finansową, z powodów, których nie będę tłumaczył, gdyż Polakom w Niemczech są znane, a Polacy poza Niemcami nie zrozumieli ich. Organizacje te prowadzą ze sobą zażartą walkę oraz wydają wspólny organ prasowy, nawiązujący do jedności narodowej. Na tym przykładzie widać, jak trudne jest zadanie wyjaśnienia stosunków, panujących w Niemczech.

### A w dołach . . .

Masa uchodźców w obozach przeważnie słabo się orientuje w sensie walk organizacyjnych, rozgrywających się u góry i jest wobec nich obojętna. Masa ta składa się z ludzi, którzy z jakichkolwiek powodów nie mogli wyemigrować. Możemy wśród nich rozróżnić następujące grupy:

- 1) Chorzy wraz z rodzinami, inwalidzi.
  - 2) Odrzuceni przez komisje emigracyjne z powodu przekroczenia granicy wieku, z powodu zbyt wielkiej liczby dzieci (niezależnie matki) itp.
  - 3) Tacy, którzy nie rozwinęli dostatecznej energii przy zabiegach o emigrację, bądź z powodu nieporadności, bądź z powodu tego, że przywykli do beczynnego życia obozowego i nie chce się im.
  - 4) Karani sądowo.
  - 5) Ożenieni z Niemkami (wyjście Polki za mąż za Niemca należy do bardzo rzadkich wyjątków). Małżeństw mieszanych polsko-niemieckich jest więcej, niż amerykańsko-niemieckich.
- Bez wielkiego wysiłku organizacyjnego w zakresie szkolnictwa, opieki społecznej itd. dołom grozi szybkie wchłonięcie przez Niemców z chwilą rozwiązania obozów. Jest rzeczą niezwykle zmienną, że dzieci z małżeństw polsko-niemieckich nowych emigrantów mówią po niemiecku, natomiast bardzo często dzieci z małżeństw mieszanych starych emigrantów, zwanych popularnie "Westfalakami", mówią po polsku.

### D.P. Campy a "Hostele"

Czytając w "Kulturze" relacje urodzonego pesymisty W. A. Zbyśzewskego o życiu w hostelach angielskich doszedłem do wniosku, że życie to jest po prostu idealne w porównaniu z tym, co widzi się w "D.P. Campach". Zwłaszcza jeśli idzie o alkohol i — kodeks seksualny. Matki z czworgiem dzieci, z których każde ma innego ojca, nie należą do wyjątków. Rzadko kiedy ojcowie, którzy albo wyemigrowali, albo wyjechali do Polski, poczuwają się do jakichś obowiązków.

Mój znajomy nauczyciel gimnazjum opowiadał mi, że uczennice skarżyły mu się na trudność pracy w salach koszarowych, w których ich rodziny dzieliły mieszkanie z innymi. Podczas odrabiania zadań szkolnych za zasłoną z koców odbywały się orgie nie tylko pijackie. Wydaje mi się, że praca pedagogiczna jest w tych warunkach nieco trudniejsza niż w szkołach, do których uczęszczają dzieci polskie w Anglii.

Istnieje tragiczna dysproporcja między zadaniami, jakie byłyby do wykonania, a siłami ludzi, którzy ich wykonania podjąć by się mogli.

Od tych twierdzeń zacząć trzeba prowadzenie kroniki uchodźstwa polskiego w Niemczech, bo bez znajomości podstawowych faktów, dotychczas przeważnie przemilczanych, nikt nie zrozumie tego, co się tu dzieje i tego co się będzie działo.



## Najnowsza historia Polski

### Początki konspiracji na Wołyniu

Myśl o założeniu organizacji konspiracyjnej na Wołyniu powstała jeszcze przed 17 września, tj. przed wtargnięciem wojsk ZSSR w granice RP. Asumpt do tego dał fakt, że niektórzy działacze ludowi, którzy przed Niemcami i na skutek apelu radiowego opuścili Warszawę, a w dniach pobytu członków rządu RP na terenie Wołynia (Łuck, Krzemieniec, Równe; p. Prezydent RP przebywał wtedy w Otyce) zamyślali o powrocie do Warszawy i pomysł ten powoli w czyn wprowadzali. Prócz tego konkretnie wysunięto tę myśl na zebraniu Związku Legionistów i Peowiaków w Równem w dniu 17 września, w chwili, gdy oddziały armii sowieckiej wkraczały do miasta. Jako prezes ówczesny Zw. Leg. w Równem, poinformowałem członków, że na razie nie tworzymy organizacji w pełnym tego słowa znaczeniu, ale proszę członków, by mi dawali znać o każdym pociągnięciu władz okupacyjnych. Niezależnie od tego dałem polecenie członkom Zw. Leg. i zarazem Zw. Osadników, którzy mieli pieczę nad magazynami zbożowymi, by rozdawali biednym ludziom, bez względu na wyznanie i narodowość, mąkę i kaszę, zaś od najmniejszych pobierali pieniądze. Odpowiednie kwitariusze były prowadzone. Z chwilą wkroczenia oddziałów armii sowieckiej i zajęcia przez nich koszar, władze sowieckie poleciły rodzinom wojskowym, zwłaszcza oficerskim, natychmiastowe opuszczenie mieszkań w koszarach, nie pozwalając na zabieranie rzeczy, zwłaszcza mebli. Siłą faktu zajęliśmy się specjalnie udzielaniem pomocy wspomnianym rodzinom. Pomoc ta przejawiała się w dostarczaniu im mąki i kasz bezpłatnie, w wyszukiwaniu odpowiednich mieszkań itp. Mimo namowy przewodniczącego Rady Miejskiej p. Szemplińskiego, nie zdecydowałem się na zgłoszenie się u władz sowieckich jako prezes Zw. Leg. Jako b. prezes Wołyńskiego Okręgu Nauczycielstwa Polskiego, chciałem uratować cenną bibliotekę tego Związku i część aktów, dotyczących Rocznika Wołyńskiego, który z ramienia wspomnianego Związku redagowałem. Część książek umieściłem w bibliotece pedagogicznej Kuratorium Szkolnego, część zaś przeniósłem do swego mieszkania, sądząc w swej naiwności, że mieszkania pry-

watne i tego rodzaju prywatna własność będą dostateczną rekojmią dla tych skarbów.

Z końcem września i w połowie października zaczął się napływ osadników do miast ze wsi. Komitety Wiejskie, organizowane przez władze sowieckie, nakazywały osadnikom wojskowym opuszczenie dotychczasowych mieszkań, pozwalały na zabieranie części majątku ruchomego, zabierały zaś zabierania inwentarza tak żywego jak i martwego oraz umeblowania. Na ogół "przeprowadzka" osadników ze wsi do miast odbywała się spokojnie, bez żadnych ekscesów. Tu i ówdzie, na tle porachunków osobistych, dochodziło do przykrych "rozrachunków", ale nie spotykano się z zabójstwem ani silniejszymi aktami terroru.

W miastach powoli przechodziło wszystko pod zarząd sowieckich władz. Sklepy zostały upaństwowione, tak samo apteki i wszystkie przedsiębiorstwa. Przy tej okazji masę towarów i produktów wywożono w głąb Rosji. Chodząc po straganach, często słyszałem od przekupek żydowskich, że jaka tam musi być bieda i nędza w Sowietach, kiedy oni wywożą autami do Rosji nawet garnki gliniane, łopaty i łyżki drewniane.

Szkolnictwo zostało zreorganizowane. Przede wszystkim wydzielono uczniów według narodowości i stworzono szkoły narodowościowe: polską, ukraińską, rosyjską i żydowskie. Zlikwidowano zupełnie hebrajskie gimnazjum "Tarbut", wcielając do dawnego prywatnego gimnazjum żydowskiego "z polskim językiem nauczania", zamieniając język wykładowy na żydowski (żargon). Nadawano ton ukraiński wszystkiemu, ale niejednokrotnie, jak mówili świadomi narodowcy ukraińscy, "kacapskie" sztydło wyłaziło. I tak we wszystkich szkołach obowiązywał jako przedmiot język ukraiński i jednocześnie rosyjski. W szkołach polskich język rosyjski obowiązywał od klasy trzeciej (nowego typu dziesięciolatki) z tym, że w każdej klasie następnej ilość godzin tego języka wzrastała kosztem godzin języka polskiego tak, że w klasie dziesiątej było już 6 godzin tygodniowo języka rosyjskiego, a tylko dwie polskiego. Nauczyciele pozostawali na razie na swych stanowiskach, ale później przysyłano "instruktorów" pedagogicznych. Już w ciągu grudnia wprowadzono nowe programy szkolne. Związek nauczycielski objął niejaki Paweł Hoffman, przybyły z Warszawy, co ogromnie komplikowało sprawę i doprowadzało do nieporozumień, gdyż nazwisko było identyczne z moim (nie jest to żaden mój krewny). Zaczęła się mania wyborów: do profsojuzów, a te wybierały przedstawicieli swych do gorodzkiej hołowy (rada miejska), a później te osławione wybory do sejm u Lwowie, który rzekomo imieniem całej ludności oświadczył się za przyłączeniem tych ziem do Ukraińskiej Sowieckiej Republiki.

Zaraz na drugi dzień po wtargnięciu wojsk sowieckich rozpoczęły się aresztowania. Naturalnie liczyłem się z tym i spodziewałem się także aresztowania, tym bardziej, że aresztowano już b. posła na sejm p. Smoczkiewicza. Skala aresztowań była wielka i taka, że nie można się było zorientować, kogo w pierwszym rzędzie ten zaszczyt spotka. Później dopiero powiedzieli mi niektórzy biedni Żydzi i Ukraińcy z okolicznych wsi, że ich wypytywano o mnie, że badano jaki był mój stosunek do biedy tej, czy mam długi jakieś itp. Specjalnie wypytywano o mnie komunizujących robotników polskich na Cegielni, a nawet, jak



się okazało, w Janowej Dolinie. Biedota ta, bez względu na narodowość, oświadczyła, że byłam sprawiedliwy i że b. często broniłem ich spraw wobec władz miejscowych, co spowodowało, że mnie na razie nie aresztowano.

W ciągu listopada musieliśmy się zająć ułatwianiem przemieszczania ludzi, zwłaszcza pań, żon wyższych oficerów garnizonu rówieńskiego za Bug. Ustaliliśmy dwie drogi: jedną przez Bug w okolicy Włodzimierza-Uściługa, drugą przez Białystok-Łapy. Jeden tylko wypadek przerzutu p. pułkownikowej X nie udał się, gdyż przewodnik w Białymstoku obrabował tę panią i porzucił ją nad samą granicą. Naprawił to jeden z członków Zw. Leg., osadnik wojskowy, Żyd, Osias Biedermajer; udał się osobiście do Białegostoku, przeprowadził tę panią przez granicę i dostarczył jej pieniędzy.

Na miejscu pozostały nieruszone polskie stare wsie. Tam nie kazano ludziom się przenosić, ale powoli zaczęto poprzez szkołę infiltrować hasła "socjalistyczne". Na razie pozostawiono własność prywatną i nie zmuszano do przejścia na kołchozy.

Czechów pozostawiono w koloniach czeskich na miejscu. Niemców natomiast zarejestrowano i tych miano wywieźć za Bug. Okazało się jednak, że i nieznaczna część Polaków zgłosiła się jako Niemcy; sami zgłosili się do rejestracji, chcąc w ten sposób wyrwać się za Bug. Między innymi był i jeden lekarz wojskowy z rodziną, który powołał się na to, iż przed pierwszą wojną europejską był obywatelem niemieckim. Widziałem z końcem listopada, czy też z początkiem grudnia, rano, Niemców ze wsi niemieckich, aż spod Korca, jak pędzili swoje furki z dobytkiem (wolno im było zabrać tylko 50 kg żywności i nic więcej), a śnieg padał i było już tegie zimno.

Bardziej skomplikowana była sprawa ukraińska i stanowisko Ukraińców wobec okupacji sowieckiej. Ukraińcy UON-wcy spod znaku Bandery oglądali się na Niemców i liczyli, że od nich uzyskają wolność narodową. Stąd też wielu działaczy ukraińskich spod tego znaku szybko opuściło Wołyń udając się za Bug. Pogłoski o tworzeniu się oddziałów ukraińskiej armii pod okupacją niemiecką spowodowały, że szereg młodych Ukraińców udało się za Bug. M. in. udał się tam dawny mój uczeń Wasia S. Po trzech tygodniach powrócił i zgłosił się do mnie, mówiąc, że miałem rację, dowodząc mu przed podróżą, że nie ma tam czego szukać, gdyż w interesie Niemców hitlerowskich nie leży budowanie państwa ukraińskiego. Powiedział mi, że Ukraińcy tam kłócą się między sobą, że jest tam co prawda jakaś formacja wojskowa, niby ukraińska, ale wielu oficerów mówi tam tylko po niemiecku, wobec czego zdecydował się powrócić do domu. Potwierdziła mi to także jedna z pań, Polka, która przyjechała z Zakopanem, mówiąc, że w Zakopanem, Krakowie i Tarnowie spotkała oficerów z odznakami ukraińskimi, mówiących tylko po niemiecku.

Ukraińcy, których nazwę propolskimi, z b. posłami na czele, w przeważnej części poszli za Bug. M. in. b. poseł Stefan Skrypnik, został później biskupem prawosławnym, a obecnie jest głową kościoła prawosławnego w Kanadzie.

Część Ukraińców od razu zawiodła się zupełnie na bolszewikach, początkowo głoszących hasła narodowe ukraińskie. I tak we wsi Zdołbicy (był tam wspaniały chór, który nawet w 1928

r. występował na PWK w Poznaniu) ludność, a zwłaszcza młodzież, wyszła na spotkanie wojsk sowieckich gromadnie z narodowymi praporami żółto-niebieskimi. Zbudowali bramę triumfalną, opatrzoną flagami żółto-niebieskimi. Dowódca kawalerii sowieckiej wysłuchał spokojnie powitalnego przemówienia, a następnie porwał flagę żółto-niebieską, rzucił ją pod kopyta końskie i stratował. Powiedział tej młodzieży, że tu przyszły władze sowieckie, a nie żadne ukraińskie, że jest tylko naród sowiecki i że oni powinni zapomnieć o jakichś ukraińskich zachciankach, że się skończyła "pańska Polska" i inne porządki teraz nastaną. Zraziło to sporą część społeczeństwa ukraińskiego do władz sowieckich. Gorzej jeszcze poszło na biednej wsi ukraińskiej. O ile początkowo można było mówić nawet o chętnym przyjęciu bolszewików, to po zapoznaniu się z nędzą sowieckiego żołnierza nastąpiło pogardliwe ustosunkowanie się do władz sowieckich tym bardziej, że wkrótce zaczęło brakować soli, nafty, zapalek itp. najpotrzebniejszych artykułów. We wsiach pogranicznych, władze zarządziły wzajemne odwiedziny młodzieży sowieckiej i obywateli polskich. Najpierw przybyła młodzież sowiecka do kilku wsi w okolicy Korca i Hoszczy. Z miejsca nastąpiło rozczarowanie. Zamiast zająć się "pracą" kulturalno-oświatową, młode sowietki zaczęły oglądać i zachwycać się strojami i wyszywaniem dziewcząt ukraińskich, obywaterek polskich. Dziewczeta ukraińskie, obywatelki polskie, nie chciały na zabawie tej tańczyć z chłopcami sowieckimi, gdyż ci mieli paskudne ubrania, natomiast chłopcy ze strony polskiej mieli niesłychane powodzenie u dziewcząt ze strony sowieckiej. Z wymiany zrezygnowano. Już w grudniu zorganizowany chaos administracji sowieckiej tak zniechęcił chłopą ukraińskiego, że jedna z nauczycielek, Ukrainka, będąca w Równem na kursie pedagogicznym z płaczem powiedziała nauczycielce Polce, że tego, czego Polska nie potrafiła zrobić w ciągu 20 lat, to zrobili bolszewicy w ciągu 3 miesięcy, to jest jak się ona wyraziła "opolać" chłopów. Z biegiem czasu, niechęć wsi do sowieckich władz i ich poczynania wzrastała, ale niestety skutek agitacji UON-owców i braku przeciwstawienia ze strony polskiej (brak elementu polskiego po wsiach) wzrastały sympatie proniemieckie tak dalece, że w 1941 r. na wiosnę Fr. pisał mi, że wieś ukraińska oczekuje zmiany stosunków przez hitlerowców.

Społeczeństwo żydowskie: o ile początkowo biedota oczekiwała jakichś nadzwyczajnych rzeczy i poprawy bytu od bolszewików, wkrótce zniechęciła ich. Jednostki dostały pracę w urzędach, ale większość biedoty wpadała w gorszą nędzę. Pamiętam, gdy z polecenia władz szkolnych chodziłem po domach rejestrować ilość i wiek dzieci, wielu Żydów i Żydówek narzekało, co to teraz będzie. Gdy w jednym domu chciałem ich uspokoić, że przecież "oni" będą się opiekowali biedotą, odpowiedział mi Żyd: "jak pan był kierownikiem, jedno moje dziecko dostało płaszcz, dziewczynka sukienkę i drugi chłopiec buty. Co "oni" mogą dać, jak sami nic nie mają, czy pan nie widzi, jak oni wszystko kupują, co tylko widzą". W innym miejscu, na moje uwagi, że przecież mąż pracuje w milicji, więc będzie lepiej, odpowiedziała mi Żydówka: "on w milicji ma taki drag (mowa o karabinie) i myśli, że się go ktoś boi. Jak był krawcem, dawniej więcej zarabiał". Bogatsi, właściciele sklepów, domów, naturalnie



z niechęcią i niewiarą odnosili się do nowych władz. Jak wszędzie i tu były wyjątki. Działacze sjonistyczni powynosili się z Równego do Lwowa. Masa żydowskich uciekinierów, przybyłych z zachodniej części Polski do Równego, zapisała się dobrowolnie na pracę w głębi Rosji i wyjechała transportami, dobrze na drogę zaopatrzona. Później pisywali bardzo smętne listy do znajomych w Równem.

W połowie października przyszedł pewnego wieczora w obdarty mundurze wojskowym Zygmunt Rumel.<sup>1)</sup> Uciekł z niewoli bolszewickiej. Ubrałem go i następnego dnia odbyliśmy z nim i panem A. większą naradę. Z narady tej wynikło, że należy dążyć do odtworzenia Związku Młodzieży Wiejskiej i na tej organizacji oprzeć się. Dochodziły nas już słuchy, że we Lwowie tworzy się jakaś organizacja tajna wojskowa, coś w rodzaju POW, ale orzekliśmy, że to nie ma w warunkach wołyńskich najmniejszego sensu, przynajmniej na razie.

Przed wszystkim chodziło o odnalezienie szeregu ludzi. Między innymi powiedziałem, że należy ustalić co się stało z Barbarą Poniatowską<sup>2)</sup> i z innymi osobami z tak zw. grupy krzemienieckiej. O Barbarze doszły mnie niepokojące wieści jakoby została zamordowana przez niemieckich kolonistów. Należało to ustalić. Wobec powyższego ustaliliśmy: Z. Rumel miał się udać w stronę Sarn i Kowla. Miał za zadanie odszukanie Barbary, oraz stwierdzenie, jakie są nastroje u członków Związku Młodzieży Wiejskiej, przede wszystkim Polaków, a poprzez nich we wsiach mieszkanych u członków narodowości ukraińskiej. Jednocześnie miałem wysłać kogoś do Warszawy, by stamtąd odebrać instrukcje. Do Warszawy udał się pan B. Dałem mu sporo różnych adresów, by mu łatwiej było dostać się do odpowiednich czynników. Pan B. przeszedł szczęśliwie granicę, dał o tym znać, ale żadnych więcej wiadomości nie przysłał.

Rumel udał się w stronę sadyby państwa Poniatowskich. Powrócił po jakichś dwu tygodniach z następującą relacją: Barbara wyjechała pewnego dnia wózkami zaprzężonym w siwka w stronę Kowla, gdyż sąsiedzi, osadnicy niemieccy, stali się nazbyt agresywni. Rumel poszedł w stronę Kowla. Dowiedział się, że pewnego dnia znaleziono na drodze pod Gródkiem (koło Maniewicz) rozbity wózek i zabitego siwka. O samej Barbarze ani śladu. Byliśmy przekonani, że ją zamordowano. Bardzo żałowaliśmy tej dziewczyny. Ponieważ od pana B. nie było żadnych informacji, postanowiliśmy wysłać Rumla do Warszawy.

W połowie mniej więcej listopada przybył do Równego pan Z. z Warszawy jako wysłannik pana J. Pan Z. miał za zadanie zorientowanie się w nowej sytuacji na Wołyniu oraz poczynienie starań w celu powołania do życia Związku Młodzieży Wiejskiej. W naradzie z nim brał udział pan A.; w wyniku narady, na zapytanie pana Z. odpowiedzieliśmy, że uważamy na razie za niewskazane tworzenie organizacji bojowej na Wołyniu, ponieważ Polacy ze wsi przenoszą się do miast, zatem wieś jest ogłoconą z Polaków, miasto w pewnym sensie Polakami przepelnione, a Ukraińcy pod względem politycznym otrzymali tak dużo, że my nie możemy pod tym względem konkurować z bolsze-

wikami, gdyż nie możemy ich w obietnicach przelicytować, a bez udziału Ukraińców w jakiejś akcji powstańczej nie wyobrażamy sobie powodzenia, ale przeciwnie widzimy tylko nowe narażania społeczeństwa polskiego na niepotrzebne straty. Strat tych mieliśmy już dość przez akcję niemiecką, a jeśli idzie o sprawy kultury, to tu jest lepiej niż po stronie okupacji niemieckiej. Dalej powiedzieliśmy panu Z. że jeśli idzie o akcję powstańczą, należy ją rozpocząć na terenie etnograficznie polskim, a nie na kresach, gdzie jest Polaków mniej. W sprawie Związku Młodzieży Wiejskiej powiedzieliśmy, że powoli powołamy go do życia, ale b. ostrożnie. Pan Z. poinformował nas, że Barbara jest w Warszawie, że widział się także z Rumlem. O panu B. nic nie umiał powiedzieć. Prosiłmy pana Z. by poinformował odpowiednie czynniki w Warszawie o nazbyt hałaśliwej działalności Lwowa i by stamtąd uspokoił Lwów oraz polecił większą ostrożność w działaniu. Dalej ustaliliśmy, że każdego miesiąca będziemy wysyłali kurierów do Warszawy, w razie nagłym częściej. Gdyby w ciągu miesiąca nie przybył kurier, miało to znaczyć, że wpadł na granicy. Ustaliliśmy także najprostsze hasła. Poprosiliśmy panią R., jako członka naszego zespołu, do spraw kobiecych.

W kilka dni po odejściu pana Z. przybył pan F. z Krzemieńca. Przywiózł sporo wiadomości o zachowaniu się urzędników MSZ podczas pobytu w Krzemieńcu, pieczęć wielką MSZ oraz kod. Kod wsadziłem zaraz do pieca i spaliłem, a pieczęć rozbiłem na kawałki i po kawałeczku w różnych miejscach w ustępach "gubiłem". F. opowiadał, że minister Beck był całkiem złamany i osowiały. Widywał go niejednokrotnie na terenie liceum, gdzie F. przychodził. Mówił też o nastrojach wśród Ukraińców. Na ogół odpowiadały nastrojom w rówieńskim. Do reaktywowania Związku Młodzieży Wiejskiej odniósł się sceptycznie, ale przyrzekł swą pomoc.

Zaczęliśmy tworzyć po powiatach sztaby organizacyjne. Bardzo niepokojące wieści nadeszły z Łucka. Powstały tam dwie organizacje: jedna o charakterze wojskowym, tworzona przez członków Narodowej Demokracji. Na terenie Włodzimierza oraz w innych powiatach na ogół spokojnie rozpoczęto pracę organizacyjną. W pracach organizacyjnych zaleciłem unikać afiszowania się jednostkom dawniej bardziej czynnym, a wysuwać osoby nie biorące dawniej wybitniejszego udziału w pracy społecznej. Zaleciłem system trójkowy, jako najbardziej jeszcze pewny w razie wpadnięcia.

Dawni zawodowi podoficerowie garnizonu rówieńskiego, członkowie Zw. Leg. mówili mi o zachowanej broni w różnych częściach powiatu rówieńskiego i zakopanej w innych powiatach podczas cofania się armii na wschód. Nie chcąc, by się nazbyt wylukiło koło mego mieszkania, poleciłem koledze St. Kopczyńskiemu, by zajął się organizacją podoficerów, i by nie rzucano się to w oczy, żeby się przeprowadził na przedmieście Cegielnia, gdzie mieszkało gros podoficerów, wyrzuconych przez bolszewików z mieszkań w koszarach. Broń kazałem dobrze osmarować i zakopać w starych gliniankach. Stację nadawczo-odbiorczą założono we wsi R., z którą była łączność kurierska co drugi dzień. Stacja łapała przede wszystkim Paryż, no i komunikaty z Moskwy.

1) Zginął w Kraju w 1943 r.

2) Zginęła podczas Powstania Warszawskiego.



Rzuciliśmy społeczeństwu hasło pozostawania na Wołyniu, a nie uciekania za Bug.

W tym czasie otrzymałem od Tadeusza Wiśniewskiego, botanika (rozstrzelanego w Warszawie w 1943 r.), który kilka tygodni u mnie mieszkał po opuszczeniu Warszawy, kartkę z Kolumny pod nazwiskiem Z. Polak, by tam przybyć i iść na Rumunię. Odpisałem mu, że mam już inne zajęcia.

W pierwszych dniach grudnia przybył pewnego popołudnia kolega, nauczyciel P. i powiedział mi, że jakiś pan przybył ze Lwowa chce się koniecznie ze mną widzieć. Prosiłem o przeprowadzenie go, ale okazało się, że ten pan czekał już na dworze koło domu. Był to b. młody jegomość, przedstawił się jako Widacki, student uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie i wprost powiedział, że przybywa do mnie z ramienia lwowskiej centrali organizacji wojskowej celem omówienia spraw związanych z organizacją wojskową na Wołyniu. Pochyliłem tylko głowę i powiedziałem, że słucham. W trakcie rozmowy wtrącałem umówione z panem Z. hasło, ale p. Widacki na nie nie reagował. W pewnym momencie przerwałem rozmowę i wręcz zapytałem o hasło. Odpowiedział, że hasło może podać tylko wtajemniczonym. Była nieprzyjemna chwila, gdyż powiedziałem, że w tych sprawach mogę rozmawiać tylko z człowiekiem, który poda mi umówione hasło. W pewnej chwili p. Widacki powiedział, że hasło może mi podać ale wyłącznie w cztery oczy. Przeprosiłem kolegę P. i przeszliśmy do drugiego pokoju. Tam powiedział mi jakieś słowo, którego nie pamiętam, a miało ono oznaczać hasło. Odpowiedziałem mu, że to nie jest hasło umówione. Zapytałem go jak się ta organizacja, z ramienia której ze mną rozmawia, nazywa — odpowiedział ZWZ. Powiedziałem mu to samo co ustaliliśmy z panami A. i Z., że nie ma obecnie najmniejszego sensu zakładać organizacji bojowej na Wołyniu i podałem mu także tamte ustalone z A. i Z. argumenty. Pan Widacki jednak upierał się, że powinniśmy tu możliwie szybko zorganizować się. Ostatecznie stanęło na tym, że albo w ciągu grudnia albo w początkach stycznia przyjadę do Lwowa. Miałem się zgłosić do domu przy ul. Chorążczyzna 14. Sposób umawiania się też był śmieszny.

O rozmowie tej powiedziałem natychmiast panu A. oraz pani R. i ustaliliśmy, że trzeba koniecznie znowu wysłać kogoś do Warszawy z tą wiadomością i ponownie prosić o uspokojenie i utemperowanie Lwowa. Istotnie nadarzyła się okazja i przekazałem ostatnie wiadomości panu J. w Warszawie.

Powoli zaczęliśmy organizować powiaty, opierając się na nauczycielstwie oraz członkach Związku Młodzieży Wiejskiej. Sądziliśmy, że w ciągu stycznia i lutego zorganizujemy wszystkie powiaty.

Dnia 5 lub 6 lutego 1940 zgłasza się do mnie pan z Warszawy. Powołał się na szereg znajomych, powiedział, że widział się przed wyjazdem i konferował z panami J., Z., R., znał ostatnie wiadomości przesłane przeze mnie i powiedział, że sprawę Lwowa omawia się teraz w Warszawie. Powiedział, że jest pułkownikiem Majewskim i przyjechał objąć komendę wojskową nad Wołyniem i Polesiem. Jednocześnie z nim przyjechało 5 oficerów saperów z materiałem wybuchowym, który trzeba było ukryć. Zajął się tymi oficerami pan A. W rozmowie z panem

Majewskim okazało się, że znał dokładnie przebieg rozmów naszych z panem Z., powiedział również, że uznaje poglądy nasze za słuszne i że nie będzie tworzył organizacji masowej, ale silnie zakonspirowaną. Następnie p. Majewski ustalił, że ja mam być zastępcą jego jako komendanta wojskowego na Wołyn, zaś p. A. zostaje jako przedstawiciel władz administracyjnych (coś w rodzaju wojewody). Ustaliliśmy też, że wszelkie pociągnięcia w terenie, jak ustalenie punktów organizacji, skład personalny tak komendantów powiatowych jak i lokalnych oraz cywilnych władz będziemy ustalali kolegiально wraz z panią R. Na jego polecenie wystarałem mu się o pracę stróża nocnego w jednej instytucji. Uważał, że takie zajęcie będzie dla niego najodpowiedniejsze. Po dwu dniach pobytu w Równem wyjechał do Brześcia. Zapowiedział powrót na 10 najdalej 12 lutego. Po jego wyjeździe zawiadomiłem p. Kopczyńskiego, że jest nowy komendant Wołynia, i że mianuję go z upoważnienia Majewskiego komendantem Równego.

Dnia 10 lutego 1940 roku, rano po nabożeństwie (niedziela), przyszedł do mnie kol. S. i powiedział, że masowo przywożą osadników wojskowych do gmachu b. gimnazjum osadniczego. Zaproponował zrobić ruchawkę i odbić osadników. Wyszedłem na miasto i istotnie widziałem na sianach i wozach zwożonych osadników wojskowych. Wróciłem do domu. Po chwili nadszedł Kopczyński, a za nim zaraz pan A. — Kopczyński powiedział mi, że podoficerowie wyciągają już z glinianek broń i chcą odbić osadników. Kazałem mu iść natychmiast na Cegielnię i uspokoić podoficerów, zakopać broń i siedzieć cicho. Z panem A. rozważaliśmy co to właściwie znaczy. Doszliśmy jednak do przekonania, że wobec tak wielkiego garnizonu sowieckiego, jaki był w Równem, nie ma najmniejszego sensu próbować odbijać osadników. Po południu odwiedziłem jeszcze kilka rodzin wojskowych, pytając o ich potrzeby. Ustaliłem z niektórymi paniami, gdzie mają się ich dzieci zgłosić po obuwie. Wieczorem powróciłem do domu. Żona była o mnie niespokojna, tak samo i znajomi, którzy przyszli mnie odwiedzić.

W nocy obudził mnie silny głos dzwonka u drzwi. Wyszedłem zapytać kto, spodziewając się p. Majewskiego. Niestety byli to bolszewicy. Przyszli, kazali mi się z powrotem położyć i spokojnie wypytywali o mniej i więcej nonsensowne rzeczy, jak o to czy i ile mam koni, krów, drobiu, ziemi itp. Nie mogłem się połapać o co im chodzi. Kazali mi potem wstać, ubrać się i powiedzieli, że pojedą do urzędu tylko dla sporządzenia protokołu. Miałem przygotowaną walizeczkę z bielizną na wypadek aresztowania, chciałem ją wziąć. Nie pozwolili, natomiast kazali zabrać wszystkie osobiste dokumenty. Nie pozwolili budzić i pożegnać się z żoną, mówiąc "niebezpiekojcie jej". Nic się nie orientowałem. W biurze NKWD czekałem dość długo, wreszcie jakiś major przesłuchał mnie, spisał dane personalne, wypytywał o tę działkę podmiejską, jaką otrzymałem w Równem na Grabniku. Następnie kazali mi wyjść do przyległego pokoju. Po pewnym czasie wezwali mnie, i odczytali wyrok, na mocy którego właścicielka sowiecka przenosi mnie do innej oblasti do pracy w "swojej specjalności". Zaprotestowałem przeciwko temu, mówiąc, że to nie jest zgodne z prawem międzynarodowym. Oświadczyli, że teraz jest wojna a nie jakieś prawo międzynarodowe. Ostatnie



zyczenie: powiedziałem co mają zrobić z moją biblioteką i zbiorami. Zapisali to. Siedząc w innej sali sam z żołnierzem NKWD rozmyślałem, co to ma znaczyć. Ucieszyłem się z jednej rzeczy, a mianowicie, że nie było to w związku z Majewskim. Po kilku godzinach otworzyły się drzwi i wchodzi żona. Pozwolono jej zabrać trochę ubrań i pościeli, natomiast żadnej żywności. Rano wsadzono nas do auta ciężarowego i wywieziono na stację Zdobunów. Następnego dnia ruszył ogromny pociąg około 30 wagonów, zapchany osadnikami wojskowymi, gajowymi i leśniczymi. Odnalazłem w czasie transportu sporo znajomych. Zawieźli nas do "posiołka Południowica" szaryjskiego rejonu, oblasti gorkowskiej.

Na posiołku na wiosnę 1940 r., po pokonaniu Francji przez Niemców, Rosjanie nie posiadali się z radości. Politruki twierdzili, że Sowieci z "Gitlerem" podzielią się teraz światem i nastąpi nowa era ludzkości. Na nas oddziaływało to przygnębiająco. Posiadałem wiadomości korespondencyjne z Włoch i Filipin o rządzie naszym w Angers, a nawet przekazano mi pozdrowienia dla mnie i wszystkich tam się znajdujących od gen. Wieniawy-Długoszewskiego. Postanowiłem powołać do życia organizację, by ludność posiołka podtrzymywać na duchu. Organizacja składała się z: pp. Rn., K., K., następnie wciągnęliśmy S. Domagalskiego i L. Od czasu do czasu udawało nam się dostać gazetę "Gorkowskaja Komuna" i z niej dowiadaliśmy się o nowościach na frontach. Te odpowiednio komentowaliśmy i puszczaliśmy między ludzi. Na ogół nastroj był dobry. Na usługach NKWD było tylko kilkanaścioro i to właściwie kilka pań i jeden b. wachmistrz, Stanisław Olszewski. Wybuch wojny niemiecko-rosyjskiej podniósł nas wszystkich na duchu. Po uzyskaniu wiadomości, że Wielka Brytania i Czechosłowacja zawarły traktaty z Sowiecami, przepowiadałem, że jest kwestią dni tylko zawarcie układu polsko-sowieckiego, a wtedy nasza sytuacja się zmieni.

Nagle 19 lipca po południu wezwano mnie do biura komendanta posiołka i oświadczone, że mnie aresztują. Z miejsca powiedziałem mu, że aresztowanie mnie w takim czasie jest zwykłą omyłką i nie ma najmniejszego sensu. Przedstawiciel rejonowego NKGB zrobił osobistą rewizję, następnie udali się do baraku, gdzie zrewidowano moje rzeczy. Zabrano dokumenty, jakie mi uprzednio w Równem pozwolono zabrać, oraz część pozostałej korespondencji. Jednocześnie aresztowano niejakiego pana Korbońskiego, osadnika z baranowickiego. Znowu gubiłem się w domysłach, co to za łączność tych dwu aresztowań.

Ponieważ spóźniliśmy się, jadąc początkowo koniem, a później idąc piechotą, na stację Derowatka na drezynę, która miała nas oczekiwać, wsadzono nas do więzienia, ale każdego do osobnej ubikacji. Po pewnej chwili wezwano mnie i przesłuchiowano. Ściągnięto generalia, a następnie wypytywano mnie o tajną bibliotekę polską, jaką miałem zorganizować na posiołku, tajne nauczanie polskiego i historii polskiej oraz podtrzymywania ducha polskiego wśród mieszkańców Południowicy. Na pytania te odpowiadałem odpowiednio i powiedziałem im, że to wszystko jest głupstwem i nie ma najmniejszego sensu, gdyż w najbliższych dniach będzie układ polsko-sowiecki i że powstanie polska armia na terenie ZSSR. Ironicznie zapytywał mnie "śle-

dowatiel", czy komenda w tej armii będzie polska, i czy powstanie Polska od morza do morza, a komendant Derowatki wtórował mu śmiechem. Powiedziałem, że komenda w armii będzie polska, a co do granic, będą o tym mówili i ustalali więksi politycy niż my. Śmiali się obaj serdecznie z mojej głupoty. Powiedziałem im, że są młodzi, i że nie pamiętają, jak to Clemenceau powiedział swemu synowi, gdy szedł z advokatury do polityki: "synu pamiętaj, że polityka jest brudnym rzemiosłem". Oblali mnie stekiem wyzwisk.

W następnym więzieniu, w Szarii, tenże "śledowatiel", przedstawiciel rejonowego NKGB, kilka razy wzywał mnie nocami na dochodzenia. Stale zapytywałem go, czy jest już polsko-sowiecki dogovor. Początkowo śmiał się z tego. Dnia 4 sierpnia przyszli nowi aresztowani do celi, Rosjanie, i od nich dowiedziałem się o polsko-sowieckiej umowie, amnestii itp., ale niezbyt dokładnie, bo ich te rzeczy nie interesowały, tym bardziej, że wszyscy współwięźniowie życzyli Hitlerowi zwycięstwa a klęski Sowiecom. Gdy mnie "śledowatiel" wezwał, zapytałem go, czy jest już układ polsko-sowiecki. Znowu się roześmiał. Odpowiedziałem mu, że nie ma czego przede mną ukrywać, gdyż umowa została zawarta i obywatele sowieccy o tym wiedzą z radia i że mi powiedzieli o tym nowoprzybyli więźniowie. Odpowiedział, że o niczym nie wie i dalej ściągał zeznania w sprawie życia i działalności mojej w posiołku.

Raptem zapytał mnie, czy znam niejakiego Widackiego (Widackocho). Zaprzeczyłem, co o tyle było zgodne z prawdą, że zupełnie o tym zapomniałem. Wyciągnął jakieś akta w czerwonej okładce i wertując zapytywał o szereg znajomych z Równego, jak Jaźwińskich, Parę, m. in. wymienił i Kopczyńskiego, zapytując, czy był moim dobrym kolegą. Na twierdzącą odpowiedź, rzekł: "on o was skazał oczeń krasiwu kartinu". Domyśliłem się, że tamci wpadli i wypapłali. Widackiego jednak rzeczywiście nie przypominałem sobie, więc zaczął czytać moją rozmowę z Widackim. Ścierpnąłem i przypominałem sobie wszystko. Miałem wrażenie, że całą rozmowę odczytują ze stenogramu.

W trakcie czytania całą uwagę skupiłem na tym, czy Widacki powiedział, że go pytałem o hasło. Okazuje się, że tego nie powiedział. Po przeczytaniu powiedział mi śledowatiel, bym dokładnie opowiedział o mej działalności jako komendant ZWZ na Wołyń i jak była ta organizacja postawiona i jakie jej komórki i gdzie działały. Odpowiedziałem, że nie byłem komendantem ZWZ, że Widacki przyjechał do mnie jako do działacza społecznego, jak wynika z przeczytanego zeznania, byłem przeciwny powstaniu organizacji bojowej na Wołyń i argumenty, jakie przytoczyłem Widackiemu jeszcze raz powtórzyłem, a najlepszym dowodem, że nie byłem komendantem, jest fakt potwierdzony przez zeznania Widackiego, że do Lwowa nie pojechałem. Zresztą powiedziałem, że to wszystko są głupstwa, gdyż jest już umowa polsko-sowiecka, że jest amnestia, i zapytałem kiedy mnie puszcza, gdyż chcę iść do wojska. Powiedział mi na to, że o niczym nie wie.

Następnego dnia wezwano mnie na ponowne śledztwo o godzinie 6 wieczorem, po kolacji. Rozmowa była już w innym tonie, poprosił, bym siadł na kanapie, siadł obok mnie i odbyła się



pogawędka bez protokolarnego zapisywania. Powiedział mi, że o umowie polsko-sowieckiej wiedział już z radia 1 sierpnia, ale umyślnie nie powiedział mi o tym (byłem i jestem przekonany, że dopiero porozumiewał się w tej sprawie jak ma się dalej do mnie ustosunkować), że widzi, iż spokojnie i chłodno oceniam sytuację polityczną tak obecnie jak i w 1939 r. Na pytanie moje, kiedy mnie wypuszczą, odpowiedział, że on teraz będzie prowadził inne sprawy, moją zaś przejmie inny człowiek, który "z dzieła znaje was oczeń charaszo". Na tym rozmowa się skończyła.

Nie byłem więcej wzywany na śledztwa, natomiast 15 sierpnia wraz z wszystkimi więźniami z Szarii autami powieziono nas do więzienia w Gorkim. Korbońskiego z nam w tym transporcie nie było. Później dowiedziałem się, że zwolniono go i że powrócił do Południowicy z Szarii.

W Gorkim nie wzywano mnie przez dłuższy okres czasu na śledztwo. Wezwano mnie dopiero 18 listopada. Prowadził je osławiony z brutalności i nietaktów Bałandin. Z miejsca powstała scysja. Na odezwanie się Bałandina do mnie "per ty" powiedziałem, że będę odpowiadał tylko wówczas, gdy będzie do mnie mówił "per wy". Przez dwa wieczory nie odezwał się wcale. Następnie zaczął mówić "per wy" i później, następny Gorbacziow, także już mówił tylko przez "wy".

Śledztwo obracało się przeważnie tylko koło sprawy ZWZ, czasami wpadał Bałandin w sprawy posiołkowe, i co najdziwniejsze, często wspominał o faktach i rozmowach, jakie miałem tylko i wyłącznie w gronie polskim na posiołku (o tym jednak później). Pewnego wieczoru zapowiedział mi Bałandin, że przyjdzie major NKWD, szef wydziału politycznego i znawca spraw polskich, gdy on wejdzie, mam wstać. Weszło ich jednak pięciu. Nie wstałem. Była o to awantura. Oświadczyłem, że Bałandin mi powiedział, że wejdzie jeden, weszło zaś pięciu, nie znam odznak sowieckich, więc nie wiem, który jest majorem, a poza tym w Europie zawsze wchodzący do pokoju pierwsi wymawiają pozdrowienia. Pytania krzyżowe padały w związku z bytnością Widackiego i Kopczyńskiego u mnie. Odpowiedziałem, że nie byłem ani komendantem ani członkiem ZWZ, czego najlepszym dowodem jest fakt, iż miałem jechać do Lwowa a nie pojechałem. Na to jeden z obecnych obrzucił mnie stekiem wyzwisk. Wywołało to straszną awanturę. Bałandin bił pięścią w stół i krzyczał, bym nie zapomniał, że jestem więźniem, a inni podskakiwali do mnie i wygrażali pięścią oraz wólał, że bez pozwolenia nie wolno mi wstawać, a ja zdenerwowany, złapałem za krzesło i nim się zastawiłem. Po dłuższej chwili uspokoiło się, i zaczęto mnie znowu wypytywać. Odpowiedziałem, że nie będę odpowiadał tak długo, dopóki ten, który mnie obraził, nie wyjdzie, gdyż nie pozwolę na deptanie mojej godności człowieka. Po pewnej chwili ten jęgotność wyszedł. Pytania zadawali wszyscy naraz. O mej działalności w sejmie, w związku nauczycielskim, ile miałem szwadronów tanków, gdzie była radiostacja itp. Odpowiadałem spokojnie, ciągle twierdząc, że jako oficer rezerwy nie znam się zupełnie na tankach, i że nie należałem do ZWZ. Po dłuższym czasie wyszli przybyli, pozostał tylko Bałandin, patrzył na mnie spode łba. Po jakimś czasie przyszedł inny (okazało się później, że to był Gorbacziow), posiedział jakiś czas i o nic nie pytał,

później znowu Bałandin i tak kilka razy się powtarzało. Nie orientowałem się w czasie, gdyż okno było zasłonięte, a światło elektryczne silne. Wreszcie, ze zwykłym ceremoniałem więziennym odprowadzono mnie do celi. Byłem b. zmęczony i przypisywałem to wyłącznie wyczerpaniu nerwowemu. Okazało się w celi, jak mi powiedzieli współwięźniowie, że byłem na śledztwie 29 godzin; byli przekonani, że mnie w czasie śledztwa zatłukli, albo tak zmasakrowali, że wzięto mnie od razu do szpitala. Nie odpowiadałem na ich pytania, wypiłem "kapiatok" i zwałem się na swe miejsce pod pryczami. Po jakimś czasie obudzono mnie znowu na śledztwo. Prowadził je inny, nieznany mi NKW-Dzista. Banialuki, więc przerwałem i powiedziałem mu, by mi pokazali tekst umowy i by mnie posłali do wojska polskiego, które, jak mi mówili nowi więźniowie, tworzył gen. Anders i Szyszko-Bohusz, a ambasadorem został Kot, znajomy mi dobrze z Krakowa profesor historii kultury. Śledowateli odpowiedział, że nie jest obowiązany przedstawiać mi tekstów umów, i że takich z "58 statii" do armii nie wysyłają. Następnie objął śledztwo Gorbacziow, najsympatyczniejszy ze śledzących jakich poznałem. Często wpadał naczelnik wydziału politycznego Okusko i przysłuchiwał się. Czasem zadawał i on pytania. W początkach grudnia wprowadził Gorbacziow nowe elementy do śledztwa, mianowicie kuriera z Warszawy, o którym w zeznaniu wspomina Widacki, i o pułkowniku Majewskim. Odpowiedziałem, że i kurier i Majewski i Widacki byli u mnie z początkiem lutego lub z końcem stycznia.

17 stycznia 1942 r. wypuszczono mnie z więzienia. Od ambasadora RP prof. Kota dowiedziałem się, że i on osobiście i gen. Sikorski interweniowali u Stalina w mojej sprawie.

Między tłumaczeniem moim a p. Widackiego o powodach, dlaczego nie pojechałem do Lwowa była ta różnica, że ja twierdziłem, że nie należałem do ZWZ, natomiast Widacki twierdził w swych zeznaniach, że nie pojechałem do Lwowa dlatego, że rzekomo należałem do organizacji o kierunku Beckowo-Śmigłowym. Nie wiem co o tym sądzić dzisiaj, czy Widacki rzeczywiście należał do ZWZ, czy też raczej do organizacji wojskowej, organizowanej przez stronnictwo narodowo-demokratyczne.

Po wyjściu z więzienia byłem miesiąc w ambasadzie RP w Kujbyszewie, gdzie prof. Kot opowiadał mi wiele szczegółów o powstaniu rządu RP na terenie Francji, a potem o posunięciach na terenie Anglii.

Z Kujbyszewa udałem się do Polskich Sił Zbrojnych na terenie ZSSR jako łącznik ambasady RP przy dow. 6-tej dywizji, gdzie spotkałem panią R.

15 maja 1942 byłem w sprawach służbowych w Bucharze w Delegaturze u p. Szyszkowskiego. Po wyjściu stamtąd spotkałem się z p. L., z którym byłem na posiołku Południowicy. Ten opowiedział mi, że Stanisław Olszewski, po zaareztowaniu mnie w Południowicy przyznał się jemu i p. K. Domagalskiemu, że był na służbie NKWD i że mnie wsypał. Teraz zrozumiałem, skąd wzięły się w śledztwach momenty i rozmowy, jakie miałem tylko i wyłącznie w gronie ściśle polskim.

19 czerwca otrzymałem list od A. z Guzar, datowany dnia 9. VI. Bardzo się tą wiadomością ucieszyłem. Później, dopiero w Pahlewi, spotkałem się z A. osobiście. Opowiadał mi o rozwoju



organizacji na Wołyniu i o tym, jak po klęsce Francji płk. Majewski załamał się zupełnie i mimo ostrzeżeń dał się sprowokować. Na skutek prowokacji rzekomych wysłańców z Włodzimierza aresztowano Majewskiego, a następnie cały szereg osób. M. in. w śledztwie na śmierć zamęczono nauczycielkę D., a nauczycielka L. na skutek dochodzeń zwariowała. Sam A. uciekł i ukrywał się przez dłuższy czas. Później i jego przez nieostrożność złapali.

Mówiłem o tym generałowi Tokarzewskiemu, pytałem, czy znał dobrze Majewskiego wysyłając go na tak ważne stanowisko na Wołyń. Gen. Tokarzewski odpowiedział, że w czasie śledztwa niejednokrotnie się dziwił, iż powtarzano mu treść rozmów, jakie miał w trójkę: on, jedna pani i Majewski. Sądzi po tym co mu opowiedziałem, że to Majewski musiał powiedzieć.

Na tym kończę wspomnienia z okresu konspiracji.

Tu w Afryce dowiedziałem się od b. senatora p. Tadeusza Dworakowskiego pewnych szczegółów tragedii konspiracyjnej z 1940 roku. Oto, gdy siedział, przeniesiony z więzienia w Kowlu do Włodzimierza, w końcu sierpnia 1940 roku, wprowadzono do jego celi dwu nowoaresztowanych za udział w wojskowej organizacji na Wołyniu. Obaj byli z Porycka: jeden ogrodnik a drugi jakiś rzemieślnik, czy też drobny oficjalista z byłej administracji hr. Czackiego. Ponieważ p. Dworakowski często bywał w Porycku, obaj ci ludzie znali go z widzenia, i z zupełną szczerością opowiadali mu o swoich przeżyciach. Powierzono im drugorzędne funkcje: mieli notować ile pociągów towarowych i osobowych przechodziło przez stację Iwanicze, jaki ładunek pociągów towarowych, specjalnie jakie były transporty wojska i broni. Broń mieli bardzo skromną do dyspozycji, jakieś rewolwery i pistolety, zakopane zresztą w ziemi. Wydać ich miał Sierakowski, syn wójta z Werby (powiat Włodzimierz), który stał na czele organizacji wojskowej, a załamał się przy pierwszych badaniach. O całości organizacji wiedział b. mało. Jedynie coś niecoś wiedzieli o Łucku, gdzie miał być komendantem Nejman, syn adwokata w Łucku, o którym wyrażali się b. krytycznie jako o nałogowym pijaku. Opowiadali oni p. Dworakowskiemu jako pogłoskę o aresztowaniu ks. Tokarzewskiego, proboszcza w Kowlu, b. kapelana Piłsudskiego i Wojciechowskiego, w związku z dekonspiracją tej organizacji w powiecie kowelskim.

1950 r., Tengeru, Afryka, Tanganika.

Jakub HOFFMAN.

## Dyskusja w sprawie N.S.Z.

Szanowny Panie Redaktorze!

Odpowiadając na listy opublikowane w ostatnim numerze "Kultury", uprzejmie proszę o wydrukowanie niniejszego.

ad list p. J. Rokickiego:

1. — Ponieważ artykuł mój ma znaczenie informacyjne, opuszczam nic nie znaczące szczegóły jak np. spotkanie z p. Michałem u ks. prał. Trzeciaka, a nie na odprawie.

2. — Jeśli de nomine S.N. powołało do życia N.O.W. w październiku 1939 r. to używając słów Pańskich należy do "bezsportnych i elementarnych faktów", iż wojskowo organizacja ta zaczęła pracować od omawianej odprawy, w zimie 1940/1 (tu różnimy się o cały rok). "Dzieło" politycznie liczyło sobie tyle lat ile S.N., wojskowo nie było nawet rozpoczęte. "Ofiarnej pracy" nie neguję, "bohaterstwo" było w kolportażu pism i ulotek tylko.

3. — Funkcję lub rolę p. Czesława w N.O.W. on sam najlepiej określi. Stwierdzam tylko, że nie on był szefem Oddziału III-go Kom. Gł., bo nim byłem ja i wszystkie rozkazy wydawane w tym czasie z Centrali w zakresie organizacji oddziałów i szkolenia tak podpisywałem. Dowódca dywizji — rzecz "bezsportna" — nie jest idealnym kandydatem na szefa oddziału wyszkolenia (o operacjach w tamtym czasie mówili tylko doktorzy med.).

Ciekawe było nieobsadzenie w tym improwizowanym dowództwie stanowiska szefa sztabu. Było ono proponowane mnie przez p. Czesława w rozmowie przed moim wstąpieniem do N.O.W. Odmówiłem, gdyż nie byłem pewny czy sprodam zadaniu. Sądziłem, że komendanci okręgów, oficerowie sztabów, będą żołnierzami z prawdziwego zdarzenia. Potem dopiero stwierdziłem, że było to pospolite ruszenie b. szanownych polityków, o minimalnym procencie wojskowych.

4. — Nie należy do mnie ocena porównawcza walorów wojskowych p. Czesława i p. Michała. Uczyni to kiedyś ktoś — wierzmy! — bezstronny. Teraz wyrażam zadowolenie z tak dobrego mniemania o sobie p. Michała.

5. — Nie kwestionuję daty podpisania umowy S.N. z Z.W.Z. Precyzuję, że treść umowy była podana nam do wiadomości na odprawie w czerwcu 1942 r.

6. — "Złota nić", czy jak chce gen. Pełczyński "czerwona", jest i będzie dla mnie najważniejszą, jako dla żołnierza. Dla obywatela Kraju, który myśli, sprawa była bardziej skomplikowana, jak wyjaśniam w swoim artykule. Będąc jednak aktorami tej samej akcji słuchamy innych, ale słyszymy i rozumiemy tylko siebie. A jeśli nawet jest inaczej, wiele było i jest powodów, by powtarzać swoje pseudo-credo. Tak rozumiem pana Michała wypowiedzi.

7. — Pisanie o "apostolstwie" moim jest nielogiczne. Według p. Michała, przemawiałem do "szeregów żołnierzy N.O.W." (masówki w emigracji — ?) i to z powodzeniem!, a poprzednie (pkt. 4 listu p. Michała) "skargi, narzekania i prośby o nieprzysyłanie więcej tego delegata Kom. Gł. (tj. mnie) były zjawiskiem powszechnym". — Więc — czy sztywny, zawodowy oficer, czy trybun ludowy powodujący z łatwością roziom polityczny?

8. — Mój opis spotkania z prezesem S.N. śp. Stefanem Sachą nie zawiera żadnych ujemnych informacji. Zmiana przekonań polityków jest zjawiskiem dość częstym. W danym wypadku — z A.K., czy równoległe do niej — było tylko kwestią metody, bez naruszania zasad swego obozu.



## ad list gen. T. Pełczyńskiego:

1. — Sprawa N.S.Z. była pokrywana uzgodnionym milczeniem A.K. i pewnych kół w wojsku na Zachodzie. Podczas opracowywania udziału Polski w II. wojnie światowej zaproponowałem Komisji Historycznej swoją pomoc w ujęciu rozdziału o N.S.Z. Nie wykorzystano tej świetnej okazji do pisania o "konkurencyjnej" organizacji.

Gen. Pełczyński omija istotne sprawy N.S.Z. wolną obietnicą "szerokiego i bardziej obiektywnego oświetlenia", by z całą niezdrową werwą rzucić się na sensację, ulubionym chwytem brukowych reporterów. Na moje spotkanie z nim.

2. — Działalność bojowa N.S.Z. była ograniczona brakiem wyposażenia, a przede wszystkim, co wyraźnie podkreślałem:

— przygotowywaniem całości na jeden wysiłek powstania, uwarunkowanego jednak szansami powodzenia,

— oszczędzaniem sił własnych, a zwłaszcza ludności cywilnej, płacącej nieograniczony haracz terroru, za nieliczące się z ofiarami wystąpienia A.K.

3. — Przechodząc do opisu spotkania z generałem, widzę tylko dwie supozycje:

a) moim rozmówcą był gen. Pełczyński — co jest mniej prawdopodobne wobec jego protestu, mimo, że go w Londynie nie widziałem (nie miałem obowiązku "zgłaszania się").

b) moim rozmówcą był oficer A.K., na spotkanie wysłany za wiedzą, rozkazem, a może nawet osobistym pouczeniem generała.

Dane, by w ten sposób twierdzić, są następujące:

— Szef II Oddziału Sztabu N.S.Z., któremu poleciłem stwierdzić kontakty Mecenasa organizującego spotkanie i podałem pseudonimy "Doktor" i o ile pamiętam — "Kruk" — zameldował mi, że pseudonimów tych używa gen. Pełczyński i że kontakty Mecenasa prowadzą na pewno do Sztabu A.K.,

— po spotkaniu Hubert stwierdził przez swego wywiadowcę, że mój rozmówca to istotnie gen. Pełczyński i że telefon i mieszkanie dentystki (gdzie skończyliśmy rozmowę — o czym w "Kulturze" 5/31 nie wspominam dla skrócenia opisu) są używane przez Sztab A.K. jako "lokal konspiracyjny",

— pan Czesław, któremu opisałem rozmowę, powiedział "bez wątpliwości Pełczyński",

— w tym czasie (1943 r.) stolica była prześwietlona wywiadami organizacyjnymi. Nic też, dziwnego, że w kilka dni po spotkaniu miałem reperkusje z różnych kół (poza N.S.Z.), które wyrażały swoje przypuszczenia co do osiągniętego wyniku rozmowy.

Ergo — gen. Pełczyński (jeśli nawet nie był moim rozmówcą) wiedział na pewno o spotkaniu z meldunków swego wywiadu i mógł nieistniejące "nieporozumienie" wyjaśnić panu Czesławowi. Tego nie uczynił.

List generała w ustępie końcowym jest wyraźnie ordynarny. Na tym polu nie będzie autor przeze mnie dystansowany.

Wyrażam żal, że moje dość romantyczne ale wyraźnie szlachetne zaufanie do wyników osobistego spotkania oficerów, urzędujących wówczas szefów sztabów dwóch polskich wojskowych organizacji, zostało wykorzystane.

## ad list p. J. Hirszhauta:

Naród żydowski w okresie prześladowań doznawał głębokiego współczucia i pomocy całego społeczeństwa polskiego, a więc i żołnierzy N.S.Z. W oddziałach N.S.Z. (analogia do W.P.) byli i Żydzi. Dwóch np. było w oddziale por. Zuba, jeden poległ pod Kamienną Górą w walce z Niemcami — jesień 1943 r., drugi przeszedł z Brygadą Świętokrzyską granicę i odszedł z niej pod Pilzнем.

Byli jednak i bandyci Żydzi. Np. dwór w Baranowie, w rej. Ryków (lubelskie) został napadnięty przez bandę czysto żydowską,

mieszkańcy bestialsko pomordowani, dwór spalony. Zima 1943/44.

Nie byli to — jak pisze autor listu — "starcy, kobiety i małe dzieci". Ci prawie nie uciekali, a los swój przyjmowali z fatalistyczną biernością. Ci, gdy uciekli, kryli się wśród społeczeństwa polskiego, zwłaszcza pod Warszawą. Jednostki młode, silne i zdrowe (ten sam element, który umiał pobić Arabów!) był w lesie, tworzył bandy, lub dołączał do istniejących i rabował. Przede wszystkim żywność, bo las, w zimie zwłaszcza, nie żywi.

Pogromy żydowskie (Kielce) i mordy jednostek były, jak dość wyraźnie podkreślała, w swoim czasie, prasa na emigracji, sprowokowane i organizowane przez komunistów. Oddziały N.S.Z. zostały rozwiązane po wkroczeniu Rosjan.

List p. Hirszhauta jest histeryczny, niegrzeczny i w oderwanych ogólnikach nieporozumiały. Szanuję ból, który jest udziałem Żydów, po mordach Hitlera. Odpieram natomiast z całą stanowczością zarzuty przeciwko oddziałom N.S.Z.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

28. VIII. 1950.

"New Gardens"  
Turville, Henley-on-Thames  
Oxon.

S. ZOCHOWSKI  
mjr dypl.

Kpt. W. Żbik - Kaniewski  
Były d-ca Oddz. Partyzanckiego N.S.Z.  
1332 N. Wicker Park  
Chicago 22. Ill.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z toczącą się polemiką na łamach "Kultury", wywołaną artykułem mjr. Zochowskiego o N.S.Z., wydaje mi się, że konieczność utrzymania w takich wypadkach zasady największego obiektywizmu wymaga, aby głos zabrali i ci, którzy choćby odcinkowo, jednak ponoszą odpowiedzialność za działalność N.S.Z. Ich bowiem opinia, jako bliska ówczesnej rzeczywistości, niewątpliwie uchroni wszczętą dyskusję od zbytniej jednostronności, czemu zresztą dała już wyraz wypowiedź p. Hirszhauta.

Proszę zatem Pana Redaktora o dołączenie do dyskusji na powyższy temat i moich uwag.

Na wstępie pragnę się zastrzec, że nie mam zamiaru wdawać się w dyskusję na temat historii powstania Z.W.Z., A.K., N.O.W. i N.S.Z., podporządkowania się jednym organizacji drugim i przeważnie trudno zrozumiałych dla żołnierza leśnego rozłamów partyjnych. Podzielim bowiem w zupełności stanowisko p. gen. Pełczyńskiego, wyrażone w jego liście, że "nadejdzie czas, kiedy sprawy te doczekają się oświetlenia rzeczowego i bardziej obiektywnego". Pomijam zatem listy pp. J. Rokickiego i gen. T. Pełczyńskiego — które robią wrażenie zwykłej rozprawy personalnej z p. mjr. Zochowskim. Natomiast jako były dowódca jednego z najliczniejszych i najdłużej działających oddziałów leśnych N.S.Z., do głębi poruszony zarzutami p. Hirszhauta, skierowanymi pod adresem partyzantów N.S.Z., pragnę rzucić garść faktów, na dowód, że insynuacje p. Hirszhauta są w rzeczywistości bezpodstawne i co najmniej tendencyjne. Intencją moją szczególnie jest, aby list niniejszy zorientował choć w części tych Polaków na emigracji, którzy nie znają skomplikowanych sytuacji w kraju podczas okupacji i jakże różnego stanowiska Żydów w stosunku do jednego i drugiego okupanta.



Po likwidacji ghetto Żydzi, którym udało się zbiec, ukrywali się na wsiach, inni znajdowali oparcie w komunistycznych oddziałach, a jeszcze inni tworzyli luźne uzbrojone grupy.

W pierwszej fazie chłopci na ogół przyjmowali zbiegów, dając im schronienie i opiekę. Jedni czynili to z litości, inni po prostu za pieniądze.

Kto był w kraju w owym czasie wie i pamięta, jak trudna była konspiracja. Wie, że zgraje konfidentów i "szpiclów" weszły po ulicach, domach i wioskach. Pamięta denuncjacje, masowe aresztowania i rozstrzelania członków polskich niepodległościowych organizacji podziemnych. Nic też dziwnego, że również wykrywane były "meliny" żydowskie, a w następstwie tego rozstrzelano również gospodarzy z całymi rodzinami przechowujących Żydów, a zagrody ich palono i równano z ziemią. Mało tego... Potem Niemcy rozszerzyli zasadę odpowiedzialności zbiorowej. Odpowiadali przede wszystkim sąsiadzi i najbliżsi sąsiedzi. Powstała sytuacja beznadziejnie tragiczna. Żydzi nie chcieli opuszczać kryjówek, terroryzowali gospodarzy, grożąc, że jeżeli wpadną w ręce niemieckie, zdradzą miejsca "melin". I tak przeważało było. Znane są wypadki, że Żydzi schwytani przez Niemców, czy to przez prosty przypadek, czy też w trakcie napadów za żywnością, dekonspirowali Polaków u których ukrywali się. Wtedy całe wsie szły z dymem a ludność była wymordowywana. Dalej: znane są fakty, że w czasie nocy do gospodarzy przychodzili uzbrojeni Żydzi, żądając schronienia i żywności pod groźbą rewolwerów.

Rozumiem ówczesną tragedię i gehennę Żydów, rozumiem ją tym bardziej, gdyż sam kilkakrotnie stałem nad "własną mogiłą", a więc dobrze znam mi jest uczucie naturalnego lęku przed śmiercią... Ale należy również wczuć się i zrozumieć sytuację tych gospodarzy, od których Żydzi żądali pomocy za wszelką cenę. Toć oni też chcieli żyć i tak samo bali się śmierci... Oni też mieli dzieci, o których los drżeli. W wypadkach podobnych sytuacja była właściwie bez wyjścia. Wyrzucić...? jest ich kilku i uzbrojeni. Pozwolić pozostać...? jeśli się wyda, grozi to śmiercią całej rodzinie. Podkreślić trzeba, że Niemcy w wielu wypadkach nie przeprowadzali żadnych dochodzeń, strzelali na miejscu i bez sądu. Żydzi natomiast z zemsty czy też może w nadziei ratowania się, bez skrupułów obciążali gospodarzy. Co zaś się tyczy Żydów, będących w komunistycznych oddziałach, siłą rzeczy brali oni czynny udział w napadach rabunkowych i mordowaniu ludności polskiej.

Znane mi są komunistyczne oddziały A. L. i PPR: "Garbaty" i "Biały" — włoszczowskie, "Zygmunt" — pińczowskie, "Maślanka" — buskie, "Osa", "Łokietek" i "Brzoza" — kieleckie. Z oddziałami tymi stykałem się bezpośrednio w walkach, a nawet i w pertraktacjach. We wszystkich tych oddziałach byli Żydzi. Ze względu na brak miejsca wspomnę tylko o jednej z tych grup. Wiosną 1943 roku "Garbaty" w napadzie rabunkowym na majątek R. zamordował właściciela L. W sierpniu tegoż roku, kiedy ja byłem aresztowany przez Niemców, ta sama banda w zasadzce pod Wioszczową zabiła mojego następcę por. "Murzyna" i trzech żołnierzy z oddziału. W maju 1944 roku również przez ludzi "Garbatego" zostało zabitych dwóch żołnierzy A. K. z oddziału kpt. "Marcina". Dochożenia wykazały, że Żydzi znajdujący się w bandach komunistycznych, znając teren zdecydowanie pomagali w wykonywaniu podobnych napadów.

Toteż jeśli w tych i podobnych wypadkach padał rozkaz likwidacji takich "oddziałów" i jeśli ginęli w nich również Żydzi, to w decyzji tej nie można się absolutnie dopatrywać nienawiści rasowej, sadyzmu czy zbrodniczości — jak chce tego pan Hirszhaut — a jedynie troski o zabezpieczenie miejscowej ludności przed napadami i barbarzyńskimi konsekwencjami tego ze strony okupanta. Ocena zaś podobnych rozkazów przy uwzględnieniu wszystkich warunków, okoliczności i następstw jest zagadnieniem bardzo trudnym i subtelnym zarówno

ze stanowiska moralnego jak i prawa wojennego i wymaga przede wszystkim dobrej woli i wielkiej bezstronności.

Nie przeczę, że były może sporadyczne wypadki nieodpowiedzialnych czynów niektórych dowódców oddziałów — ale za to nie może ponosić odpowiedzialności organizacja czy też społeczeństwo, boć to przecież były nienormalne czasy i warunki. Zdarzało się bowiem, że dowódcą był człowiek z przypadku, nie posiadający nieraz nie tylko kwalifikacji wojskowych ale i moralnych. Mam na uwadze nie tylko dowódców oddziałów N.S.Z.

W każdym bądź razie stwierdzam z pełną świadomością odpowiedzialności, że nigdy nie otrzymałem żadnego rozkazu z Komendy N.S.Z., polecającego mi strzelanie Żydów. Faktem jest natomiast, że bandy złodziejskie były tępione bezwzględnie przez oddziały partyzanckie — przez mój także nawet przed wydaniem odpowiednich rozkazów przez D-two. Również prawdą jest, że w bandach tych byli nie tylko Polacy, Ukraińcy i bolszewicy zbiegli z niewoli niemieckiej, ale także i Żydzi. Należenie Żydów do band rabunkowych nie było wypadkiem sporadycznym. O tym wie każdy. Przy likwidowaniu bandytów nie było septymentów narodowościowych. Za napad rabunkowy z bronią w rękę była dla wszystkich jedna kara — śmierć. Jako przykład podaję, że w dniu 25 września 1943 roku zostali rozstrzelani Józef Ciołek i jego siostrzeniec z Konieczna pow. Włoszczowa, za napad rabunkowy we wsi S. pod Małogoszczą. Rozkaz ten dotyczył również żołnierzy własnych oddziałów i oto drugi przykład: w dniu 20 kwietnia 1944 roku we wsi Dąbrowa pow. Włoszczowski został rozstrzelany st. strz. "Flirt" z mojego oddziału za napad rabunkowy. St. strz. "Flirt" nie był Żydem. Był Polakiem. Miał żonę i dziecko i był zasłużonym żołnierzem, ale musiał zginąć, gdyż w polskich oddziałach nie było miejsca dla bandytów.

Co do mnie, mogę każdej chwili powołać się na świadków, że podczas okupacji niemieckiej nie wydałem ani jednego rozkazu rozstrzelania Żyda. Równocześnie wskazać mogę wielu świadków, którzy stwierdzą, że w oddziale moim był Żyd dr K. (lekarz). Do oddziału przyjąłem go w grudniu 1943 r. Miał pełną opiekę, swobodę i traktowany był narówni ze wszystkimi. Dr K. wiedział, że jest w oddziale N.S.Z. Był świadkiem wielu akcji i walk z Niemcami. Opatrywał rannych i był przy konających żołnierzach. Toteż wielokrotnie wyrażał swoje oburzenie na oszczerstwa rzucane pod adresem N.S.Z. Może p. Hirszhaut powie, że dr K. był potrzebny mi jako lekarz. Otóż nie. Bo kiedy dr K. został w dniu 7 marca 1944 roku ciężko ranny w prawą rękę (od kuli niemieckiej) doznał ode mnie szczególnej opieki i troski, pomimo tego, że wiadome było, że po wyleczeniu dr K. nie mógłby pełnić nadal służby w oddziale — jak też się stało. Nie ważyłem się z narażeniem życia własnego i wielu ludzi sprowadzać lekarzy-chirurgów z najodleglejszych miejscowości, aby ratować życie Żyda. Dr K. przeżył i po przyjęciu bolszewików ordynował dalej w swoim rodzinnym miasteczku. Ile razy z nim rozmawiałem, dziękował mi za wszystko ze łzami w oczach i przyrzekał spłacenie długu wdzięczności przez umieszczenie odpowiednich artykułów w prasie polskiej i żydowskiej. Niestety... nie wolno mu było nawet przyznać się do tego — bo jak sam mawiał: "choć jestem Żydem powiesiliby mnie na pewno za to, że byłem u 'Żbika'. Oto paradoks: partyzanci N.S.Z. "mordowali" Żydów, a kiedy fakty poparte dowodami przeczą temu i — o ironio — kiedy ci sami "zbrodniarze" ratują życie Żydowi, musi on ginąć w opinii swych współbraci dlatego tylko, że jest żywym zaprzeczeniem kłamstwa. Gdyby panu Hirszhautowi nasunęły się wątpliwości, służę przede wszystkim adresem Anglika — oficera, który był w moim oddziale od września 1943 r. do lutego 1945 r. Zna on wszystkie akcje i sprawy oddziałowe. Anglik ten przeżył wojnę i mieszka obecnie w Londynie.

Tak rzecz się miała z Żydami podczas okupacji niemieckiej i taki był mój stosunek do nich wówczas jako dowódcy oddziału partyzan-



ckiego N.S.Z. Natomiast w momencie wkroczenia bolszewików Żydzi odkryli "przybicie" i wykazali swoją całkowitą lojalność w stosunku do nowego okupanta Polski. Bardzo wielu Żydów było na usługach NKWD i UB. Żydzi prześcigali się w donosach, denuncjacjach, w maltretowaniu i mordowaniu najlepszych synów Polski. Rzecz prosta i zrozumiała, że wówczas dowódcy oddziałów partyzanckich i ja też zmieniłem radykalnie swój stosunek do Żydów. Ale ani dziś ani nigdy w przyszłości nie będę robił z tego tajemnicy. Ze spokojem sumienia ówczesne stanowisko swoje w tej sprawie oddam pod sąd opinii, nawet żydowskiej.

Pan Hirschhaut nie był zapewne w Polsce od chwili wybuchu drugiej wojny światowej i być może nie jest należycie poinformowany o wyczynach Żydów, a być może, że pamięć jego zawodzi. Bo my, Polacy, doskonale pamiętamy, że w 1939 r. bandy żydowsko-ukraińskie rozbrajały i mordowały żołnierzy polskich. A może panu Hirschhaut, człowiekowi o tak humanitarnych tendencjach przypomnieć na ten przykład Brześć, Grodno, Wilno, Lwów, Uhnów i wiele innych miejscowości z okresu okupacji bolszewickiej od 1939 roku...? A żywi świadkowie dziś jeszcze są...

A może p. Hirschhaut nie wie czy nie pamięta, że w każdym oddziale dywersyjnym bolszewickim politycy, specjalnie szkoleni w Rosji to byli polscy Żydzi, którzy dzięki znajomości języka i terenu prowadzili i ułatwiali "robotę", a wiadomo powszechnie, że zadaniem oddziałów tych nie była dywersja ani walka z Niemcami, li tylko wnikanie w polskie "podziemie" i sporządzanie list, szczególnie przywódców, aby po "oswobodzeniu" Polski wydać ich w ręce NKWD na niechybną śmierć.

Za te to i wiele... wiele innych zbrodni niechże p. Hirschhaut zechce zwolnić Polaków od uczucia szczególnej miłości do Żydów, a nas partyzantów niechaj rozgrzeszy za brak sentymentu dla niektórych spośród nich, gdyż doświadczenia poczynione w czasie minionej wojny wykazały, że "prawo wojny" nie uznaje sentymentów — zwłaszcza w partyzantce — zaś dla specjalnej "kategorii" ludzi prawo to jest nieublagane, a streszcza się w dwóch słowach: śmierć "szpiclom"! śmierć zdrajcom!!

**W. ŻBIK - KANIEWSKI.**

Szanowny Panie Redaktorze!

Pozwoliłem sobie oto skreślić tych parę słów, i prosić — w miarę uznania Pana Redaktora, o ich wydrukowanie w poczytnym piśmie Pańskim.

Czytałem uważnie i z ciekawością niemałą, artykuł Pana Żochowskiego o N.S.Z.-cie, w jednym z ostatnich numerów "Kultury" (Nr 5/31). Temat to niewątpliwie drażliwy, nawet przykry i dotąd całkowicie prawie przemilczany. Wymaga on z pewnością obiektywnego rozpatrzenia i przedstawienia. Nie wydaje mi się, w moim bardzo skromnym mniemaniu, aby p. Żochowski to zadanie spełnił. Wywołana reakcja już sama za siebie mówi. Chciałbym i ja tu dorzucić nieco spostrzeżeń oraz faktów, związanych z działalnością N.S.Z.-tu, o które otarłem się w czasie okupacji. Wypada mi tu zaznaczyć, iż w życiu podziemnym w kraju wiele nie znaczyłem i nie byłem żadną szyszką. Byłem zwyczajnym podporucznikiem, zrobionym w dodatku z podchorążego czasu wojny (ukończyłem podchorążówkę w konspiracji w lecie 1943 roku w Warszawie; na oficera awansowano mnie w lesie, w oddziale partyzanckim, w lecie 1944 roku), a więc już tam korpus oficera, pozostający w czasie wojny poza granicami Polski, a zwłaszcza ta jego część, której wypadło siedzieć w niewoli, bardzo na takich, jak ja, kręciła nosem. Mniejsza z tym zresztą, to co nam kazano, robi-

liśmy w miarę możliwości naszych i umiejętności — nie zawsze źle.

W czasie "Burzy" służyłem w 2 pp. Leg. A.K., z czego jestem dumny. Byłem adiutantem tego oddziału. Wraz z braćmi 3-cim i 4-tym pp. Leg. A.K. tworzyliśmy 2 D.P. Leg. A.K., która działała na terenie okręgu Radom-Kielce przez drugie półrocze 1944-go roku, jako zwarta jednostka. Podam jeszcze, iż pułk nasz (zorganizowany według wzorów nadesłanych z Włoch, stan ok. 1200 ludzi) w swym składzie posiadał, powiedzmy skromnie — dość znane w centralnej Polsce oddziały partyzanckie: mjr. "Nurta" — późniejszego i ostatniego d-cy pułku "Jedrusiów", mjr. "Pochmurnego" — zdobywcy Staszowa, por. "Zawiszy". Trzonem pułku 3-go był słynny oddział kpt. "Szarego" — dwukrotnie zrobił więzienie w Końskich, więzienie w Kielcach już za bolszewików — w czasie odbijania którego zmarł uwięziony tam d-ca 2 D.P. Leg. A.K. — ppułk. "Lin"-Żółkiewski, oraz bodajże więzienie w Radomiu. W pułku 4-tym rej wodził oddział por. "Barabana" — wsławiającego się dzisiaj pracą w U.B. — ponoć w stopniu już pułkownika. Otóż pracując i obracając się w tak znacnym gronie, niejedno przeszło przez moje ręce. I wtedy też głównie zetknąłem się ze sprawkami N.S.Z.-tu — zwłaszcza z działalnością czołowego oddziału N.S.Z. — Brygady Świętokrzyskiej. Chodziła ona w tym samym rejonie i nie obce nam były jej czołowe postacie jak "pułk. N.S.Z.-tu Bohun", "ppułk. N.S.Z.-tu Zab" (skakał do kraju, do A.K., jako por., poszedł do N.S.Z.-tu, i tam, jak wszyscy, raczej szybko awansował), "kpt. N.S.Z.-tu Zbik", "Dymsza", czy inni, których pseudonimy już pozapominałem. Piszę "pułk. N.S.Z.-tu", "kpt. N.S.Z.-tu" itp., ponieważ to były ich N.S.Z.-owskie stopnie, nigdy przez A.K. czy W.P. nie zatwierdzone, ani zweryfikowane.

Przechodząc do faktów i zdarzeń, zauważyłem, iż p. Żochowski podkreśla parokrotnie opiekę N.S.Z.-tu (A.S. itp.) nad ludnością wiejską, tępienie bandytyzmu. Przypomina mi to rozmowy z ziemianami i bogatszymi chłopami w Opatowskim. Opowiadali o doprawdy bezprzykładnych w swej dzikości i brutalności napadach, dokonanych przez oddziały późniejszej Brygady Świętokrzyskiej, oddziały N.S.Z.-tu oczywiście. Wcale wizyty te jakością nie ustępowały najzdom "Osy", "Górala", "Wrzosa" czy "Białego" z A.L. (P.P.R.), lub "Saszi-Sowieciarza", zbiegłego z niewoli. Tak to było. — Pamiętam także, że we wrześniu 1944 dowództwo mojego pułku kwaterowało w maj. Radków w Jędrzejowskim. Długo doprawdy trzeba było zabarykadowanych na górze domu właścicieli przekonywać, że to A.K.! Wciąż bowiem byli pod wrażeniem dwóch, jeden po drugim następujących, ohydnych napadów rabunkowych, dokonanych przez Brygadę Świętokrzyską i "Garbatego" z A.L., w kolejności obojętnej!

W treści swego artykułu p. Ż. wymienia kilka miejscowości — jako miejsc akcji N.S.Z.-tu, m. i. w. Borów k. Annapola nad Wisłą. Znam historię tej "akcji" od naocznych świadków. Oto oddział N.S.Z.-tu pod dowództwem "ppłk. N.S.Z.-tu Zęba" (wówczas majora) kwaterował w tymże Borowie i rejonie. Zachowywali się wzywająco, nieostrożnie i nierozsądnie. Był to rok 1943. Przyszła niemiecka pacyfikacja. Wiadomo. Wsie poszły z dymem, sporo ludzi wybito, dobytek Niemcy zrabowali. A nasz oddział N.S.Z.-tu? Ulotnił się cichutko i bezszelestnie w Lubelskie, nie próbując nawet żadnej akcji ochronnej czy obronnej. Tak wyglądała ta "opieka" ludności.

N.S.Z. tępił komunistów, i jak się dało, partyzantki A.L. i sowieckie. Czy to było słuszne, czy nie, można dyskutować. N.S.Z. się z tym nie kryje. W każdym razie można stwierdzić, iż w tym czasie było to wbrew oficjalnej polityce Rządu Polskiego i wbrew wszelkim cyrektywom. Łatwiej było też bolszewikom później dowiedzieć, że Polacy tak postępowali, no i oczywiście przełać odpowiedzialność za to na A.K. głównie. Dalej, N.S.Z. rzeczywiście mordował Żydów, ukrywających się przed Niemcami. Nie trudno by było na to świadków znaleźć. P. Hirschhaut ma całkowitą słusność.

Dochodźmy teraz do rzeczy najważniejszej, i powiem, do przestęp-



stwa największego. Oto istnieje szereg dowodów i są świadkowie współpracy N.S.Z.-tu (oczywiście wciąż tu mowa o tej części N.S.Z.-tu która się nie scaliła z A.K., nie usłuchała ostatecznego rozkazu gen. Sosnkowskiego i działała "dziko" na swoją rękę) z okupantem, z Niemcami. Ważki to zarzut, jestem tego świadom — niech zdarzenia i fakty mówią. Pewnego dnia, na jesieni 1944, przybyliśmy na kwatery do folw. Lasochów, między Włoszczową i Jędrzejowem. W mojej obecności, właściciel oświadczył d-cy pułku (sp. "Kruk I" — Wiktorowski, ppłk., zmarł w obozie koncentracyjnym w 1945 roku, zaaresztowany przez U.B.), że tydzień przedtem stała u niego Bryg. Św., a że natychmiast po przybyciu zawiadomili oni o swej obecności policję i żand. niemiecką w Małogoszczy, Włoszczowej, Jędrzejowie itd. Na drugi zaś dzień auto pancerne z żandarmami niemieckimi podjechało do jednego z ich ubezpieczeń, coś tam sobie pogadali, i Niemcy w pokoju odjechali! Zapytywał, czy mybyśmy nie postąpili podobnie, aby uniknąć ewent. nieprzyjemności! — Dalej, jest w Anglii sierżant A.K. i W.P. "Andrzej", który zna fakty zrzucania z samolotów niemieckich żołnierzy Bryg. Św. (kiedy już była w Czechach) dla robienia dywersji na tyłach sowieckiego frontu (początek 1945). Są dowody pobierania zaopatrzenia od Niemców, w Kielcach, przez Bryg. Św. Znajdujący się w Anglii of. Inf. Inspektoratu Opatów-Sandomierz, wie coś niecoś na ten temat (kpt. "Kret"). Bryg. Św. wycofywała się z Polski nie tylko "równolegle" do sił niemieckich, jak pisze p. Ż., ale i w dość ścisłej współpracy z tymi siłami (inaczej byłaby zniszczona, biorąc na chłopski rozum). Pracując bowiem przez pierwszą połowę 1945 roku w rejonie Lublińca na Śląsku, spotkałem ludzi, którzy wskazywali szkołę w tym miasteczku, którą Niemcy wyznaczali na kwatery dla Bryg. Św. Tu wtrąca, iż wcale nie brzmi to dziwnie, kiedy p. Ż. stwierdza w swym artykule, iż aresztowania "nie mogły" dojść do dowództwa N.S.Z.-tu! — Nic tu nie wymyśliłem — to są rzeczy wiadome ludziom, którzy się ocierali o innych ludzi w tamtych czasach i w tamtych miejscach. Uderzenie wykonane po zdradziecku — bo przez przyjaciela, na Niemców, na 3 dni przed końcem wojny, nikomu z nas nie zamydliło oczu. Kogo tu oszukiwać!

N.S.Z. był ogromnie, na szczęście, niepopularny w kraju, nieliczny, bez poparcia ludności. Trudno uwierzyć w owych 73.000. Była to rzeczywiście plama na pięknej, bohaterskiej historii okupowanego kraju. Skoro p. Ż. podał swoją interpretację, niechże będzie ona pełna, uzupełniona przez innych, którzy coś niecoś wiedzą. Złożywszy to wszystko razem, może czytelnik, często nieorientujący się w stosunkach w owych czasach, uzyska lepszą, akuratsniejszą ocenę, prawdziwy obraz. — Moment humorystyczny wnosi p. Ż. ową historyjkę o gen. Pełczyńskim z pałką w dłoni. Co za nonsens.

Świeżo wydana historia A.K., krótko, zwięźle i lapidarnie charakteryzuje ową grupę ludzi. Kiedy cały Naród walczył — oni współpracowali z okupantem. Oficjalnie nie mieliśmy Quislingów! Sprawa wprost podpadająca do Trybunału o zdradę Państwa!

Podaję to wszystko szczerze i uczciwie, w najlepszej wierze, nie tając ani zamilczając. Wszak "Kultura" nie cenzuruje artykułów i listów nadesłanych. Wiem, że tak samo myślę, i to samo wie, a może i więcej, szereg, wielu ludzi. Nie ma powodów do ukrywania prawdziwego stanu rzeczy. Zdaję sobie też sprawę, jak już powiedziałem, że to nie błahe zarzuty, ale napisałem je z pełną świadomością.

Łączę wyrazy poważania

783 Euclid Ave.,  
Berkeley, Californie  
U.S.A.

Jan LEDNICKI  
(ps. "Bogdan" ppor.)

## Kronika kulturalna

### Precz z monopolem

Letnie zacisze teatralne w Londynie przetrwał bohatersko jeden tylko Hemar. Natchniony wybuchem wojny w Korei, wystawił rewię "Paweł i Gaweł". Numer tytułowy — o koreańskich północnikach i południkach, przedzielonych równoleżnikiem — odegrała Tola Korian. Bez noża w zębach, ale z tym słodkim "uduchowionym" fałszem, jaki cechuje politruków-idealistów. Znałem niejedną taką komsomołkę, a Tola Korian objawiła mi ich syntezę.

Syntezą emigracji natomiast była piosenka, świetnie przez tę doskonałą artystkę "odmelodeklamowana" — "Ci sami". Mowa tam o tym, że dokąd byś nie poszedł w tym emigracyjnym ghetcie, na co byś nie spojrział, co byś nie zaczął czytać — widzisz wszędzie te same twarze i te same podpisy pod tymi samymi banałami. Dzięki temu tekstowi — i Toli Korian — rewią stanowi pozycję kulturalną, o której warto pisać.

Hemar postawił diagnozę: nasza kultura emigracyjna choruje na anemię starczą, spowodowaną brakiem dopływu świeżej krwi. Anemiczny jest teatr, anemiczna recenzja teatralna, literatura, publicystyka, — anemiczna publiczność (złe wychowana przez złą recenzję), anemiczny czytelnik. Dlaczego się tak dzieje? To inna dziedzina. Napiszemy kiedyś i o tym obszerniej. Moim zdaniem, dzieje się tak dlatego, że większość placówek, tworzących materialną bazę kultury — redakcje, drukarnie, wydawnictwa, "komitety pomocy" — obsiadły ramole, mające wyłącznie na widoku swój kurczowy uchwyt u koryta, a nie rozwój kultury narodowej. Ale mniejsza o genezę — chodzi o terapię. Najlepszym lekarstwem będzie wstrząs — świeże dawki prawdy o sobie samych. Przemilczanie i głaskanie, niewolnicze poddawanie się istniejącemu, od czasu jeszcze wojny, biurokratycznemu prawu monopolu — doprowadzić nas może do zupełnego upadku.

Jeśli teatr londyński jest zły, należy o tym pisać bez litości,



bo od litości będzie jeszcze gorszy. Teatry zwalają winę na publiczność, że nie przychodzi. A ja uważam, że publiczność ma rację, bo nie ma po co przychodzić. Publiczności trzeba dać teatr dobry. Trzeba jej pokazać również dobrego aktora i aktorem ściągać widza do teatru, a nie ciągłym obniżaniem poziomu i uszczuplaniem miejsca dla myśli w imię tak zwanej "lekkości". Nie ma chyba rzeczy mniej lekkiej niż "Improwizacja", a pamiętam na jednym z przedstawień, gdy recytował ją dobry aktor (Zbigniew Blichiewicz), sala trwała w śmiertelnej ciszy, a potem oszalała huraganem braw.

Żaden z teatrów emigracyjnych nie dał nam przedstawienia na poziomie przynajmniej w połowie tak dobrym, jak bywało w Polsce przedwojennej. Ani teatr Kielanowskiego z dumną nazwą i dumnym imieniem, ani mniej dumne inne teatry — nie wywiązały się z zadania, jakie na nie włożyła kultura polska na wolności. Sztuki dobierano w większości na poziomie odcińków powieściowych "Dziennika Polskiego", nie pokazano młodych talentów aktorskich, nie wykorzystano wszystkich starszych, jacy tu przebywają (pracują po szwalniach i fabrykach ciastek). — Przez nasze czysto polskie fochy, fomy, machlojki, personalnictwo, małostkowe kłótnie zespołów i dyrektorów.

Ciągnęło się tę publiczność za uszy aby chodziła do teatru. Wzywał Zygmunt Nowakowski jako prezes Towarzystwa Przyjaciół Teatru, nawoływał wieszcz (czwarty) Terlecki, drąc szaty, wołał Marek Święcicki, "recenzent im. generała Andersa", jak go tu nazywano, potem Bogusławski — we własnym już imieniu. Nawoływałem i ja sam jako — przez czas pewien — recenzent "Orla Białego". Wszystko na próżno. Będę szczerzy: nie dziwię się publiczności. Przyznałem jej rację i przestałem nawoływać, nawet sam przestałem chodzić. Po co? Wystarczy "Dziennik". Poprosiłem redakcję "Orla" o zwolnienie. Biorąc pod uwagę i te parę groszy i łtok u wszelkich posad dziennikarskich, było to aktem dużej odwagi. Nie lubię się chwalić, ale muszę to tutaj zaznaczyć.

Postanowiłem jednak na nowo pisać — ale samą tylko prawdę bez lukru. Byłbym szczęśliwy, gdyby pod wpływem moich i innych bezlitosnych recenzji przestał istnieć jeden i drugi zespół. Mamy zbyt dużo, zbyt złych zespołów teatralnych. Jak również zbyt dużo, zbyt złych wydawnictw. Może to, co zostanie zajaśniej w przyszłości takim blaskiem, jakim jaśniała tamta wielka emigracja. Aby do tego doprowadzić, musimy wydać walkę wszelkiej małości, szmirze, kłamstwu, panegiryzmowi.

Na rewii Hemara odbija się ta zasadnicza dwoistość, dwupoziomowość naszego teatru: obok dobrych błysków i przebłysków płaska szmira — rzekomo dla dostosowania się do poziomu

publiczności. Jest to, nawiasem mówiąc, takie samo zniżenie się do poziomu jak tego sędziego, który próbował z mordercą jak z dzieckiem: "A cio to sie żłobiło cio? Pana lejenta dydu po galdziolku...".

Zawstydzająco głupi jest pierwszy skecz. Włamywacz przychodzi do domu polskiego w Londynie i żąda "money, jewelry, minkcoat". Kompromitacja: nie ma ani pieniędzy, ani biżuterii, ani futra z nurek, bo głowa rodziny źle gra w brydża i wszystko przegrywa. Całe szczęście, że włamywacz okazał się rodakiem — wstyd pozostanie w rodzinie. Bzdura jest tak żaloszna, że Tola Korian (grająca rolę pani brydżystki) czuła się — takie odniosłem wrażenie — nieco zawstydzona i skępowana. Artystyce trudno było wydobyć coś nowego z tej odwiecznej sztancowanej roli niezaspokojonej żony — elegantki.

Pomysł z parodiami miejscowych sław, odegrany w sposób ograny przez p. Majewską, nie wykraczał poziomem ponad "Wesołą falę" lwowską, która — bez względu na to, co o niej mówią entuzjaści — była, moim zdaniem, wielkim kiczem, gdzie dowcip, jak topielca, ciągnęło się za włosy. Ten sam poziom wykazała p. Majewska w piosence, której treścią było marzenie o wypiciu kawy, wódki i rumu w wolnym Lwowie. Więc Mackiewicz po to drze szaty, mając ich i tak niewiele jak na potrzeby swej bujnej figury, więc po to Terlecki zmaga się z intelektem — abyśmy wrócili do kawy i wódki w nocnej knajpie?!

Szczytem szmiry był jednak numer — "Jubileusz". Numer ten przyprowadził o fizyczną niemal odrazę, ale jednocześnie budził podziw dla cierpliwości Hemara, który usiłował wycisnąć coś z pomysłu tak już wyciśniętego. Parodia jest formą tak wyśrubowaną — u nas i na całym świecie, że nie kusiłbym się o laury na tej niwie.

Satyry Hemara, ogólnie biorąc, mają wiele dobrych stron, ale mają jedną zasadniczą wadę: wypowiadają w 16 czterowierszowych zwrotkach to, co Krasicki powiedziałby w jednej czterowierszowej bajce, a nieboszczyk Tadzio Hollender w jednej fraszce. Gadulstwo zabić może najlepszy dowcip. Prawda to odwieczna. Tej prawdy Hemar jeszcze nie zrozumiał, jakkolwiek pojął i wyraził inną ważną prawdę, że nuda polega na tym, że wiecznie "ci sami to samo". Gorzej tylko, że do tej prawdy się nie zastosował, bo rewii swoją napisał — sam ten sam. Był poza tym w tej rewii konferansjerem i recytatorem. To by może nie było za dużo dla Leonarda da Vinci, ale Hemara stanowczo za bardzo obciążało i program powlokło mgłą jednostajności. Jednocześnie pokazało nam namacalnie, jak wielka jest zawsze rozbieżność teorii i praktyki. "Zielony balonik" krakowski, "Qui pro quo", "Cyrulik warszawski" były do brymi teatrykami rewioowymi, bo pracowały nad tekstami zespołowo. Hemar też mógłby się podzielić swoją scenką z niejednym poetą i piosenkarzem. Jest niemało dobrych w Londy-



nie. Trzeba ich tylko ośmielić i zachęcić, a przede wszystkim ustąpić ze swego niemoralnego prawa monopolu.

Ten monopolizm nie jest indywidualną chorobą Hemara. Jest to zaraza, która ogarnęła wszystkie instytucje emigracyjne. Kirken ma monopol na "Dziennik Polski", Karol Zbyszewski na dowcipy, Kielanowski na złe przedstawienia, Szyszko Bohusz na dziwne obrazy.

Wzywam młode talenty — literackie, aktorskie, malarskie, publicystyczne — do walki przeciw monopolom, do rewolucji, która przyspieszy śmierć strupieszających urzędasów w kulturze, a wysunie młodość i talent.

Goetel, gdy mnie dwa lata temu sposobił do rzemiosła pisarskiego, powiedział, że najważniejszą cechą talentu musi być odwaga. Potrzeba nam w Londynie odwagi w wysuwaniu ludzi dotąd niewysuwanych, w podejmowaniu tematów tzw. drażliwych, w otwieraniu okien dla nowych poglądów na stare sprawy.

Janusz KOWALEWSKI.

PRZEDSTAWICIELEM KULTURY

I INSTYTUTU LITERACKIEGO

NA W. BRYTANIĘ JEST

**„GRYF” Publications Ltd.**

169/171, Battersea Church Road, London S.W.11

Tel. BATTERSEA 0879

*We wszelkich sprawach związanych z prenumeratą „Kultury”, zamówieniami książek itp., prosimy zwracać się do wymienionej firmy*

## Książki

### Problematyka ruchów oporu

Literatura po pierwszej wojnie światowej przyniosła odkrycie bezimiennego bohaterstwa, ujętego w symbolu nieznanego żołnierza oraz opisy imiennego bohaterstwa, rozgrywającego się w indywidualnych akcjach szpiegowskich i działaniach na tyłach przeciwnika. Druga wojna światowa w swym odbiciu w literaturze zagadnienia te przestawiła. Druga wojna światowa przyniosła opisy imiennego bohaterstwa w samej akcji woj-skowej, szczególnie i przede wszystkim w lotnictwie, bezimienność zaś przerzuciła do aktywności na tyłach przeciwnika. Przystawienie to wydaje się być logiczną konsekwencją dwu faktów: z jednej strony zmiany samej struktury działań wojennych, z drugiej zaś wyczerpania pewnej tematyki. Jeżeli bowiem chodzi o bezimienność poświęcenia i walki na froncie, to próby ujęcia tego zagadnienia po tego rodzaju artystycznych osiągnięciach co rzeczy Barbusse'a, Duhamela, Remarque'a czy Hemingwaya stały się nie tylko trudne, ale wymagałyby jeszcze nielada odwagi. Bo jakże, mając przed oczami te doskonałe w swym artystycznym uchwyceniu obrazy kusić się teraz o dorzucenie do nich jakiś nowych elementów, oryginalnych spostrzeżeń czy przeżyć. Podobieństwo wysiłku bezimennego w walce frontowej w obu wojnach i doskonałość jego artystycznego wyrazu po pierwszej wojnie tłumaczą obecne milczenie literatury na ten właśnie temat.

Lecz druga wojna otworzyła przed pisarzami nowe perspektywy. Niepokój, iż dostarczona wojną tematyka może wyczerpać się kiedykolwiek, jest i będzie nieuzasadniony. Wydaje się też, że druga wojna światowa w dziedzinie zaopatrzenia pisarzy w materiał do przetwarzania, przeszła najśmielsze oczekiwania. Nowe perspektywy to dwie rzeczy przede wszystkim: umożliwienie powrotu do kultu indywidualnego i imfenne-go bohaterstwa, dzięki lotnictwu, oraz wciągnięcie szero-



kich mas ludności cywilnej do rozgrywki wojennej w postaci tak zwanych ruchów oporu. Te dwa elementy odbiły się w literaturze rozległym echem. Mamy więc całą masę książek, pamiętników i wspomnień lotników, począwszy od Saint-Exupéry'ego, poprzez Clostermana i księgę eskadry Normandie-Niemen, a skończywszy na licznych wspomnieniach lotników angielskich, polskich, kanadyjskich, australijskich itd. Wszystkie te rzeczy posiadają pewien charakterystyczny, jednolity ton. Jest nim uznanie czy kult dla indywidualnego, imiennego bohaterstwa. Dzięki temu, i w ten sposób, zbliżyliśmy się do eposu i w ten sposób druga wojna światowa rewanżuje się pierwszej. Myślę jednak, że trzecia wojna światowa na przekór drugiej wprowadzi bezimiennność i do lotnictwa.

O ile książki poświęcone lotnictwu posiadają jednolity i wspólny im ton, o tyle rzeczy omawiające drugi i tak charakterystyczny element ostatniej wojny — ruchy oporu — dalekie są jeszcze bardzo do osiągnięcia jakiejś zbliżonej do siebie płaszczyzny podejścia do tego zagadnienia. Jest rzeczą nieulegającą wątpliwości, iż ruchy oporu ze wszystkimi ich składnikami i konsekwencjami pozostają w dalszym ciągu dla pisarzy pewnymi niestabilnymi problemami. Stąd szeroki wachlarz sprzecznych ze sobą interpretacji, stąd zalew omówień i książek poświęconych temu zagadnieniu, stąd wreszcie żarliwe słownictwo używane zarówno przez obrońców jak i przeciwników walk podziemnych. Teraz dopiero, w pięć lat od chwili zakończenia wojny, wytapia się powoli i krystalizuje to, co przyzwyczailiśmy się nazywać pseudoobiektywnym ujęciem danego zjawiska. Ale mam wrażenie, że jeszcze sporo czasu upłynie zanim zagadnienie ruchów oporu ubierze się w beznamiętną szatę sklasyfikowanego problemu. Dzisiaj sprawa ta jest jeszcze zanadto żywa.

Chciałbym też dzisiaj — by zdać sobie chociażby częściowo sprawę z kilku aspektów owej rozpiętości rozbieżności w tej dziedzinie — przeprowadzić zestawienie między dwiema książkami. Jedną z nich jest francuska, druga polska. Są to "Les pavés de l'enfer" Dominika Ponchardier \*) i "Popiół i diament" Jerzego Andrzejewskiego (Czytelnik).

Zanim jednak przejdę do ich omówienia pragnąłbym jeszcze zrobić pewną uwagę. Jednym z istotnych i często poruszanych problemów w literaturze po pierwszej wojnie światowej było zagadnienie powrotu kombatanta do normalnego życia pokojowego, była sprawa jego dopasowania się do warunków codziennych po wytraconej i pełnej napięcia egzystencji w warunkach walki. Druga wojna światowa problematykę tę znacznie rozszerzyła. Po drugiej wojnie zagadnienie dopasowania się kom-

batanta ustokrotnie zostało zagadnieniem dopasowania się całej ogromnej rzeszy ludności cywilnej, wytraconej z równowagi obozami koncentracyjnymi, walką podziemną, atmosferą okupacji. Sprawa ta nabrała tak poważnych rozmiarów, iż zagadnienie dopasowania się kombatanta odsunięte zostało na drugi plan, zepchnięte do tyłu, przytłoczone i zmiażdżone. Stało się tak, jakby w ogóle nie istniało. To także jest nowością drugiej wojny w stosunku do pierwszej. Trudno jednak przypuszczać, by trzecia wojna przynieść mogła w tej dziedzinie rewanż kombatanta.

Przeprowadzenie zestawienia książek Ponchardier i Andrzejewskiego może być rzeczą pociągającą i niepozabawioną korzyści, ale stać się także może rzeczą nieuczciwą. Atmosfera bowiem, w której swą książkę pisał Ponchardier jest inna od tej, która otaczała w tym samym czasie Andrzejewskiego. Do dokonywanej przez Ponchardier analizy niedalekiej przeszłości nie wdierały się postulaty i nakazy teraźniejszości i nie stawał on na pewno nigdy w obliczu konieczności nagięcia i poddania swego stosunku do przeszłości temu, czego żąda chwila obecna. Andrzejewski pisze zaś i pisać musi pod naciskiem teraźniejszości. Teraźniejszość ta narzuca i konstruuje w jego książce pewną nadbudowę. Nie chcę i nie będę zastanawiał się tutaj nad tym w jakim stopniu nadbudowa ta jest czy może być u Andrzejewskiego szczerą. Uważam jednak, iż propagandowa strona jego książki w zestawieniu z jego wysiłkiem dania pewnego zbliżonego do obiektywizmu przekroju powojennego społeczeństwa polskiego jest tak znikoma, nieporadna, pełna jakiegoś brukowego frazesu, iż można ją bez wielkiej szkody pominąć i puścić w niepamięć. I to też pragnę zrobić. A robię to przede wszystkim dlatego, by zredukować nieuczciwość przeprowadzonego porównania do minimum. I mam nadzieję, że dowolność tę wybaczą mi wszyscy, nawet ci, którzy przy lada okazji i tak bezcelowo podejmować pragną dyskusję z frazeologią panoszącą się po tamtej stronie kurtyny i że wybaczą mi to także Andrzejewski, pod warunkiem oczywiście, iż frazeologia ta nie stała się już dla niego nieodstępnymi okularami.

Zestawienie książek Ponchardier i Andrzejewskiego jest szczególnie ciekawe jeżeli przeprowadzimy porównanie w dziedzinie stosunku tych dwu pisarzy do walki podziemnej. Książki ich bowiem podobne są do siebie tematyką. Poza tym różnice między nimi są ogromne. Po pierwsze różnią się klasą.

Po przeczytaniu ich przypomniła mi się trochę niewłaściwie i trochę żałośnie niedawna międzynarodowa olimpiada lekkoatletyczna w Brukseli. W czasie tej nieszczęśliwej olimpiady w Brukseli nigdzie i ani razu żadne nazwisko Polaka nie wypłynęło na pierwsze miejsce, a tylko w dziesięcioboju Adamczyk zdołał wygrzebać się gdzieś tam na szarym końcu. Otóż Adamczyk skakał, rzucał dyskiem i biegał tak samo jak i francuski

\*) PONCHARDIER Dominique, *Les pavés de l'Enfer*; (N.R.F. Gallimard), Paryż 1950; str. 443.



zwycięzca dziesięcioboju Heinrich, ale niestety dzieliła ich przegródę klasy. To samo jest z Andrzejewskim. Andrzejewski i Ponchardier patrzą na te same czy podobne zjawiska, notują je, zastanawiają się nad nimi, wyciągają wnioski a potem o nich piszą. Ale książka Ponchardier w swej wadze, rozpiętości szkicowanych nurtów, w ujęciach rysowanych sylwetek, w bogactwie spieć sytuacyjnych, w dezynwolturze rzucanych szczegółów, w bezpośredniości toku narracji, w tym całym kipieniu i wrzeniu jej rozpędu boleśnie dystansuje Andrzejewskiego. Jest to tym smutniejsze, że Ponchardier nie jest zawodowym pisarzem, że "Pavés de l'enfer" to jego pierwsza i bardzo być może — ostatnia książka.

Druga niezmiernie istotna różnica między tymi książkami — to zakres ich ambicji. Ponchardier ogranicza się wyłącznie do wspomnień z okresu walk podziemnych, Andrzejewski pragnie dać przekrój społeczeństwa polskiego w chwili zakończenia wojny. U Andrzejewskiego więc zagadnienie walk podziemnych jest tylko jednym z wycinków rzeczywistości. U Ponchardier jest to cała rzeczywistość.

Jak jednak ta rzeczywistość walk podziemnych w naświetleniach tych dwu pisarzy wygląda? Zaczniemy od Ponchardier.

"Les pavés de l'enfer", które stanowią film działalności Ponchardier w czasie okupacji niemieckiej są jednocześnie świetną i jedną z najbardziej obrzydliwych książek, jakie w życiu czytałem. W tym filmie opowiadanym przez Ponchardier z werwą, a miejscami humorem i odrobiną sentymentu tam gdzie trzeba, rozwija się przed naszymi oczami działalność zorganizowanej przez niego sieci oporu od samego początku aż do momentu uwolnienia Francji, ze wszystkimi trudnościami, niebezpieczeństwami, poświęceniem jej członków, bohaterstwem i odwagą. Ponchardier mówi nam nie tylko o sobie, o swych perypetiach i swym życiu, pełnym napięcia i beztroskiego, nonszalanckiego, imponującego ryzykanctwa, o swym bracie Piotrze, dzisiaj wysokim oficerze marynarki walczącym w Indochinach, lecz o całej rzeszy swych dalszych i bliższych współpracowników, o ich jakże często zastanawiającej odwadze i samozaparciu. Ponchardier na tę niedaleką przeszłość swoją i swych przyjaciół, przeszłość, której główną charakterystyką była wieczna, wszędzie obecna i za wszystkim czająca się niepewność — patrzy z sentymentem. Właściwie żałuje on, iż minęła. Jest to bez wątpienia zastanawiająca cecha nastawienia Ponchardier.

Ważnym aspektem książki Ponchardier jest to jak widzi on sprawę ruchu oporu. Ponchardier nie jest na pewno człowiekiem, który by chciał siebie i czytelników z tych czy innych względów okłamywać. Wprost przeciwnie. Chce on z perspektywy minionych pięciu lat spojrzeć w sposób jak najbardziej szczerzy na to, co w czasie okupacji niemieckiej zrobił, czym był w tym okresie, jakie brał na siebie odpowiedzialności i czym byli jego towarzysze. Książka więc jego jest spowiedzią. Spowiedzią

prostą, cenną i wzruszającą. Ale jednocześnie jest ona także podsumowaniem bilansu owych lat pracy konspiracyjnej. I w tym jest najciekawsza.

Próbując bilans ten zestawień Ponchardier zadaje sobie kilka pytań. Jest więc najpierw pytanie — kim byli ci ludzie, którzy razem z nim najodważniej ryzykowali swe życie, co ich do wstąpienia do ruchu oporu popchnęło, jakimi pobudkami się kierowali. Odpowiedź Ponchardier jest bardzo znamienita. W odpowiedzi tej nie pada ani razu słowo patriotyzm czy przywiązanie do ojczyzny, ani razu nie posłyszysz o jakimś wzniosłym czy szlachetnym ideale. Natomiast w każdej z zarysowanych sylwetek Ponchardier dostrzegać będzie jakąś ściśle określoną, indywidualną przyczynę, popychającą ją do uczestnictwa w walce konspiracyjnej. W tym wachlarzu pobudek Ponchardier rozróżnia kilka typów. Jest więc w stanie czystym najzupełniej, wykrystalizowana i istniejąca sama dla siebie nienawiść do Niemców, potem pragnienie zemsty, potrzeba zaspokojenia chęci otaczania za kogoś, kto współpracuje z drugim oddziałem, co zawsze prowokowało i prowokuje zainteresowanie otoczenia, wreszcie chęć politycznego zabezpieczenia się. O sobie samym Ponchardier mówi, że walczył z Niemcami o wolność. Ale wolność w pojęciu jego to znowu coś niezmiernie zindywidualizowanego. Jest to coś pośredniego między przywiązaniem do kpienia ze wszystkiego a zamiłowaniem na przykład do spluwania nie do spluwaczki lecz obok niej, gdy przyjdzie na to ochota.

Gdybyśmy spróbowali ustalić jakąś wspólną płaszczyznę między tymi, tak rozbieżnymi, pobudkami pchającymi ludzi do uczestnictwa w ruchu oporu, to okaże się, że łączyła ich jedna pasja — pasja wyżycia się (z wyjątkiem oczywiście grupy ludzi, starających się zabezpieczyć się politycznie). Chęć wyżycia własnych, tych czy innych, urazów i kompleksów, a poza tym wspólne im wszystkim pragnienie wyżycia się w jakichś sztubackich, urwisowskich igraszkach. Dla Ponchardier Resistance to jakiś fantastyczny, wspaniały boy-scoutyzm. Boy-scoutyzm, w którym rozrastało się poczucie swej wagi i znaczenia, w którym rozwijał się instynkt koleżeństwa, solidarności i poświęcenia, w którym wyrabiało się prawdziwe poczucie odpowiedzialności. I dzięki tym elementom ci ludzie pchani indywidualnymi pobudkami oraz zamiłowaniem do zabawy w harcerzy, spotęgowanej jednak istnieniem realnego niebezpieczeństwa, dali z siebie w Resistance jakąś kolosalną sumę bezimiennego bohaterstwa i poświęcenia. To jest jedna strona zagadnienia.

A druga to ta, że ci sami ludzie, którzy swą zabawę w nowoczesnych harcerzy rozpoczynali od niewinnych często, a złośliwych kawałów, w rodzaju nalepiania na koszarach niemieckich znaków V czy wykradania żołnierzom butów gdy spali, kończyli ją w krwawym i wyrafinowanym okrucieństwie. Przez drogę tę przeszli prawie wszyscy, łącznie z samym Ponchardier. Po-



suwanie się drogą tą było nieuchwytnie, lecz nieuniknione. Sam Ponchardier nie bardzo wie jak się na niej znalazł. Ale teraz z perspektywy pięciu lat mówi, że to było konieczne.

Cała książka Ponchardier wypełniona jest realistycznymi opisami makabrycznych, rewoltujących scen niepotrzebnego okrucieństwa. Są więc takie.

W Haute Savoie porucznik Simon, przywódca oddziału Resistance organizuje zasadzkę na transport żołnierzy niemieckich. Biorą do niewoli kilku Niemców wraz z ich dowódcą oficerem. Simon na oczach swych towarzyszy morduje oficera niemieckiego obcinając mu siekierą głowę i wytacza z niego krew. Potem z krwi tej każe zrobić pączki i wszystkich towarzyszy swych zmusza do zjedzenia po jednym pączku za to, że zachowali się oni, jego zdaniem, niedostatecznie odważnie w czasie ataku na Niemców. Ponchardier ma słowa uznania dla porucznika Simon.

Albo taka. W Thonon, zaraz po wypędzeniu Niemców, oddział F. F. I. bierze do niewoli SSmana, z pochodzenia Włocha, i osadza go w więzieniu. Ale okazuje się, że wśród żołnierzy F. F. I. znajduje się także Włoch. Postanawia się więc sprawę SSmana powierzyć Włochowi z F. F. I. I przez kilka dni z rządu i co kilka godzin organizuje się spotkania między tymi dwoma rodakami. Spotkania te miały przebieg następujący. Włoch F. F. I. powoli, systematycznie, rozkoszując się każdym uderzeniem zaczął bić SSmana. Trwało to tak długo dopóki tamten upadłszy na ziemię nie miał już sił podnieść się. Wtedy F. F. I. rzucał się na swą leżącą bezwładnie ofiarę wpijał się w nią, wtulał i zaczynał gryźć. Gryzł ją w twarz, uszy, piersi, wrywał kawałki ciała. Dopiero gdy SSman stracił całkowicie przytomność odrywano od niego Włocha z F. F. I., w transie, w konwulsjach, z krwawą pianą na ustach. I w kilka godzin potem rozpoczynano na nowo tę zabawę. Ponchardier scenie takiej przyglądał się spokojnie, pomyślał iż Włoch z F. F. I. przypomina mu papą, lecz nie zakazał kontynuowania tego znęcania się i nie zaprobstował.

Od takich scen książka Ponchardier się roi. Zapewne, w odmalowywaniu ich, poza wprowadzeniem krańcowego realizmu, nie ma nic nowego. Każda powieść i wspomnienia poświęcone obozom koncentracyjnym czy ostatniej wojnie miały za punkt ambicji kumulowanie dowodów zezwierzczenia ludzkiego. Natomiast rzeczą nową zupełnie jest to, że Ponchardier tego nie potępia. Uważa, iż tak musiało być i że taki był nieunikniony bieg wypadków.

Resistance w oczach Ponchardier, to dowolne zgrupowanie ludzi, połączonych wspólnym pragnieniem wyzicia swych kompleksów w sztubackich igraszkach z Niemcami i dających w igraszkach tych z siebie maksimum samozaparcia i poświęcenia oraz maksimum okrucieństwa. Krwawy boy-scoutyzm, którego ceną było własne i cudze życie.

Ofiarą tych okrucieństw padali często ludzie niewinni — przy-

znaje Ponchardier — ale tak jest i było zawsze we wszystkich rewolucjach. Ponchardier poza tym podkreśla często użyteczność tej krwawej zabawy z Niemcami dla ogólnej sprawy walki z nimi. Lecz myśli on, że właściwie rozmiar jej oceni dopiero historia. Oto w skrócie stosunek jednego z głównych przywódców Resistance do sprawy ruchu oporu we Francji.

Andrzejewskiego "Popiół i diament" jest — jak powiedziałem — znacznie szerszym ujęciem rzeczywistości. Andrzejewski w książce swej pragnie dać przekrój całego społeczeństwa i zarysować problemy, które społeczeństwo to w chwili zakończenia wojny z Niemcami nurtowały. "Popiół i diament" to książka inteligentna i poza ową nadbudową propagandową, mam wrażenie obiektywna i uczciwa. Są w niej sceny i sylwetki doskonałe. Przede wszystkim sędzia Kossecki i jego problem powrotu z obozu koncentracyjnego, gdzie wystugując się Niemcom uratował siebie kosztem innych. Całość zaś książki Andrzejewskiego tworzy plastyczny bardzo obraz społeczeństwa polskiego, zmęczonego latami okupacji, rozbitego na grupy i grupki tych, co chcą emigrować i tych, co chcą pozostać dostosowując się do nowych okoliczności, tych, co na tych nowych okolicznościach pragną robić kariery i tych co chcą zamazać grzechy przeszłości, tych wreszcie co wierzą w przyszłość i tych, którzy tej nowej przyszłości przeciwstawić się pragną zbrojnie i czynnie. Straszliwa, tragiczna i na pewno prawdziwa szachownica sprzecznych nastawień, ambicji, pragnień i dezorientacji, zanurzona w niepewności i niewiadomej zalewanych wódką. Podgórski i Szczuka dwie postacie, które reprezentować mają pozytywny wysiłek pracy i entuzjastyczny stosunek do dokonywanej rewolucji są tak blade, iż w ogólnym obrazie giną prawie całkowicie. Zresztą ma się wrażenie, iż Szczukę interesują tylko dzieje jego żony.

W tej pogmatwanej rzeczywistości Polski w chwili zakończenia wojny jest oczywiście i ruch oporu. Polski ruch oporu Andrzejewski rozbija na dwie kategorie, na ludzi, którzy działalność swą rozwijali podczas okupacji niemieckiej oraz dorastających zaledwie wyrostków, którzy dopiero teraz pragną rzucić się w wir walki podziemnej. Ta druga kategoria dla Andrzejewskiego, tak samo jak dla Ponchardier, to krwawy boy-scoutyzm, prowadzony dla zaspokojenia własnych ambicji. Szretter i jego przyjaciele chcą się bawić i być ważni. Tutaj więc Andrzejewski i Ponchardier spotykają się, ich oceny ruchów oporu pokrywają się całkowicie. To spotkanie Francuza i Polaka w tej dziedzinie jest co najmniej zastanawiające. Nie wiem tylko czy oceny tych dwu pisarzy podyktowane są tymi samymi względami. U Andrzejewskiego bowiem przejawiać się może w tego rodzaju ustosunkowaniu, chociaż nie jest to konieczne, nacisk teźniejszości.

W przedstawieniu pokolenia zaprawionego w walce z okupantem Andrzejewski różni się już od Ponchardier. Różnica doty-



czy przede wszystkim tego, że Andrzejewski nie stara się zarysować psychicznych sylwetek dwu głównych przedstawicieli tej kategorii ruchu oporu, Maćka Chełmickiego i Andrzeja Kosseckiego. Ot, bili się oni po prostu z Niemcami i było fajno. To wszystko. Jest to ujęcie dosyć symplicystyczne, ale prawdziwość jego nie jest wykluczona. Za tą pierwszą różnicą idzie zaraz następna.

U Ponchardier ani razu w uzasadnianiu ruchu oporu nie padały wielkie słowa. U Andrzejewskiego te wielkie słowa, w rodzaju ojczyzny, honoru, wolności, sprawiedliwości ukazują się nieustannie. Mówi o nich i nakazuje w imię ich dalsze prowadzenie walki kapitan Waga i Andrzej Kossecki. Polacy odurzając się nimi żądają poświęceń. Nie wiem czy posunę się zbyt daleko, ale mam wrażenie, że w takim ujęciu ruchu oporu zarysowuje się różnica między społeczeństwem francuskim a polskim. Francuzom nie potrzeba wielkich słów do zagrzania do walki. W słowa te wierzyli oni w czasie rewolucji. Teraz potrzeba im silnych i własnych kompleksów. W Polsce waga słów, symbolów, idej jest ogromna. Traktuje się je serio, strasznie serio, ciążą one i ciągną za sobą nieodwołalnie. Jeszcze nie osiągnęliśmy stadium kompleksów.

Andrzejewski częściowo i jakby połowicznie myśli, że może do stadium tego dochodzi pokolenie najmłodsze, pokolenie dorastających zaledwie młodzieniaszków. Wydaje mi się jednak, że tego rodzaju klasyfikacja jest zbyt pochopna.

Waga idej i symbolów w Polsce uwidacznia się w książce Andrzejewskiego szczególnie tam, gdzie mówi on o walce wewnętrznej Chełmickiego. Chełmicki zakochał się, chciałby zerwać ze swym niezorganizowanym i niepewnym życiem, zakończyć krwawy obowiązek zabijania. Mówi o tym Kosseckiemu i podejmuje z nim dyskusję. Kossecki zarzuca Chełmickiego obowiązkami płynącymi z takich idej-symbolów jak honor, poczucie solidarności, wierności. Chełmicki pod naciskiem tych symbolów zabija Szczukę a potem sam niepotrzebnie i głupio ginie. Andrzejewski rysując dzieje Chełmickiego chciał nam pokazać jak trudne, o ile nie niemożliwe jest porzucenie i wyjście z ruchu oporu. Nacisk idej, w imię których podjęło się walkę wiąże i trzyma nawet wtedy gdy tę walkę pragnęłoby się skończyć. To chyba nazywa się nieśmiertelnością idei.

Wyjście z ruchu oporu, to co nazwaliśmy dopasowywaniem się ludzi do codziennych warunków egzystencji jest u Ponchardier tak samo tragiczne, trudne, beznadziejne. Ponchardier przez trzy lata od chwili zakończenia wojny męczy się, boleśnie przeżywa rozczarowanie zwycięstwa (jakże drugorzędne w porównaniu z naszymi), jest nieszczęśliwy i nigdzie nie może znaleźć sobie miejsca. W końcu znajduje rozwiązanie wyjeżdżając do Indochin. W Indochinach będzie się pewnie dalej bił.

Tak wygląda porzucanie ruchu oporu i kilka aspektów związanych z tym ruchem widzianych oczami z jednej strony czyn-

nego uczestnika francuskiej Resistance, a z drugiej polskiego pisarza. Polaka i Francuza. Zbieżność odrębności.

A mnie po przeczytaniu tych dwu książek narzucił się z nieodpartą siłą następujący wniosek: stwórzmy na zachodzie warunki wyzywania się kompleksów, a na wschodzie utrzymajmy wagę idej i symbolów oraz jednocześnie, zarówno na wschodzie jak i na zachodzie spróbujmy umożliwić ludziom rozrastanie się w nich uczucia, iż są ważni i potrzebni, że uzyskamy niespotykaną w dziejach sumę bohaterstwa i samozaparcia. Tylko później jak to bohaterstwo zatrzymać, jak je porzucić i jak z niego wyjść?

Józef URSYN

## Filozofia historii Europy

W swej przedmowie do książki prof. Oskara Haleckiego o granicach i podziale historii Europy,<sup>1)</sup> autor *The Making of Europe*, Christopher Dawson, słusznie zaznaczył, że praca polskiego uczonego jest jedyną istniejącą książką, która daje dokładną a wszechstronną definicję Europy; Europy tak w sensie terytorialnym, duchowym jak i historycznym. Całe biblioteki zapełnione są pracami na temat dziejów poszczególnych narodów i państw naszego kontynentu lub dzieł pisanych "z europejskiego punktu widzenia", ale dopiero prof. Halecki postawił jasno problem pisania historii narodów europejskich traktowanych jako całość, jako zbiorowość odmienna i odrębna od innych. I w tym słusznie widzi Dawson wielką zasługę małego rozmiarami lecz rozległego zakresem, a śmiałego podejściem dzieła profesora historii Europy Wschodniej Uniwersytetu Fordham w Nowym Jorku.

Natchnienie do napisania swej pracy czerpał autor, jak to zaznacza w przemowie, z wielkiego przesilenia naszych czasów, ze świadomości, że "po wojnie 1939-1945... pokolenie nasze przeżywa przejście z jednej epoki historycznej do drugiej". Ta kończąca się epoka to właśnie schyłek "Wiek Europejskiego", a okres otwierający się przed nami to "Wiek Atlantycki". Świadomość zamknięcia się bezpowrotnie epoki, w której Europa była centrum świata, tak w sensie ogólnocywilizacyjnym jak i ściśle politycznym, skłania autora do szczegółowej analizy, lecz nie napawa go zbyt pesymizmem. Prof. Halecki nie należy

<sup>1)</sup> O. Halecki, *The Limits and Divisions of European History*. Sheed & Ward, London and New York, 1950, str. 242 i VIII.



do katastrofistów typu Oswalda Spengler'a czy Maurice Murret'a. Nie podziela on również kassandrycznych przeczuć Gonzague de Reynold'a. W swym umiarkowanym optymizmie idzie on raczej po linii reprezentowanej przez Toynbee'go. Prof. Hалеcki jest przekonany, iż nawet w wypadku dalszego rozkładu cywilizacji europejskiej, rozkładu takiego jakiego uległa była swego czasu filozofia hellenistyczna, tradycja kultury europejskiej ma wszelkie szanse przetrwania i decydującego kształtowania cywilizacji, które przyjdą; będzie to prawdopodobnie proces analogiczny do osmozy kultury hellenistycznej w ramach Imperium Rzymskiego.

Rzucając zarys wykluwania się naszej cywilizacji w zaraniu dziejów, autor słusznie zwraca uwagę, iż poza sprzyjającymi warunkami klimatycznymi kształtowana była ona przez dwa inne decydujące czynniki geograficzne: szczupłość bazy terytorialnej, oraz niespotykaną gdzie indziej różnorodność morfologiczną zawartą w ramach szczupłej przestrzeni jednego z wielu półwyspów gigantycznej masy Eurazji. Liczba i przestrzeń nigdy nie odgrywały roli rozstrzygającej w dziejach naszego kontynentu, słusznie zaznacza autor; a cokolwiek jest olbrzymie i jednolite, jest ze swej istoty nie-europejskie. To jest jedna z tajemnic rozwoju, rozkwitu i uroku Europy. Dwa wykwyty, Grecja i Szwajcaria, według symbolicznej terminologii Gonzague de Reynold'a, jedna "pierwowzór Europy", druga — jej "serce", oba byłyby zapewne na każdym innym kontynencie naszego globu jakimiś zapadłymi prowincjami luz zgola pojęciami geograficznymi bez głębszego sensu i jaśniejszego blasku. Ale na szczęście Europa rządzi się innymi swoistymi prawami.

Wnikliwa analiza czynników geograficznych nie oznacza oczywiście skłonności do materialistycznego determinizmu. Autor główne znaczenie w kształtowaniu oblicza naszej cywilizacji słusznie przypisuje wpływom duchowym pierwiastków grecko-rzymskich oraz Chrześcijaństwu, temu ostatniemu przyznając znaczenie rozstrzygające. "Największy wkład nowej religii (Chrześcijaństwa) do formowania się Europy... było odnowienie na trwałe, bo ponad-naturalnej podstawie i ciągła opieka roztaczana nad prawdziwą wolnością opartą na godności człowieka..." "...Chrześcijaństwo przeniknęło cywilizację europejską tak głęboko, że, wraz z upadkiem Grecji i Rzymu, który pomogło uchronić, uformowało ono ostatecznie oblicze Europy." Nawet w wypadkach, gdy Europa wydawała się odrzucać zasady chrześcijańskie, pozostawała ona "podświadomie wierna Chryścianizmowi". "I choć prędzej czy później Chrześcijaństwo mu-

siało rozprzestrzenić się poza Europę, nie mogło być prawdziwej Europy poza Chrześcijaństwem".

I tu autor dochodzi do swej kluczowej definicji Europy. "Europa — pisze on — jest to wspólnota wszystkich tych narodów, które, w sprzyjających warunkach obszaru małego, ale zróżnicowanego, przejęły i rozwinęły spadek cywilizacji grecko-rzymskiej, przetworzony i uszlachetniony przez Chrześcijaństwo, i w ten sposób zapewniły wolnym narodom spoza obrębu dawnego Imperium (rzymskiego) dostęp do trwałych wartości przeszłości." Ta cywilizacja po okresie mozolnego kształtowania się w ciągu pierwszego tysiąclecia naszej ery, po okresie "tworzenia się Europy", weszła w epokę swego rozwoju trwającego przez niemal całe następne millenium. Tę erę autor nazywa "Epoką Europejską"; zaczyna się ona z nawróceniem ostatnich większych zgrupowań ludów pogańskich naszego kontynentu: Węgieł, Polaki, Rusi oraz trzech narodów skandynawskich, które w ten sposób stały się, poprzez członkostwo "Respublica Christiana", uczestnikami wspólnoty europejskiej. Za szczytowy punkt rozwoju tej wspólnoty uważa autor wiek XIII, gdy wydawało się, że *philosophia perennis* stworzyła trwałą harmonię pomiędzy wiarą i rozumem z jednej strony a między dwoma głównymi składnikami naszej cywilizacji, tradycją humanistyczną i chrześcijańską, z drugiej strony. Podważenie tej harmonii przez rewoltę humanizmu oraz niezdolność do zapewnienia *Pax Europea*, sekularyzacja i idąca w ślad materializacja naszej kultury, w połączeniu z rujnąjącymi wojnami, oto dwie główne przyczyny schyłku "Epoki Europejskiej", utraty przez tę drobną, ale jakże twórczą część globu przodującego znaczenia w świecie. Wojna lat 1914-1918, w istocie największa i ostatnia z wojen europejskich, pociągnęła za sobą skutki katastrofalne. Stało się jasne, że Europa drugiego podobnego kataklizmu nie wytrzyma bez utraty swego przodownictwa w świecie. Pozycja jej mogła być uratowana jedynie drogą solidarnej współpracy całego zespołu narodów pracujących w tym samym duchu. Wybuchł jednak konflikt. Był to pierwszy konflikt naprawdę na miarę globalną, spowodowany głównie buntem jednego z członków wspólnoty przeciwko Europie i jej zasadom; bunt ten został poskromiony dzięki współdziałaniu czynników pozaeuropejskich, które podyktowały też pokój oparty na podziale obszaru rdzenia europejskiego, co dla jego środkowo-wschodniej części oznacza w praktyce wypchnięcie poza ramy Europy. Stąd, jak słusznie podkreśla autor, walka o granice między Rosją a jej zachodnimi sąsiadami była czymś więcej niż zwykłym sporem o skrawki terytoriów: była to walka o granice Europy. Europa Środkowo-Wschodnia jest bowiem integralną częścią naszego kontynentu, spadkobierczynią tych samych tradycji i ideałów. Tak skończyła się "epoka europejska".

Dzięki przyspieszonemu rytmowi historii, wykluwanie się nowej epoki nie trwało przez lat tysiąc, tak jak w wypadku "two-

\*) Sir Owen O'Malley, b. ambasador brytyjski przy rządzie polskim w Londynie, w przygodnej rozmowie rzucił epigram kapitalnie charakteryzujący dwoiste, a nawzajem uzupełniające się podwaliny naszej cywilizacji, grecko-rzymskie i chrześcijańskie: "Europe — powiedział on — is love of law and law of love. Love of law is Greco-Roman heritage, law of love — Christian".



zenia się Europy", lecz rozpoczęte Rewolucją Amerykańską zakończyło się w ciągu ostatniej wojny. Choć politycznie środek ciężkości nowej wspólnoty leży poza Europą, w północnej części kontynentu amerykańskiego, to jednak "stara ziemia" jest ciągle głównym ogniskiem kulturalnym nowego systemu, który winien kultywować tradycje i przechowywać spadek a korzystać z doświadczeń poprzedniego okresu dziejów.

Zakończywszy zarys swej panoramy, oraz po przerezegowaniu podziału terytorialnego oraz chronologicznego historii europejskiej, prof. Halecki analizuje stosunek między granicami geograficznymi Europy a podstawowym sprawdzianem i centralnym problemem Europy. Jak Lord Acton tak i prof. Halecki traktuje historię Europy jako dzieje wolności i jej rozwoju. "Gdy kiedykolwiek, w jakiegokolwiek części Europy, któryś z podstawowych problemów politycznych jest rozwiązany przez zdławienie wolności, taki obszar zostaje usunięty, przynajmniej czasowo, poza granice Europy." "Tylko wówczas gdy zasady rządu demokratycznego oraz prawa narodowego samo-określenia, te dwa równie ważne osiągnięcia pędu Europy do wolności, zostaną urzeczywistnione we wszystkich cywilizowanych społeczeństwach, wówczas, pomimo różnic kulturalnych, świat stanie się jednością sfederowaną pod rządami sprawnej organizacji światowej, zdolnej zagwarantować trwałą pokój oparty na wolności, sprawiedliwości i bezpieczeństwie."

Książka prof. Haleckiego jest, trzeba to stwierdzić ze smutkiem, pierwszą i jedyną pracą polską na emigracji, stanowiącą poważny a trwały wkład do historiografii światowej. Jest to wkład wielokrotnie przekraczający szczerpłe rozmiary tej prawdziwej filozofii historii Europy, pisanej z precyzją, a zarazem z poletem godnym zarówno wielkiego uczonego jak i pisarza. Praca ta, jak zapowiada autor, jest zarysem obszerniejszego dzieła; ma być ono poświęcone Kopciuskowi europejskiego piśmiennictwa: Europie Środkowo-Wschodniej, której dualizm tak kapitalnie sformułowany został w jednym z rozdziałów książki. Przyklasnąwszy trwałym osiągnięciom już ogłoszonej pracy, można tylko wyrazić życzenie by zapowiadzana praca ukazała się jak najszybciej.

M. K. DZIEWANOWSKI.

## Ojciec Kolbe

"Rycerz Niepokalanej" miał bardzo złą opinię wśród inteligencji polskiej. "Stek przesądów", mówili bezwyznaniowcy; "okropny poziom", stwierdzali katolicy. Sama nie zadałam sobie nigdy trudu przeczytania uważnie chociażby jednego numeru "Rycerza", wystarczyły mi próbki podawane w *camera obscura* "Wiadomości Literackich". Zdarzyło mi się jednak spotkać raz niebieski zeszytek na skrzyni z owsem, w stajni dosyć oddalonej od stolicy i Niepokalanowa miejscowości; to mnie zastanowiło i ten numer przejrzałam.

Ale też pismo to było przeznaczone dla szerokich warstw robotniczo-chłopskich, zaledwie obeznanym z drukiem, bynajmniej nie dla inteligencji i w tych szerokich warstwach spełniało zadanie które mu zlecił jego założyciel. "Rycerz" trafiał nawet na Kresy Wschodnie, gdzie nie zawsze docierał elementarz i które gazet nie znały. Zawierał katechizmową apologetykę, wyjaśnienia przykazań i przepisów kościelnych, zwęzłe podane żywoty świętych oraz cuda i cudowne zdarzenia, spełniane za przyczyną Matki Boskiej; szerzył też kult Maryjny, tak drogi Polakom.

Z książki Marii Winowskiej<sup>1)</sup> dowiadujemy się o dziejach "Rycerza Niepokalanej". 1-szy numer ukazał się w styczniu 1922 r. w okresie najostrejszego kryzysu ekonomicznego, wtedy, kiedy inne pisma upadały jedno po drugim. Odtąd nieustanny wzrost skromnego pisma przybiera niespotykany w Polsce rytm. W 1929 "Rycerz" wydawany jest już w nakładzie 12-tu tysięcy. Kalendarz na rok jubileuszowy 1925, ryzykowne przedsięwzięcie, rozchodzi się całkowicie w tym samym nakładzie i staje się odtąd źródłem poważnego dochodu. Tenże rok jubileuszowy zdwaja nakład pisma, oraz ilość pracowników. W roku 1927 mamy już 45 tys. nakładu, w 1927 — 50 tys., w 1928 — 81, w 1930 — około 300-tu tys., w 1935 — 700 tys. a w 1939 przekroczone milion. Rekord osiągnięty w 17 lat!

Ponadto wydawany był "Rycerzyk" dla dzieci, "Miles Immaculatae" — przeznaczony dla różnojęzycznego duchowieństwa wszelkich ras, zaś od 1935 zaczyna wychodzić "Mały Dziennik", gazeta popołudniowa w duchu katolickim i ponadpartyjnym.

Wydawanie pisma codziennego, kilkakrotnie podejmowane przez episkopat polski, kończyło się dotychczas zawsze niepowodzeniem. "Mały Dziennik" zyskuje od razu niespotykaną poczytność, kosztuje tylko 5 groszy. Sukces tej "księżowskiej szmady" wzbudza gwałtowną wrogość pism konkurencyjnych, których koszt był poczwórny.

— Wielka sztuka! — powiadają oburzeni wydawcy — korzystacie z darmowej robocizny!"

1) *Le Fou de Notre-Dame, Père Maximilien Kolbe. Cordelier.* (Bonne Presse, Paris, 1950, str. 282, 5 plansz ilustracji poza tekstem).



— Róbcie to samo co my — odpowiadał O. Maksymilian. — Dlaczego nie?

Rajmund Kolbe, syn ubogich tkaczy łódzkich, młodzieniec wielkich zdolności, wrócił w 1919 roku z Rzymu do Polski jako doktor teologii i filozofii, świeżo wyświęcony na księdza, w zakonie, Ojciec Maksymilian. Liczył lat 24 i był suchotnikiem. Koledzy nazywali go "marmeladą", tak był łagodny i powolny w ruchach, w obawie stale grożących mu krwotoków płucnych. Ten chorowity młodzik, świetny matematyk, ze zdolnościami wynalazcy, który po ukończeniu szkoły średniej wahał się pomiędzy karierą wojskową (nieodparcie pociągała go strategia) a powołaniem duchownym, ma nieograniczone ambicje: chce mianowicie zdobyć cały świat dla wiary Chrystusowej przy pomocy Matki Boskiej, oddaje się w Jej rozporządzenie jako Jej rycerz i narzędzie. W służbie swego ideału postanawia zaangażować całą współczesną technikę.

Ojciec Maksymilian, rycerz Niepokalanej, wyrusza na swoją wojnę bez żadnych środków, bez stosunków, bez doświadczenia, bez zdrowia nawet (lekarze dają mu kilka miesięcy życia). Doktor filozofii i teologii będzie mówił do prostaczków.

Stara maszyna drukarska, nabyta w Krakowie za "przypadkowe" 100 dolarów, jest zastąpiona w Grodnie, gdzie Ojcowie wysyłają niespokojnego kolegę, przez inną, ostatni model techniki, ręczna korbka starej "babci" przez motor Diesla. W refektarzu klasztoru grodzieńskiego zamienionym na halę maszyn staną ostatnie modele lśniących linotypów. W 1926 stworzy O. Maksymilian "z niczego", rękoma swoich braciśzków, całą osadę poświęconą Matce Boskiej, Niepokalanej pod Warszawą, założy filię "Rycerza" w Japonii, rzuci podstawy dalszej pracy w Indiach, będzie marzył o misjach w Rosji. Polska — to odskocznia na świat.

Niepozorny, cichy, przykładowy wobec przełożonych posłuszeństwa, o bardzo czujnym i łagodnym spojrzeniu, z wyrazem skupienia na ustach, które nigdy nie kłamią a dużo się modlą, pracował bez wytchnienia, w przekonaniu, że jest tylko odpadkiem ludzkim, narzędziem w rękę Boga.

Przed samą wojną zakłada w Niepokalanowie sprawnie funkcjonującą stację nadawczą, projektuje konstrukcję lotniska dla czterech samolotów ("na początek!"), ogląda się za trupą najlepszych aktorów, w myśl produkcji filmów katolickich. W Niepokalanowie jest 700 braci na 6 ojców, stosunek niespotykany w klasztorach współczesnych, a wszyscy żyjący na stopie równości i wyrzeczenia pierwszych chrześcijan i pierwszych braci św. Franciszka.

Różni przedsiębiorcy, dziennikarze, dostojnicy świeccy i kościelni, zwiedzający zakład, nie mogą wyjść z zadziwienia. Ojciec Kolbe usiłuje prowadzić wojnę, wykorzystując wszystkie metody swoich przeciwników, dlaczego nie?

"Niesłychane, powiada jeden ze zwiedzających, mistyka i technika idą tu ręką w rękę!" Zaś Żyd, komunista, przyznaje Ojcu Maksymilianowi, że po raz pierwszy w w tym klasztorze ogląda realizację komunistycznych ideałów. "Jesteście prawdziwi komuniści!" — stwierdza w tonie najwyższego uznania. Komuniści w zbiorowym, dobrowolnym, bezinteresownym trudzie około budowy lepszego świata.

Rozsyłane do wsi i fabryk prospekty "Rycerza Niepokalanej" były opatrzone fotografiami: przy maszynach, w administracji, ekspedycji, redakcji wszędzie braciśzkowie, dziecinne, proste twarze, golone głowy, łatane habity. Więc zakonnik może też pracować, nie tylko się modlić?

Ojciec Kolbe, pierwszy w Polsce zaprojektował dla Niepokalanej pięcioletni plan robót, pierwszą **piatiletkę!** Heroizm jest zaraźliwy. Każdy rok zwiększa ilość kandydatów, którzy by chcieli pracować z O. Maksymilianem, to ich warunek: w ostatnich przedwojennych latach było rocznie około 1000 zgłoszeń, po przesłaniu zostawało ok. 10 %, w ich liczbie byli też zecerzy, technicy, a nawet inżynierowie; maszyny hucza, wypluwając po 20 tys. egzemplarzy pisemka na godzinę, potulne "siostry maszyny", potężny "brat motor", jak Ojciec nazywa swoich towarzyszy walki.

— Co by powiedział św. Franciszek na tak kosztowną maszynę? — zauważył jeden z biskupów zwiedzających Niepokalanów.

— Zakasały rękawy, Eksceleńco, i stanąby z nami do pracy! — odparł ks. Kolbe.

Dla powiększenia i ulepszenia swego warsztatu nigdy nie żałował Ojciec Maksymilian pieniędzy, ale nikt chyba, od czasów św. Franciszka, nie bronił tak zajadle praw i przywilejów świętego ubóstwa.

— Pamiętacie, dziecieczki, mawiał przy każdej nowej kampanii propagandowej, że wcale nie powinno nam chodzić o zdobywanie prenumeratów, ale o zdobywanie dusz.

— Prawdziwy Niepokalanów to nasze dusze, pouczał braci, wszystko inne, nawet wiedza, to sprawy drugorzędne. Postęp jest duchowy, albo go nie ma.

Urodzony w 1894, umarł w dzień Wniebowstąpienia, 15 VIII 1941 r. nie od kuli, jak się spodziewał, ale męczeńską śmiercią, którą sobie od dzieciństwa uprosił, śmiercią głodową w Oświęcimiu, w zastępstwie jednego z towarzyszy.

Dziś Niepokalanów jest znacjonalizowany, a jego linotypy i prasy wywiezione.

Żywot Ojca Maksymiliana Kolbe, pióra Marii Winowskiej, jest opracowany zwięźle i sugestywnie, na podstawie rozległej dokumentacji. Złożyły się na nią własne pisma O. Kolbe oraz świadectwa i zeznania współczesnych: jego profesorów, współtowarzyszy i uczni.

Ukazanie się w Paryżu książki oryginalnej polskiego autora



o Polaku, napisanej swobodną i dobrą francuszczyzną jest zdaniem rzadkim i szczęśliwym.

Po tylu surowych i często niesprawiedliwych bo uogólniających sądach o Polakach w obozach koncentracyjnych (jak np. opinie L. Martin-Chauffier, D. Rousseta i in., którzy trafili do obozów dopiero w trzy lata po śmierci O. Kolbe i tysięcy najwartościowszych Polaków) posłyszają Francuzi o tym męczenniku, synu św. Franciszka a zarazem najbardziej współczesnym pracowniku społecznym.

Szkoda, że pretensjonalna i jak najgorzej graficznie pomyślana okładka książki tak bardzo odbiega od stylu tego życiorysu.

Maria CZAPSKA

## «Mickiewicz» Mieczysława Jastruna

Przed rokiem mniej więcej ukazała się w kraju książka, będąca rodzajem "vie romancée" Mickiewicza i przykrawająca jego życie do potrzeb "nowej rzeczywistości", książka o dużych zaletach i niemniejszych wadach, łatwo widocznych dla znawców lecz niebezpieczna dla tzw. "szerokiej publiczności", pióra Mieczysława Jastruna, utalentowanego poety, pracującego nad przebudową Polski według wzorów sowieckich.

P. Mieczysław Jastrun zadał sobie trud, by przestudiować dużą literaturę o Mickiewiczu i na podstawie pamiętników i źródeł niedostępnych przeważnie niespecjalistom odtworzyć sylwetkę poety dość prawdopodobną w ogólnym zarysie. Przyjęta dobrze przez krytykę krajową, publikacja ta uzyskała w roku ubiegłym nagrodę "Odrodzenia" i doczekała się dwu wydań, ciesząc się dużą poczytnością zarówno w kraju jak i na emigracji.

Można by rozbić książkę na cztery części, z których każda stanowiłaby odrębny człon. W 25 rozdziałach nierównej zresztą wartości zamknął Jastrun całe bujne życie poety, ukazując go na tle (nie zawsze wiernie oddanym) ówczesnej rzeczywistości i szkicując (nieraz z tendencją do karykatury) wybitniejszej postaci związanej z dziełem poety.

Pięć pierwszych rozdziałów, zajmujących się młodym Mickiewiczem w Wilnie i Kownie zbliża się chyba najbardziej do interpretacji znanych powszechnie biografii poety. Osiem dalszych rozdziałów — od procesu Filomatów do wybuchu powstania listopadowego — ukazuje Mickiewicza twórcę i człowieka w Rosji i w czasie podróży przez Europę, w latach rozwijania

skrzydeł do lotu. Ta część książki, oparta na mało wyzyskiwanych przedtem pracach rosyjskich, najciekawsza dla czytelnika, posiada zarazem największą wartość dokumentalną. Za to cztery rozdziały, omawiające okres "apogeum" poetyckiego Mickiewicza z III-cią częścią "Dziadów", "Księgami Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego" i "Panem Tadeuszem" wypadły dość blade. Widać, że autor skrępowany obecnymi warunkami, woli nie zagłębiać się w niebezpiecznych dla komentatora zagadnieniach politycznych i prądach ideowych Wielkiej Emigracji. Wreszcie osiem ostatnich rozdziałów, omawiających lata spędzone w kręgu wpływów Towiańskiego, ożywioną działalność w "Trybunie Ludów" i na katedrze "Collège de France" oraz wyprawy włoską i turecką — mimo dobrego zakończenia — stanowi najślabszą część książki. Dość prymitywny sposób podchodzenia do zagadnień religijnych oraz nacechowany tendencyjnością komentarz polityczny do okresu dużych przemian rozpoczętych "wiosną ludów" a zakończonych wojną krymską — sprawiają, że (mimo ciekawych fragmentów przedstawiających życie Mickiewicza z uwzględnieniem ostatnich badań) rozdziały te zarówno pod względem naświetlenia psychologicznego jak i oceny omawianych zdarzeń i ludzi pozostawiają wiele do życzenia. W ten sposób książka zaczęta ciekawie i żywo, interesująca mniej więcej do roku 1841 tj. do spotkania Mickiewicza z Towiańskim, pod koniec słabnie widocznie, stając się rodzajem wypisów z mniej lub więcej dostępnych źródeł do poznania poety-proroka.

Tak popularny między dwiema wojnami rodzaj powieści, jakim było "vie romancée" tj. życiorys tzw. historycznej postaci, opatrzone komentarzem psychologicznym dorobionym ex post przez biografę, jest bardzo trudnym i ryzykownym przedsięwzięciem. "Mickiewicz" Jastruna okazuje się tego dobrym przykładem. Odtwarzanie dziejów myśli poety na podstawie ocalałych zapisów, pochodzących od świadków nieraz wątpliwej wartości czy w oparciu o dzieło (choć jest bardzo niebezpiecznie utożsamiać wypowiedzi poetyckie z prawdą o człowieku), sprawia zawsze złudzenie, że autor konstruuje swą postać, posługując się fantazją. Z drugiej strony naświetlanie działalności bohatera z perspektywy dzisiejszej zniekształca obraz, gdyż patrzymy na tło historyczne z oddalenia wieku jeśli nie więcej. W wypadku, gdy biograf, jak Jastrun, pisze "sub specie" aktualności krajowej, nie można mieć pełnego zaufania zarówno do komentatora psychologicznego jak i do obiektywizmu w interpretacji. Widać to najlepiej na sposobie, w jaki autor odnosi się do "reakcji" uosobionej w postaciach papieża Piusa IX, ks. Adama Czartoryskiego, gen. Władysława Zamoyskiego i Zygmunta Krasińskiego (Dostało się nawet Maurycemu Mochańskiemu). Fragmenty, w których Jastrun rozprawia się z wyżej wymienionymi osobami wskazują dobitnie, że książka powstała nie tyle "ad usum delphini" ile dla potrzeb "socjalizmu radzieckiego".



W udokumentowanej jak zwykle recenzji omawianej książki ("Wiadomości" nr 200/201) dr Wiktor Weintraub zwrócił uwagę na snobizm Jastruna w posługiwaniu się "tanią erudycją", która ma imponować czytelnikowi. Przykładów jej można znaleźć rzeczywiście wiele. W ogóle jak długo biograf w trosce o tło historyczne obraca się w zakresie literatury niemieckiej czy rosyjskiej — nie popełnia rażących błędów. Gorzej jest, gdy wchodzi się w ocenę mniej sobie znanej Francji, jej historii, sztuki, prądów umysłowych. Szydło zwolennika Komuny wylaży tu na każdym kroku. Komentarze stają się subiektywne i co gorsze anachroniczne, gdyż przedstawiają wypadki ówczesne z dzisiejszego punktu widzenia kandydata na marksistę. Razi to zwłaszcza pod koniec książki, gdy autor, zapominając jakby o chronologii, wielokrotnie powraca do rwących się wątków (naświetlenie postaci Towiańskiego, choroba Celiny Mickiewiczowej, rola Ksawery Deybel itd.), wyszukując je dla swych niezupełnie bezinteresownych celów.

Z drobnych, ale widocznych wad zwróciłbym uwagę na dość cyniczne wypowiedzi Jastruna w odniesieniu do zwyczajów uświęconych wiekami tradycją i wierzeń. I tak np., pisząc o romantycznej miłości Mickiewicza do Maryli Wereszczakówny, tak odmiennej od życia obyczajowego Litwy w początku ubiegłego stulecia, Jastrun nie omieszcza rozprawić się ze społecznym i religijnym podłożem małżeństwa: "Afekty spętane były licznymi względami rodu i urzędu, jak piersi młodych szlachcianek gorsetem i stanikiem. Droga do ołtarza była dobrze obstawiona formami towarzyskimi i sakralnymi. U ołtarza kończyła się młodzieńcza miłość. To, co zaczynało się później, miało być nagrodą za uległość wobec stanowych i kościelnych nakazów, było zaś najczęściej uświęconą obłudą. Miłość była wyraźnie stanowa. Inna była chłopska, inna szlachecka, inna wreszcie magnacka. Maryla wybrała hrabiowską" (str. 53 wyd. 2.). Cytat ten mówi wiele o ograniczonych przez okoliczności możliwościach obiektywizmu pisarza.

Freudyści dopatrzyliby się ponadto w książce Jastruna jakiegoś kompleksu... erotomana. Jaskrawy przykład widzę np. na str. 332, gdy autor opowiada z racji wyprawy włoskiej Mickiewicza o obronie Mediolanu: "W szanłach stali gotowi na śmierć żołnierze włoscy. Ich żony i kochanki, albo obce dziewczęta, przynosiły obrońcom Mediolanu posiłki i napoje. Gdy zapadł zmierzch, obok pierwszej linii bojowej, w zagajnikach i zaroślach obdarzały ich miłością krótką i gwałtowną na ziemi mokrej od rosy, wśród ostрых zapachów zieleni" (str. 332, wyd. 2.). Zdania te, najzupełnie zbędne z punktu widzenia kompozycji całości a nawet epizodu, rzucają światło na sposób, w jaki Jastrun pojmuje miłość, pozbawiając ją wszelkich wartości duchowych czy pozazmysłowych. Takich "podskórnych" (i obskurnych) aluzji można znaleźć wiele.

Próba pogodzenia essayu literackiego z opowieścią dokumentalną, jaką ma być "Mickiewicz" Jastruna, stanowi niechyb-

nie dość wątpliwy komentarz psychologiczny do dzieła poety. Niemniej książka pisana w sposób zajmujący, językiem barwnym i pięknym (widoczna tendencja do używania krótkich zdań) podkreśla o wiele lepiej niż dotychczasowe prace uczonych silny i istotny związek poezji Mickiewicza z jego życiem. Nic więc dziwnego, że biografia ta, niewątpliwie ciekawa, o wiele bardziej interesująca dla przeciętnego czytelnika niż dość suche i zajmujące się przeważnie dziełem, a nie twórcą monografie specjalistów, znalazła żywy oddźwięk wśród społeczeństwa, któremu narzuca umiejętnie zniekształcony obraz Mickiewicza. Nie trzeba dodawać, że to usiłowanie wytłumaczenia psychiki z surowym osadem Wielkiej Emigracji jest widocznym przykładem tzw. "zamówienia społecznego", planowej akcji kulturalnej "reżimu". Dlatego w niewypowiedzianej jasno tendencji omówionej publikacji, którą — gdyby nie ukryty cel i próby "retuszu" rzeczywistości — przyjęlibyśmy z radością, widząc w niej chęć popularyzacji Mickiewicza wśród szerokiej publiczności, ukrywa się niebezpieczeństwo pięknej skądinąd książki Jastruna.

Zygmunt MARKIEWICZ.

Rozpisujemy subskrypcję na książkę Tadeusza Wittlina

## p.t. «Diabeł w Raju»

Zamieszczone w «Orle Białym» odcinki pod wspólnym tytułem «Diabeł w Raju», są wyjątkami z książki Tadeusza Wittlina. Książka ta, która wkrótce ukaże się po angielsku i francusku, w języku polskim, ze względu na trudności wydawnicze, będzie mogła ukażać się tylko drogą prenumeraty.

«Diabeł w Raju» obszerna powieść, satyryczny pamiętnik autora, liczący około 350 stron, wydany na porządnym papierze z ilustracją na okładce, będzie kosztował w prenumeracie 10 szylingów. Zamówienia na książkę wraz z opłatą należy przysyłać wprost do autora na adres: Tadeusz Wittlin, c/o Gryf Publications Ltd., 169-171., Battersea Church Rd., S.W. 11. Pieniądze z zamówień subskrypcyjnych deponowane będą na osobnym rachunku w banku na wspólną odpowiedzialność autora i firmy wydawniczej «Gryf».



## Bibliografia

### Polonica niemieckie

od 1.IX 1939 do 31.XII. 1948 roku

KLEMENSIEWICZ, ZENON. *Język polski. Ćwiczenia i pogadanki gramatyczne dla VI klasy szkoły powszechnej*. Wydanie III. Str. 48. (Monachium 1946). (Przedruk II-go wydania londyńskiego, dokonany z polecenia UNRRA w Zakł. Graficzn. Mandruk, Theodor Dietz, München w 1946 r.).

KLEMENSIEWICZ, ZENON. *Język polski. Ćwiczenia i pogadanki gramatyczne dla VI kl. szkoły powszechnej*. Wydanie IV. Nakładem Zw. Polaków w Hamburgu 1945. Str. 48. (Przedruk z III-go wydania londyńskiego).

KLEMENSIEWICZ, ZENON. *Język polski. Podręcznik dla I klasy gimnazjum*. Wydawnictwo Polsk. Zw. Wychodź. Przymus. w Hanowerze 1946. Str. 46 + 1 nlb.

KLEMENSIEWICZ, ZENON. *Język polski. Podręcznik dla trzeciej klasy gimnazjum*. Wydawn. Polsk. Zw. Wychodź. Przymus. w Hanowerze 1945. Str. 67.

KLEMENSIEWICZ, ZENON. *Język polski. Wybór wiadomości o znaczeniu i użyciu form językowych oraz o gwarach ludowych. Dla klasy IV gimnazjalnej*. Wydawn. Polsk. Zw. Wychodź. Przymus. w Hanowerze 1945. Str. 93 + 3 nlb. (Przedruk z wydania jerozolimskiego z roku 1943).

KLINICKI, WŁADYSŁAW. *Katechizm*. Streszczenie. Hann. Münden 1945. Str. 12.

KLUKOWSKI, JERZY. *ABC każdego Polaka*. Wyd. „Słowo Polskie”. Dachau-Freimann-Monachium-Dillingen 1946. Str. 162 + 2 nlb.

KLUKOWSKI, JERZY, *Bibliografia druków polskich w amerykańskiej strefie okupacji Niemiec* 29. IV. 1945 — 1. II. 1947.

Wydano nakładem «Słowa Polskiego». Dachau-Freimann-Monachium-Dillingen 1947. Str. 27 + 1 nlb.

KLUKOWSKI, JERZY. *Kościuszeko na tle swej epoki*. 20 pocztówek zaopatrzonych w objaśnienia + 4 strony tekstu. Wydawn. Agencji Prasowej w Monachium 1946. (Nakł. 5.000 egz.).

KLUKOWSKI, JERZY. *Spis prasy polskiej w Niemczech 1945 - 1948*. Nakładem autora. Dillingen a. D. 1948. (Nakł. 200 egz.). (Powielacz).

KLUKOWSKI, JERZY. *Zagadnienia wyznaniowe w Polsce*. Opracował... Wydawn. «Słowo Polskie», Dachau-Freimann-Monachium-Dillingen 1946. Str. 64. (Nakł. 1500 egz.).

KLUKOWSKI, JERZY — CHROSTEK, KONRAD. *Warszawo! Opracowali...* Wydawn. «Słowo Polskie», Monachium-Freimann-Dachau-Dillingen 1946. Nakładem Zrzeszenia Ośrodków Polskich Bawarii Południowej i Szwabii w Monachium. Str. 78 + 2 nlb. (Nakł. 5000 egz.).

KNAPP, IGNACY. *Krótki zarys historii muzyki polskiej*. Dla uczniów szkół muzycznych streszc i opracował... (Podręcznik-skrypt). Nakładem autora. (Wildflecken) Durzyn 1948. Str. 3 nlb. + 27. (Powielacz, druk jednostr.).

KOCHANOWSKI, JAN. *Trengy*. Nro 1 Biblioteka Narodowa, Serbia I. Wstępem i objaśnieniami zaopatrzył Tadeusz SINKO, Prof. Uniwers. Jagiellońskiego. Wydawn. Polsk. Zw. Wychodź. Przymus. w Hanowerze 1946. Str. XXVII + 56 + 4 nlb. (Przedruk wydania krajowego krakowskiej «Biblioteki Narodowej»).

*Kolędy*. Wydawn. «Słowo Polskie» Monachium-Dillingen 1945. Str. 16. (Nakł. 10.000 egz.).

*Kolędy i pastoralki*. Wydawnictwo T. Starczewskiego «Strażnica», Celle 1945. Str. 15 + 1 nlb.

*Kolędy polskie*. Delmenhorst 1945. Na prawach manuskryptu. Str. 40 + 4 nlb.

KOMSKI, JAN. *Za drutami*. 15 szkiców w K. Z. Nakładem Agencji Informacyjnej P. B. I. Monachium 1946. Str. 20. (Nakł. 3000 egz.).

*Konferencje Rekolekcyjne, wygłoszone w różnych ośrodkach polskich*. Pomoc Kaznodziejska. (Praca zbiorowa. Szkice Kaznodziejskie następujących autorów: Ks. Wojciech Głusz, Ks. Dr J. Manthey, K. Cz.). Wydawnictwo «Słowo Polskie», Freimann k/Monachium dnia 29 stycznia 1946 roku. Str. 1 nlb + 21. (Powielacz. Nakł. 600 egz.).

KONOPNICKA, MARIA. *Nasza szkap*. Wydawn. Polsk. Zw. Wychodź. Przymus. Hanower 1946. Str. 24.

KONOPNICKA, MARIA. *Wiersze wybrane*. Wybrał F. DUBAJ. Wydawn. Ks. Ignacego Rabsztyna, Schwäbisch Gmünd-Lorch/Württ. 1946. Str. 36. (Nakł. 5000 egz.).

*Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej*. Wydawn. «Słowo Pol-



skie», Dachau-Freimann-Monachium-Dillingen 1946. Str. 24. (Nakł. 2.000 egz.).

KOPROWSKI, JAN. *Droga do Warszawy*. Nakładem Tygodnika «Na obczyźnie». Haltern, Westfalia 1946. Str. 44.

KOPROWSKI, JAN. *Elegia sierpniowa*. Okładka i ilustracje Zygmunta Karolaka. Hamburg 1947. Wydawnictwo Romana Ziewicza. Str. 43 + 1 nlb.

KOPROWSKI, JAN. *Gospoda pod «Polską lipą»*. Nakładem autora. Westfalia 1946. Str. 25 + 1 nlb.

KOPROWSKI, JAN. *Poezje dla ciebie*. Nakładem autora. Goslar 1945. Str. 24.

KOPROWSKI, JAN. *Poezje dla ciebie*. Wydanie drugie 1946. Bad Harzburg 1946. Buchdruckerei Karl Sasse. Str. 27 + 1 nlb.

KOPROWSKI, JAN. *Tamten dom*. Nakładem Zw. Polaków, Haltern 1946. Str. 48.

KOPROWSKI, JAN. *Wiersze zebrane*. Wydanie II-gie. Nakładem Związku Polaków w Niemczech 1946. Str. 143 + 1 nlb. (Z fotografią autora).

KOPROWSKI, JAN. *Z liryki obcej*. Przekłady. Nakładem autora. Goslar 1945. Str. 26 + 1 nlb.

KORAB-KUCHARSKI, L. *Arabski emigracyjny*. (Wiersze). Wydawnictwo «Sztuka». Niemcy 1947. Str. 16.

KORAB-KUCHARSKI, L. i RADIAN, O. H. *Coty świat to blondyneczka*. Nakładem Polish Concert Party, Braunschweig 1946. Str. 4. (Nuty).

KORAB-KUCHARSKI, L. i RADIAN, O. H. *Chwila miłości*. Slow-Fox. Nakład Polish Concert Party, Braunschweig 1946. Str. 4. (Nuty).

KORAB-KUCHARSKI, L. i RADIAN, O. H. *Daj mi swe serce*. Walc angielski. Nakład Polish Concert Party, Braunschweig 1946. Str. 4. (Nuty).

KORAB-KUCHARSKI, L. i RADIAN, O. H. *Dzisiaj tańczę dla was*. Inscenizacja muzyczna. Nakład Polish Concert Party, Braunschweig 1946. Str. 4. (Nuty).

KORAB-KUCHARSKI, L. i RADIAN, O. H. *Ha! Ha! Ha!* Fokstrott humorystyczny. Nakład Polish Concert Party, Braunschweig 1946. Str. 4. (Nuty).

KORAB-KUCHARSKI, L. i RADIAN, O. H. *I love you*. Hawajska Serenada. Nakład Polish Concert Party, Braunschweig 1946. Str. 4. (Nuty).

KORAB-KUCHARSKI, L. i RADIAN, O. H. *Jesienne Tango*. Tango. Nakład Polish Concert Party, Braunschweig 1946. Str. 4. (Nuty).

KORAB-KUCHARSKI, L. i RADIAN, O. H. *Łzy cygana*. Czar-

dasz. Nakład Polish Concert Party, Braunschweig 1946. Str. 4. (Nuty).

KORAB-KUCHARSKI, L. i RADIAN, O. H. *Niech nie płyną z ocz twoich łzy*. Z cyklu «Płonące Ghetto». Nakład Polish Concert Party, Braunschweig 1947. Str. 4. (Nuty).

KORAB-KUCHARSKI, L. i RADIAN, O. H. *Pamięć häftlinga pozostanie*. Pieśń z obozu KZ. Nakładem polish Concert Party, Braunschweig 1946. Str. 4. (Nuty).

KORAB-KUCHARSKI, L. i RADIAN, O. H. *Pamiętam oczy*. Nakład Polish Concert Party, Braunschweig 1946. Str. 4. (Nuty).

KORAB-KUCHARSKI, L. i RADIAN, O. H. *Tęsknię*. Tango. Nakład Polish Concert Party, Braunschweig 1946. Str. 4. (Nuty).

KORAB-KUCHARSKI, L. i RADIAN, O. H. *W srebrnych płatkach śniegu*. Tango. Nakład Polish Concert Party, Braunschweig 1946. Str. 4. (Nuty).

KORAB-KUCHARSKI, L. i RADIAN, O. H. *Zapomnij*. Tango. Nakład Polish Concert Party, Braunschweig 1946. Str. 4. (Nuty).

KORBEL, STANISŁAW. *Polski system stenografii, dla szkół i samouków*. Nakładem Polsk. Zw. Wychodź. Przymus. w Hanowerze 1946. Str. 64. «Nakł. 10.000 egz.».

KORBEL, STANISŁAW. *Polski system stenografii, dla szkół i samouków*. Wydanie II. Nakładem Polsk. Zw. Wychodź. Przymus. w Hanowerze 1946. Str. 64. (Nakł. 2.000 egz.).

*Korespondencja handlowa*. Tłumaczyli z niemieckiego: H. OLEJNIK, Inż. W. PIECHULEK. Wydano na prawach rękopisu. Staraniem Komitetu Wydawn. w oparciu o Wszechświat. Kom. Zw. Młodz. Chrześc. Frankfurt-Hoechst sierpień 1947. Str. 87 + 1 nlb. (Nakł. 6.829 egz.).

KORZONEK, FRANCISZEK, Ks., Kapelan Obozu Polsk. w Warendorf. *«Królowej Korony Polskiej» na cześć i chwałę*. Książeczka do nabożeństwa dla Polaków na obczyźnie. Pamiątka z pobytu w Obozie Polskim w Warendorf 1945 r. Str. 175 + 1 nlb.

KOS, STEFAN. *Polska droga*. Instytut Wydawniczy «Rodło» Italia. Murnau 1946. Str. 127 + 1 nlb. (Z liczn. fotogr. w tekście).

KOSSAK-SZCZUCKA, ZOFIA. *Doktor Marcinek*. Jednodniówka «Echa Dnia». Wydawnictwo I Obozu Polskiego w Osnabrück 1946 (Nro 12). Str. 2 nlb + 4 + 12 nlb. (Powielacz).

KOSSAK-SZCZUCKA, ZOFIA. *Skarb śląski*. Wydawnictwo «Strażnica», Celle 1947. Str. 82.

(C. d. n.)

Jan KOWALIK.



## Listy do Redakcji

17 września 1950.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z listem p. S. Gruszki w sprawie zwolnienia profesorów U. J. z obozu niemieckiego, ogłoszonym we wrześniowym numerze "Kultury", pozwalam sobie wyjaśnić, że prawie wszyscy więźniowie w wieku powyżej 40 lat zostali zwolnieni z obozu Sachsenhausen w dniu 8 lutego 1940, razem około stu osób, dokładnie 102 osoby, o ile dobrze pamiętam. Do chwili zwolnienia zmarło w obozie 17 osób. Pozostali więźniowie zostali prawie wszyscy przewiezieni do Dachau w dniu 4 marca 1940, skąd zaczęto ich zwalniać od kwietnia, tak że do końca 1940 prawie nikt nie pozostał w obozie. Wobec tego wspomniana przez p. Gruszkę interwencja amerykańska w jesieni 1940 mogłaby się odnosić jedynie do młodszych więźniów w Dachau oraz do kilku pozostałych w Sachsenhausen. Nie jest jednak wykluczone, że taka interwencja nastąpiła wcześniej. O zwolnienie więźniów zabiegano różnymi drogami od samego początku, przy czym akcja odbywała się drogą na Włochy. Artykuły na ten temat w prasie krajowej do tej pory nie wyjaśniły zagadnienia, komu naprawdę zawdzięczają więźniowie swoje zwolnienie.

Z głębokim poważaniem

Czytelnik.

(Nazwisko i adres znane Redakcji).

Szanowny Panie Redaktorze!

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuł p. Stanisława Westfala pt. "Radziecki czy sowiecki?" w numerze 7/8 "Kultury". Chciałbym dorzucić do niego kilka słów. Otóż w jednym z miast polskich, zdaje się w Bydgoszczy, istnieje do dzisiaj stara "Apteka Radziecka". Nazwa ta jest, jak sądzę, tłumaczeniem nazwy, datującej się jeszcze z czasów zaboru niemieckiego ("Ratsapotheke"). Warto ją zanotować na marginesie wywodów p. Westfala o przymiotniku "radziecki", występującym jako archaizm.

Na temat "pokrewieństwa" wyrazów "radziecki" (w nowoczesnym znaczeniu) i "zdradziecki" pragnąłbym zacytować jedną ze swoich fraszek, napisaną w r. 1947, pt. "Słownictwo":

"Podkreślają z naciskiem przy każdej okazji:  
Radziecki Rząd i Związek, i Naród Radziecki,  
Jak gdyby rzec: sowiecki — miało być obelgą,  
Lub wyraz ten obecnie był zbyt... staroświecki.

Można zgodzić się na to, by nie być upartym,  
Na niejedną pozwala żywy język zmianę,  
Choć wyraz ten się zdaje jak gdyby uboższy  
O dwie literki (zd) — skromne, zapomniane."

Łączę wyrazy szacunku i poważania

Londyn, w sierpniu 1950.

Wiktor SZACH.

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »

12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV<sup>e</sup>)

Directeur-gérant: Roger Grosjean.

Dépôt légal: 4<sup>e</sup> trimestre 1950.

# KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).  
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-roczna	Roczna
<b>FRANCJA:</b> "LIBELLA", 12, rue St-Louis en l'Île, PARIS IV <sup>e</sup> .....	120 fr.	770 fr.	1446 fr.
<b>W. BRYTANIA:</b> "GRYP", Publications Ltd., 169/171, Battersea Church Road, LONDON, S.W. 11 .....	3 sh.	16 sh.	3 <sup>9</sup> sh.
<b>WŁOCHY:</b> Jan GROCHOWSKI, 81, via della Croce, ROMA. ....	200 lir	1200 lir	2000 lir
<b>SZWECJA:</b> Red. Norbert ZABA, Kalkskärgatan 3/IV, STOCKHOLM. ....	2,50 kr.	12 kor.	2 <sup>2</sup> kor.
<b>NIEMCY:</b> "Universum", (14 a), HEILBRONN/N., Badenerhof, US. Zone.	2,50 DM	15 DM	25 DM
<b>ARGENTYNA:</b> Jan Miecznikowski i Tadeusz Dąbrowski, "SKŁADNICA KSIĄZKI POLSKIEJ", Av. Leandro N. Alem 641, BUENOS AIRES .....	6 peso	36 peso	72 peso
<b>KANADA:</b> BOOKS AND NEWSPAPERS AGENCY, H. R. Radomski, 83, Front St. E., TORONTO Ont .....	75 cent.	4 dol.	6 dol.
<b>U.S.A.:</b> Na stan New York — S. DZIARCZYKOWSKI, 414 Prospect Ave, BROOKLYN 15, N. Y. Na stan Illinois — Józef BIALASIEWICZ, 2339 N. Sawyer Ave., CHICAGO 47. Ill. Na stan California — L. DUDAREW-OSSETYNSKI, 28471 Ventura Boulevard, AGOURA, California. Na stan Michigan — Kazimierz TROJANOWSKI, 6042 Jos. Campau, DETROIT 11, Mich. Na stany Ohio, New Jersey, Pennsylvania, Indiana, Wisconsin, Florida, Virginia i West Virginia — Chrystian M. KRETOWICZ, 1828 Glenwood Ave, TOLEDO 2, Ohio. Na pozostałe stany — M. K. DZIEWANOWSKI, 38 Quincy Street, CAMBRIDGE, Mass. ....	75 cent.	4 dol.	6 dol.
<b>BELGIA i KONGO BELG.:</b> Marie Christ. JANTA-POLCZYNSKA, 24, Grande Rue au Bois, BRUXELLES, 3, Konto Cheque Postal 244 113 — Bruxelles ..	25 bfr.	120 bfr.	210 bfr.
<b>AFRYKA POŁUDNIOWA:</b> Janusz KRUSZYNSKI, 71, Raglan Street, Sydenham, JOHANNESBURG .....	3 sh.	16 sh.	30 sh.
<b>AUSTRALIA:</b> VISTULA (Australia) PTY, Ltd., 77, Pitt Street, SYDNEY .....	4 sh. (a.)	£A1.0.3.	£A1.18.0.
<b>BRAZYLIA:</b> Prenumeraty przyjmują: Julia BARCINSKA, r. Erasmo Braga 227 s. 214, RIO DE JANEIRO oraz Zofia KLETLINSKA, Av. Batel 1514, CURITIBA, Parana.	15 cruz	90 cruz	150 cruz
<b>SZWAJCARIA:</b> Zbigniew MAŁECKI, 8, Kistlerweg, BERN, 16 .....	1,80 fr. szw	10 fr. szw	18 fr. szw

Koszta przesyłki pojed. nru: 20 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).



# „ORZEŁ BIAŁY”

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

WYDAWCA: **GRYF PUBLICATIONS LTD.**  
169/171, Battersea Church Road, London S.W.11  
Tel. BATtersea 0879

ADRES REDAKCJI: c/o **R. PIETRZYŃSKI,**  
**32 Blenheim Gardens — London N.W.2.**

*Przedstawicielstwa w Austrii, Belgii, Francji,  
Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji i we Włoszech  
Nadto w Argentynie, Kanadzie, Libanie, Płd. Afryce  
w Stanach Zjednoczonych.*

● Cena egzemplarza:

We FRANCJI 25 franków fr. ★ W BELGII 5 franków belg  
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

● P r e n u m e r a t a :

We FRANCJI miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr.  
W BELGII miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.  
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/  
rocznie 45/.

● Prenumeratę przyjmują:

WE FRANCJI: *Libella*, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV  
nr. konta pocztowego Paris cc 565.150.

W BELGII: *J. Roskiewicz*, 44, Rue Vinçotte — Bruxelles  
nr. konta pocztowego 3172.28.

W ARGENTYNIE: *Składnica Książki Polskiej*, Av. Leandro  
N. Alem. 641, Buenos Aires.

OGŁOSZENIA: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)

przyjmują przedstawicielstwa «Orła Białego»,  
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma

**CARLTON BERRY LTD.,**  
Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.

**Cena 120 frs.**